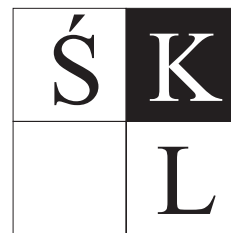


# ŚWIĘTOKRZYSKI KWARTALNIK LITERACKI



KIELCE 2023 NR 1-4 (79-82)

ISSN 1429-849-X

ISBN 978-83-911197-3-0

NAGRODZONY PRZEZ MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA ŚWIĘTOKRZYSKIEGO  
*Literatura – kieleckim sztandarem (Diotr Kuncewicz)*



Elżbieta Jach: *Świątokrzyżski Anioł* – płaskorzeźba na desce lipowej, akryl



Fot. Bogusław Jelonek

ELŻBIETA JACH urodziła się w Lipowym Polu, obecnie mieszka w Skarżysku Kościelnym. Jest pedagogiem, z zamiłowania poetką, rzeźbiarką, twórczynią bibułkowych kwiatów.

Wydawała cztery tomiki poezji, bajki dla dzieci, trzy zbiory utworów satyrycznych: fraszek, limeryków i aforyzmów. Jest członkinią Związku Literatów Polskich, Stowarzyszenia Autorów Polskich, przez dziesięć lat była opiekunką Grupy Literackiej „Wilkina” w Skarżysku-Kamiennej.

Od 2000 roku tworzy rzeźby i płaskorzeźby polichromowane, malowane akwarelą, akrylami, zawierające motywy ludowe, fantastyczne, baśniowe i religijne. Jej ulubionym tematem są anioły. Brała udział w wielu plenerach Skarżyskiego Klubu Twórców SKART, wystawach zbiorowych i poplenerowych. Uczestniczyła w festynach, imprezach plenerowych z okazji świąt religijnych (Niedziela Palmowa w Szydłowcu kilkakrotnie) dożynkach miejskich, gminnych, powiatowych naszego regionu, Jarmarkach Sztuki Ludowej w Iłży razem z grupą SKART, do której należy od 2003

roku, gdzie była wielokrotnie nagradzana i wyróżniana w konkursach rzeźbiarskich. Pierwszym ważnym osiągnięciem w dziedzinie rzeźby była III nagroda za cykl płaskorzeźb pt. „Sny” w IX Konkursie Plastycznym zorganizowanym przez Miejskie Centrum Kultury w Skarżysku-Kamiennej w 2006 roku. Następny sukces przyszedł w 2009 roku, kiedy otrzymała w XI Konkursie zorganizowanym przez MCK I miejsce za rzeźbę pt. *Ujarzmiona*. Obecnie więcej czasu poświęca poezji, dlatego jej uczestnictwo w działalności grupy SKART jest ograniczone, ale stara się nie tracić kontaktu, prowadząc stronę grupy na Facebooku. Razem z mężem stworzyła „Spichlerz Regionalny”, w którym znalazły swoje miejsce zbierane przez lata dawne sprzęty, narzędzia, obrazy sakralne, stare zdjęcia, różne wytwory ludzkich rąk. Prowadzi w nim lekcje muzealne dla dzieci i młodzieży, przyjmuje wycieczki, organizuje pokazy rzeźbienia i spotkania literackie. Interesuje się także gwarą najbliższych wsi, pragnie wydać słownik gwary pogranicza woj. świętokrzyskiego i mazowieckiego.

Działa w Stowarzyszeniu na Rzecz Odnowy Zabytków Parafii Św. Trójcy w Skarżysku Kościelnym oraz w nowo otwartym Gminnym Ośrodku Kultury w tejże miejscowości, gdzie powstał Klub Twórców „Pasja”, z którym związała swoją działalność artystyczną. Uczestniczyła w pierwszym plenerze tego klubu i w dwóch zbiorowych wystawach. Za swoją działalność została nagrodzona w 2016 roku przez Starostwo Powiatowe Skarżyska-Kamiennej statuetką „Powiatowe Dęby” w kategorii SZTUKA oraz otrzymała zaszczytny tytuł „Zasłużony dla Gminy Skarżysko Kościelne” w roku 2016.

Kocha wieś i sztukę ludową. Tworzenie sprawia jej ogromną radość.

# ŚWIĘTOKRZYSKI KWARTALNIK LITERACKI

ISSN 1429-849-X  
ISBN 978-83-911197-3-0  
KIELCE 2023 NR 1-4 (79-82)



Wydawca: Związek Literatów Polskich – Oddział w Kielcach  
Adres redakcji: Jana Pawła II 5, 25-025 Kielce  
tel. 602 388 313, 693 212 303, e-mail: nyczaj@pro.onet.pl

Numer przygotowany dzięki finansowej pomocy  
Urzędu Marszałkowskiego Województwa Świętokrzyskiego  
oraz Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Witolda Gombrowicza w Kielcach

Redaguje Zarząd Kieleckiego Oddziału ZLP, stanowiący kolegium redakcyjne, w składzie:  
ANNA ZIELIŃSKA-BRUDEK – redaktor naczelna  
IRENA NYCZAJ – zastępca redaktor naczelnej  
Kolegium redakcyjne: BENEDYKT KOZIEŁ, IRENA PAŹDZIERZ, GRZEGORZ RAK,  
BOGUSŁAW WIŁKOMIRSKI

Konsultacja: STEFAN JURKOWSKI

Korekta: IRENA NYCZAJ  
Opracowanie komputerowe: PAWEŁ NYCZAJ

Opublikowanie tekstów i zdjęć w „SKŁ” nie wiąże się z otrzymaniem przez autora jakiegokolwiek gratyfikacji. Jednocześnie Redakcja dziękuje za nieodpłatne przekazanie autorskich materiałów do druku.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych; zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów, a także zamieszczania fragmentów dłuższych utworów.

Zdjęcia niepodpisane pochodzą z archiwum „SKŁ”.

**OD REDAKCJI 5**

Anna Zielińska-Brudek: O cichym zakątku kieleckich literatów...  
coraz głośniej..... 5

**WSPOMNIENIA 9**

Stanisław Nyczaj: Utwory niepublikowane: *Ambit odkłęty*;  
*Sprawiedliwe zrządzenie; Megaoferta supersprzętu*..... 9  
Krystyna Cel: *Jak podnieść*..... 9  
Stefan M. Żarów: *śp. Staszkwowi Nyczajowi przez cząstkę*  
*pamięci*..... 9  
Krystyna Konecka: Edwarda Zymana nieobecność... .. 10

**WYDARZENIA 13**

Kieleccy literaci mają własny kąt..... 13  
Konkursy literackie `2023 ..... 15

**TWÓRCZOŚĆ 17**

Romuald Bielenda: Wiersze..... 17  
Anna Błachucka: *Napoleon, syn Napoleona* (Rozdział 1).... 18  
Jan Chruśliński: *Od zmierzchu do świtu* (fragm. powieści) .. 26  
Barbara Gajewska: Wiersze ..... 30  
Elżbieta Jach: Wiersze ..... 34  
Lidia Jędrocha-Kubicka: Wiersze..... 36  
Stefan Jurkowski: Wiersze..... 36  
Beata Kępińska: Wiersze..... 38  
Kazimierz Kochański: Wiersze..... 39  
Benedykt Kozieł: Wiersze ..... 41  
Elżbieta Musiał: Wyznanie twórcze..... 43  
Anna Maria Musz: Wiersze ..... 48  
Joanna Nowocień: Wiersze ..... 49  
Irena Nyczaj: „*Kto nie był ni razu człowiekiem...*”  
(opowiadanie) ..... 51  
Iryna Ostrowska: *Wieża Kmola* (opowiadanie) ..... 56  
Irena J. Paździerz: *Ten pan nie wytnie już ani jednego drzewa*  
(opowiadanie) ..... 58

Uta Przyboś: „*Bo ja z przeklętych jestem tego świata*” ..... 60  
Grzegorz Rak: *Puzzle polskie* (fragm. powieści)..... 61  
Wawrzyniec Marek Rak: *Fraszki z odzysku*..... 63  
Kazimiera Szczykutowicz: *Na uniesionej wyspie*..... 64  
Emilia Tesz: *Oczy pragną zieleni. Zapiski spod znaku*  
*koronawirusa* (fragmenty) ..... 66  
Zofia Walas: Wiersze..... 68  
Anna Wiłkomirska: Wiersze ..... 68  
Bogusław Wiłkomirski: Prolog do powieści *Nadszarpnięta*  
*kurtyna*..... 69  
Barbara Wrońska: Wiersze ..... 72  
Szczęsny Wroński: Wiersze..... 73  
Anna Zielińska-Brudek: *Pokój Tobie, Polsko! Ojczyzno*  
*moja!*..... 74

**SZKICE – ESEJE – RECENZJE 79**

Krystyna Cel: Szczególny wyraz pamięci (o tomie *Misja*  
Ireny Nyczaj)..... 79  
Krystyna Cel: Tajne poligony śmierci (o powieści *Kryptonim*  
„*Wyspa*” Bogusława Wiłkomirskiego)..... 80  
Krystyna Cel: Zapis obecności; Zakorzeni w istnieniu  
(o tomach wierszy Benedykta Kozieła) ..... 82  
Stefan Jurkowski: Liryczny realista (o tomie *Chwila jawy*  
Marka Wawrzkievicza) ..... 84  
Zbyszek Ikona Kresowaty: 15 tomów niekończącej się opowieści  
(rozmowa z prof. Stanisławem Nicieją) ..... 87  
Elżbieta Musiał: Nieco o prowokacjach artystycznych Szczęsnego  
Wrońskiego, czyli – Co zaczęł Wroński..... 93  
Grzegorz Rak: Recenzja z chwili, która wstrząsnęła jednym  
życiem, a więc i całym światem (o spektaklu *Żywot i śmierć*  
*pana Hersh Libkina...*) ..... 97  
Zdzisław Antolski: *Puzzle Grzesia* ..... 98  
Lena Cias (o *Puzzlech polskich* Grzegorza Raka)..... 99  
Iwona Zielińska-Zamora: Niech poeta cierpi! (o tomie wierszy  
Andrzeja Zaniewskiego)..... 99



Elżbieta Musiał: *Ars moriendi* – grafika komputerowa, wym. 44 x 93,5 cm

Anna Zielińska-Brudek

## O cichym zakątku kieleckich literatów... coraz głośniej

Tradycją ZLP w Kielcach była edycja „Świętokrzyskiego Kwartalnika Literackiego”, który od roku 1997 stał się cennym komunikatorem prezentującym najnowsze osiągnięcia literatów. Skracał dystans do czytelnika w czasach, kiedy dorobek kulturalny nie był w łaskach obiegowej prasy. Ostatnie wydanie, smutne w swojej prezentacji, lecz cenne bogatym dorobkiem, dotyczyło śp. Staszka Nyczaja, prezesa naszego Związku, człowieka pełnego ciepła, ludzkiej życzliwości i głębokiej filozofii, łączącej poetycką wrażliwość z ezoteryką literacką. Poświęcony tylko jego postaci, przygotowany przez jego żonę Irenę i syna Pawła, ukazał się w połowie 2022 r. Dzisiaj oddajemy do Waszych rąk kontynuację jego dzieła w nowym wydaniu z prośbą o ocenę i pomoc w realizacjach kolejnych publikacji, łączących w sposób płynny tradycję z nowym rozdziałem naszego stowarzyszenia.

Zanim podzielę się z Wami kolejną perspektywą rozwoju Związku Literatów Polskich Oddział w Kielcach, chcę przywrócić pamięć o trojgu kieleckich literatach, którzy w roku ubiegłym zakończyli ziemskie pielgrzymowanie. Nie ma wśród nas **Barbary Sierakowskiej**, autorki dziewięciu książek „życiem pisanych” (od tytułu zbioru opowiadań). Odszedł **Stanisław Nyczaj**, który przez 26 lat, do 1 kwietnia 2022 roku, jako prezes kierował naszym związkiem. Książki były sensem jego życia. Oddany ludziom cieszył się z sukcesów innych. Po repatriacji związany z Opolem, od 1972 zamieszkał w Kielcach, które bezgranicznie pokochał. Dwa miesiące po jego śmierci zmarł **Jan Lechicki**, znany lekarz z dużym dorobkiem naukowym i literackim.

Po trudnym okresie stagnacji spowodowanej chorobą i bolesnym odejściem Prezesa Stanisława Nyczaja Związek Literatów Polskich Oddział w Kielcach działa w nowej odsłonie. Ósmego października 2022 roku w tajnym głosowaniu wybrano nową władzę oddziału na kadencję 2023-2027. W skład Zarządu Oddziału kieleckiego ZLP weszli: Prezes – Anna Zielińska-Brudek, Wiceprezesa – Benedykt Kozieł i Bogusław Wiłkomirski, Sekretarz – Władysław



śława Szproch, Skarbnik – Irena Paździerz, Członek zarządu – Grzegorz Rak.

Pierwszą myślą, jaka nie dawała mi spokoju, było stworzenie miejsca, które jednoczyłoby nasze stowarzyszenie w grupę ludzi działających na rzecz szeroko pojętej kultury, skąd wychodziłyby pomysły rodzące się w twórczym tyglu różnorodnych idei. Udało się.

### Mamy miejsce dla siebie oraz innych

Pod koniec marca 2023 roku w budynku Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej w Kielcach przy ul. Jana Pawła II odbyło się pierwsze w nowej kadencji zebranie Zarządu Oddziału Związku Literatów Polskich w Kielcach. Wybór miejsca był nieprzypadkowy. Niecałe dwa miesiące później literaci i zaproszeni goście uroczystie otworzyli tam drzwi do własnej siedziby. Miejsce ważne, obok Muzeum Lat Szkolnych Stefana Żeromskiego. Jesteśmy wdzięczni Dyrektorowi tej biblioteki **Sylwestrowi**

**Kasprzykowi**, który spełnił nasze marzenie. Mamy przyjazne lokum, które służy nie tylko nam, lecz także innym grupom literackim – niewątpliwie przyszłych literackich talentów. W zakątku twórczym znajdują się pamiątki, eksponaty związane z działalnością kieleckiego Oddziału ZLP i twórcami dotychczas mało propagowanymi, a zapisanymi trwale w literackiej promocji naszego regionu. Wartością dodaną tej lokalizacji jest perspektywa szerzenia działalności literackiej w 11 powiatowych miastach województwa, które są jej filiami. Da to automatycznie możliwość stałych spotkań literatów z mieszkańcami tych regionów.

### **„Literackie światło młodych” przy ZLP Oddział w Kielcach**

Miesiąc po uroczystym otwarciu siedziby przyszedł czas na określenie kierunków i metod promocji młodych literatów skupionych przy ZLP Oddział w Kielcach pod nazwą „Literackie światło młodych”. Spotkania z 20. członkami koła młodych odbywają się w siedzibie ZLP w ostatnią środę każdego miesiąca w godzinach 16-18. Większość z nich ma za sobą debiuty pisarskie. Młodzi utalentowani już od stycznia tego roku, raz w miesiącu, dzięki otwartości kierownictwa Polskiego Radia Kielce prezentują swoją twórczość w Niedzielnym Programie Kulturalnym. Do końca października br. wystąpiło już 10. młodych adeptów sztuki pisarskiej. Wspierają ich twórczo członkinie ZLP Oddział w Kielcach, znane poetki i pisarki Anna Błachucka i Zofia Walas, oraz grono pedagogów pragnących wspomóc swoim doświadczeniem piszącą młodzież: Lidia Jędrocha-Kubicka z Nowin, Agnieszka Grabowska z Jędrzejowa oraz Monika Zajac z Kielc. W czasie wrześniowego spotkania omawiano plan realizacji wydania Antologii młodych literatów. Grupę „Literackie światło młodych” zaprezentujemy w kolejnym numerze „SKL”.

### **Gościliśmy serbskiego poetę, tłumacza i publicystę**

Vladan Stemenković był gościem siedziby Związku Literatów Polskich Oddział w Kielcach, którą 5 maja br. uroczystie otwarto w naszej bibliotece. W zakątku kieleckich twórców z serbskim poetą 16 maja spotkali się: Sylwester Kasprzyk Dyrektor PBW, Marek Dudkiewicz, Prezes Zarządu Współpracy Polska-Wschód Oddział w Kielcach, Robert Biernacki, członek tego Stowarzyszenia, oraz

Anna Zielińska-Brudek, prezes ZLP Oddział w Kielcach. Vladan Stemenković podzielił się refleksjami na temat pobytu w naszym kraju i utrwalaniem rzeczywistości. Po raz pierwszy Kielce odwiedził w 2006 roku, kiedy to z rąk Grzegorza Banasia, ówczesnego wojewody świętokrzyskiego, otrzymał akt nadania obywatela polskiego. **„Tu jest moja druga ojczyzna”** – podkreślił Vladan, członek Związku Literatów Polskich Oddział w Warszawie i Stowarzyszenia Pisarzy Serbii.

Spotkanie w naszej bibliotece z serbskim poetą przeplatane opowieścią o życiu, trosce o przyszłość jest bazą wyjściową do organizowania wspólnych przedsięwzięć twórczych. Wcześniej nasz niecodzienny gość odbył autorskie spotkanie w filii nr 9 Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Jerzego Pilcha w Kielcach. Uczestniczyli w nim seniorzy ze Środowiskowego Domu Samopomocy, uczniowie z Zespołu Szkół Zakładu Doskonalenia Zawodowego w Kielcach oraz mieszkańcy Kielc.

### **„Twarze współczesnych poetów polskich” w kieleckiej bibliotece**

Byliśmy współorganizatorem uroczystego otwarcia Wystawy **„Twarze współczesnych poetów polskich”**, które miało miejsce 17 lipca 2023 r. w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej im. W. Gombrowicza przy dużym udziale kieleckich miłośników poezji. Kuratorką wystawy była Marlena Zynger – poetka, członkini Związku Literatów Polskich Oddział w Warszawie i redaktor naczelna Kwartalnika Literacko-Kulturalnego „LiryDram”, autorem graficznych portretów twórców – dr hab. Robert Manowski – rektor Wyższej Szkoły Artystycznej w Warszawie.

Ekspozycja składała się z 23 plansz z grafikami twarzy poetów, którzy gościli na łamach kwartalnika „LiryDram” oraz 20 gablot, w których zaprezentowano ich dorobek twórczy. Są wśród nich członkowie Związku Literatów Polskich Oddział Kielce – śp. prezes Stanisław Nyczaj oraz znane poetki i pisarki: Uta Przyboś oraz Elżbieta Musiał.

Szacunek i podziw wzbudziła prezentacja twórczości kieleckich pisarzy i poetów. Zasłużona pisarka i poetka Irena Paździerz otrzymała Odznakę Honorową za wybitne zasługi dla Związku Literatów Polskich. Podniosła atmosferę z bogatego dorobku swoimi wierszami wzbogaciły: Elżbieta Musiał, Irena Paździerz, Anna Błachucka, Zofia Walas, Beata Kępińska, Anna Zielińska-Brudek. Fragment

swojej najnowszej powieści *Puzzle polskie* przeczytał Grzegorz Rak, a wiersz nieżyjącego Stanisława Nyczaja zinterpretowała jego żona – Irena Nyczaj. Autorskie wiersze odczytały także: Adriana Jarosz – Prezes Opolskiego Oddziału ZLP oraz Małgorzata Węgrzynowicz-Plichta reprezentująca ZLP Oddział w Krakowie. Z aplauzem przyjęto występ nowo powstałego koła przy ZLP Oddział Kielce „Literackie światło młodych”. Wiersze zaprezentowali: Michał Rusinow Czech, Norbert Sierpień, Franciszek Mularczyk oraz Katarzyna Sobota. Kilka wierszy młodych literatów ze względu na swoją wymowę i dojrzałość zasługuje na ogólnopolską prezentację – pokreśliła Marlena Zynger.

### Zapatrzeni w słowa – salon poetycki I edycja 2023

Pierwszy, wrześniowy dzień Festiwalu Herlinga-Grudzińskiego obfitował w bogaty scenariusz wydarzeń. Wieczór miał swój szczególny urok tak pod względem atmosfery, jak i pogody, która starała się nie zakłócać podniosłej atmosfery festiwalu. Przy medialnej ciszy zgromadziła się na Zamkowym Wzgórzu w Kielcach niespotykana do tej pory liczba literatów z Kielc i całego regionu świętokrzyskiego. – Nigdy wcześniej nie udało się zebrać tak wielu wrażliwych twórców w jednym miejscu i czasie – podkreśliła prowadząca spotkanie Magdalena Sitek, dziennikarka Radia Kielce. To bez wątpienia zasługa historycznego miejsca, ale przede wszystkim szacunek dla ofiar życia, którzy tam byli więzieni i zginęli. Na uroczystym wydarzeniu 45 ludzi pióra swym poetyckim słowem wyraziło szacunek do tego patriotycznego miejsca pamięci. Przy rozgwieżdżonym niebie i dziesiątkach świec stworzyli niepowtarzalny nastrój uroczystości, która oddawała hołd ofiarom Zamkowego Wzgórza.

Dziękujemy dyrektorowi Ośrodka Myśli Patriotycznej i Obywatelskiej, dr. Markowi Maciągowskiemu, który zaprosił nas do współpracy. To była prawdziwa uczta dla miłośników poezji. Wieczór umilili znani muzycy i kompozytorzy Lech Skawiński oraz Maciej Yooźwik i Paulina Basia Perczak.

### Ślam poetycki

Trzeciego września br. w trakcie trwania slamu poetyckiego na scenie Placu Artystów mogliśmy usłyszeć i zobaczyć 14. młodych twórców należących do Literackiego Światła Młodych przy Związku

Literatów Polskich Oddział w Kielcach, którzy walczyli o nagrodę **Brulion Jerzego Jarniewicza**.

Rywalizacji bacznie przyglądało się Jury w składzie: Jerzy Jarniewicz, Adam Ochwanowski, Paweł Sablik, które wyłoniło zwycięzcę. Została nim Katarzyna Sobota, której utwór uznano za najbardziej słamowy. Spotkanie prowadziła Magdalena Brzezińska. Ślam na Placu Artystów w Kielcach stworzył jedyną w swoim rodzaju atmosferę i wspaniałą przestrzeń do wyrażenia należnej poezji ekspresji.

### ZLP Oddział w Kielcach dumny z nominacji swojego wiceprezesa

Prof. Bogusław Wiłkomirski, obecny wiceprezes Oddziału Kieleckiego ZLP, został nie tylko członkiem, ale i skarbnikiem Prezydium Zarządu Głównego naszego stowarzyszenia.

To cenny dla naszego regionu awans. Doceniono aktywność i merytoryczność naszego kolegi. Na pewno będzie to duże wzmocnienie Zarządu Głównego ZLP w tym trudnym dla związku czasie. Bogusław Wiłkomirski od roku jest wiceprezesem kieleckiego Oddziału. Z pasją uczestniczy w jego działalności wzbogacając go swoim doświadczeniem. Promuje kielecki oddział budząc duże zainteresowanie i podziw swoją merytoryką, nienaganną narracją oraz egzotycznym ubiorem. Podwójna nominacja prof. Bogusława Wiłkomirskiego to duże wyróżnienie dla naszego oddziału. Jest dla mnie zaszczytem, jak też radością, współpraca z tak charyzmatyczną i wielowymiarową osobowością.

### Świętokrzyski szlak ludzi pióra

23 września 2023 r. zaprezentowaliśmy swoją twórczość na Festiwalu Literatury pn. „Fakt. Biografia. Dokument”, który odbył się w Sandomierzu. Jego pomysłodawcą był Andrzej Nowak-Arczewski, dziennikarz i publicysta, a realizacji przedsięwzięcia podjął się Warszawski Klub Przyjaciół Ziemi Kieleckiej. Jednym z organizatorów był także Związek Literatów Polskich Oddział w Kielcach. Kilkunastu poetów i pisarzy podzieliło się swoim dorobkiem, a obecność zasygnalizowały także grupy literackie: „Aspekt”, działający w Ostrowieckim Stowarzyszeniu Środowisk Twórczych Kultury Ziemi Świętokrzyskiej, oraz „Poeci znad Silnicy”.

W spotkaniu uczestniczyły ważne postacie literackiego środowiska: Uta Przyboś z Warszawy, Teresa Opoka z Radomia, *notabene* członkinie

Kieleckiego Oddziału ZLP, oraz świętokrzyscy twórcy tego stowarzyszenia – Irena Paździerz, Zofia Walas, Benedykt Koziół, Anna Błachucka, Elżbieta Musiał, Kazimiera Szczykutowicz, Elżbieta Jach, Bogusław Wiłkomirski, Beata Kępińska, Romuald Bielenda, Anna Zielińska-Brudek oraz Jan Chruśliński. Swoimi prezentacjami niewątpliwie spełnili oczekiwania licznej publiczności, która doceniła występy żywiołową reakcją i gromkimi brawami.

Wart podkreślenia jest oryginalny sposób prowadzenia prezentacji przez Bogusława Wiłkomirskiego i jego nastrojowo-bajeczny złoty strój (będzie o nim mowa dalej). Było to bez wątpienia spotkanie mocno akcentujące oczekiwania, ale także budujące podstawy kierunku działania kieleckiego Oddziału ZLP.

### Najnowsze książki i przedsięwzięcia twórcze

Niedługo minie rok od rozpoczęcia nowego etapu działalności kieleckiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Kilka opisanych przeze mnie osiągnięć na pewno potwierdza renesans i ambicję kieleckiego Oddziału ZLP. Na wielostronne podsumowanie przyjdzie czas, ale już dzisiaj warto je przedstawić, gdyż są one dobrą wróżbą na przyszłość. Mobilizację intelektualną potwierdzają osiągnięcia twórcze jej członków. ZLP Oddział w Kielcach rekomenduje czytelnikom najnowsze książki naszych autorów (wydane w tym roku): Anny Błachuckiej pt. *O tym, jak Besiek z Kozłowa szkołę raz organizował*, Romualda Bielendy *Szelesty niedyskrecji*, Jana Chruślińskiego *Od zmierzchu do świtu*, Benedykta Koziół *Obroty Ziemi* (wybór wierszy dwujęzyczny) oraz *Nie odstępując luster*, Grzegorza Raka *Puzzle polskie*, Bogusława Wiłkomirskiego *Nadszarpnięta kurtyna* oraz Teresy Ewy Opoki *Spotkałem tam ludzi lepszych od siebie*.

Rozszerzeniem działalności jest współpraca z TVP 3 Kielce, w której od września br. prezentowani są członkowie kieleckiego Oddziału ZLP. Naszym twórcom należy się stosowny szacunek za lata swej pracy dla Kielc i środowiska literatury. Nie sposób o tym nie informować. W czwartkowym programie „Drzwi do Kultury” zaprezentowano już dwoje literatów z naszego stowarzyszenia: Annę Błachucką oraz Grzegorza Raka. Kolejne sylwetki będą przedstawiane w cyklicznych odcinkach.

Oddział w Kielcach rozpoczął spotkania autor-skie „Szlakiem świętokrzyskich literatów” z uczniami szkół średnich. Tylko od września br. do 10 paź-

dziernika w Kielcach oraz kilku powiatach odbyło się 11 tego typu imprez. Młodzi mają możliwość pogłębić wiedzę o naszych autorach, a także twórcach z różnych epok.

Nie będzie chwalbą stwierdzenie, że krok za krokiem, powoli, widać i czuć żywą działalność stowarzyszenia. Jeśli ZLP Oddział w Kielcach połączy siły z artystami ziemi świętokrzyskiej, Kielce mogą stać się stolicą kultury. A wszystko to w jednym, najważniejszym celu – zjednoczyć ludzi kultury, by stworzyć coś pięknego, co swoją wrażliwością poruszy serce i zapadnie w pamięć czytelnika i słuchacza.

Chciałabym na noworocznym spotkaniu omówić szczegółowo szereg nowych przedsięwzięć, które zamierzamy realizować w roku przyszłym i latach następnych. Ze swojej strony pragnę zapewnić ludzi pióra, że będę walczyć o godne wynagrodzenia waszego dorobku literackiego.

Nie do przyjęcia i godna potępienia jest sytuacja, w której celebryci otrzymują kilkudziesięczne honoraria za wątpliwej wartości monologi, a uznany poeta prezentuje twórczość za symboliczną kwotę lub najczęściej za „dziękuję”. Ocenie czytelników pozostawiam ten żalony proceder. I na koniec sprawy organizacyjne. Liczba aktywnych członków naszego stowarzyszenia różni się w sposób zasadniczy od figurujących w otrzymanym wykazie rejestru. Cały czas trwa fluktuacja spowodowana odpowiedzialnością i egzekucją podstawowych zobowiązań wobec naszego Związku. Sądzę, że do końca roku sprawa zostanie ostatecznie wyjaśniona, a ja na noworocznym spotkaniu będę mogła odpowiedzialnie poinformować wszystkich, którym leży na sercu dobro naszego stowarzyszenia, o prawdziwej i autentycznej liczbie osób, z którą postaramy się nadać nowy i głośny nurt naszej działalności.

Reasumując – liczymy na mocniejsze wsparcie środków masowego przekazu, by odwoływać się do wyrażania swoich racji słowami, które łączą, a nie dzielą.

W swoich przedsięwzięciach kierowniczych i twórczych będę kierować się słowami Jonasza Kofty – choć z 1974 roku, to bardzo aktualnych, które są moim przewodnim hasłem: **„Jest świat ze ścian rosnących w górę, w nim traci wartość słowo. Ja stoję przed zwyczajnym murem. Walę w niego głową”**.

Anna Zielińska-Brudek



Stanisław Nyczaj

Krystyna Cel

Utwory niepublikowane

**Ambit odklęty**

Kryty dyskrecją kruźganek okalający dziedziniec,  
poprzysiężonych tajemnic na wsze wieki wieków,  
znosi zaklętą powinność milczenia coraz trudniej.

Tyle już widział, że dreszcz dookolnym korytarzem  
wstrząsa, jakby chciał pozbyć się wstydu owacji,  
gdy na dziedzińcu rozgrywały się nikczemne potyczki  
o wszystko p r z y z i e m n e na oczach niemego nieba.

Obchodzę go (tyle, co nic) wpierw donośnymi krokami,  
by po powałę zaufał, że już znam całą prawdę,  
że nie musi się przed światem konwulsyjnie wykręcać.  
I na dziedziniec wybiegnę obwieścić ją wszem wobec,  
nim dosięgną mnie skrytobójczo nienawistne spojrzenia  
okien na piętrach drżących ruin królestwa.

Amfiona uproszę, by przy dźwiękach kitary  
mury ścian jego odbudowały się same.

**Sprawiedliwe zrządzenie**

Bogaty po śmierci  
Gorycz nędzy łyka;  
Biedny zaś nie cierpi,  
Fajkę tęczy pyka.

**Megaoferta supersprzętu**

Któż pełnej sali dziś mieć by nie chciał,  
Szczodrych owacji, gromkich wiwatów?  
Są u nas: niezawodny f r e k w e n c j a ł  
I doskonały wprost o k l a s k a t o r.

Tym konkurencję wszelką szachują,  
Że u nas prawie nic nie kosztują.

*Hurtownia „Od Ręki za Nic”  
00-000 Łebsko, ul. Spokojnej Głowy 102*

**Jak podnieść***Na kanwie wierszy Stanisława Nyczaja*

Odsunęliśmy się od pól i lasów  
ale i od samych siebie

zieleni drzew  
zastąpiły nam  
betonowe place

wirtualny świat  
stał się bliższy  
niż stojący obok człowiek

nasze złowieszczcze gry  
z Naturą  
ciągle trwają

maski na twarzach  
to już codzienność  
ale skąd te opaski na oczach

i jak tu podnieść  
upadłą gałązkę Nadziei

Stefan Michał Żarów

**śp. Staszкови Nyczajowi przez częśćkę pamięci**

poeta emanujący wyobraźnią mikroświata  
codziennego rozpoczynania  
nieustrudzonego wędrowiec  
nieustannej kreacji  
podróżujący Karetą Mędrca  
złoty wersów  
wypełnienie przygodnych pejzaży  
z plecakiem wierszy  
soczysty kreator nowych krain  
na ramionach przyobiecanej Ziemi Spełnienia  
olśniony napotkanym rozmówcą  
tchnieniem piękna  
światło widnokręgów  
sen białej mgły  
pomieszkujący po drugiej stronie obłoków

## Edwarda Zymana nieobecność...

Kiedy w listopadowe przedpołudnie 2021 roku Stefan Jurkowski powiedział w rozmowie telefonicznej, że Edward nie żyje, zaniemówiłam. To niemożliwe. On, dla którego zdrowie rodziny i własne było tak ważne? Który w mailach przypominał, żeby pilnować się w tych okropnych czasach. Który w ostatnim okresie zaskakiwał kolejnymi nowymi książkami, wydawanymi za oceanem i w Polsce oraz projektami następnymi. Który przecież w poprzednim, 2020 roku, z własnej inicjatywy wydał przez Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie (którego był od lat prezesem) moją książkę pt. *Kruchość. Sonetti a corona*, opatrując ją zyczliwym posłowiem, a jeszcze niedawno mobilizował mnie do przygotowywania kolejnej...

Nie będę w tym skromnym wspomnianiu Edwarda Zymana omawiać jego twórczego dorobku na obczyźnie, gdzie znalazł się po traumie stanu wojennego, aresztowaniu i rocznym pobycie w siedmiu ośrodkach internowania. To zadanie jego przyjaciół pisarzy i poetów, krytyków literackich, takich jak Andrzej Piskulak, który zaledwie kilka miesięcy temu opublikował w Kielcach, więc na rodzinnej ziemi Edwarda – czy przeczuwając, że będziemy czytać *post mortem*? – biografię literacką przyjaciela pt. *Świat jest zawsze obok. Kilka głoś do portretu Edwarda Zymana z wyborem wierszy poety*. Wiedziałam o powstającej książce od Edwarda. To on sam zadbał, żeby autor przysłał ją także na mój adres... Dopilnował też, żeby jego własne, najnowsze książki z roku 2021 znalazły się w mojej bibliotece. Wiedział, że będą przeczytane, że mam osobną półkę na zbiórki poezji, na tomy opracowań o emigracyjnych twórcach, które przysyłał z Mississauga przez ostatnie pięć lat. I że stoją obok najwcześniejszych jego książek, którymi obdarował mnie ponad czterdzieści lat temu, kiedy do naszego domu w Tychach przyjeżdżał z nieodległych Katowic. Chcę „oddać głos” dedykacjom oraz listom najdawniejszym i z lat ostatnich.

Dzisiaj trudno powiedzieć, czy początek naszej przyjaźni z lat młodości dała tylko poezja i dziennikarstwo, czy także pewne podobieństwo losów:



Od prawej: Edward Zyman z żoną Anną oraz Krystyna Konecka.  
28.01.1979 Fot. Konstanty Konecki

że znaleźliśmy się na Górnym Śląsku z tak odległych regionów jak on, urodzony w Dobromierzu w woj. świętokrzyskim, i ja – repatriantkie dziecko rodziców z Wileńszczyzny, powite w ponemieckim Dobiegniewie i przywiezione w wieku dziewięciu lat z Gorzowa Wielkopolskiego do – również rodzącego się miasta – Tychy. W 2016 roku, kiedy po wielu latach nawiązaliśmy ponownie przyjazne kontakty, pisałam o Edwardzie Zymanie w e-dwutygodniku „Pisarze”: „...poeta i prozaik, publicysta i krytyk literacki, wydawca, autor książek dla dzieci i młodzieży... redaktor wielu czasopism, kilkudziesięciu tomów poezji, prozy i wspomnień. Animator niezliczonych działań integrujących ludzi pióra oraz ich entuzjastów i sympatyków.

Edward Zyman należy do najbardziej uznanych polskich twórców w Kanadzie. Był członkiem-założycielem prestiżowej Fundacji Władysława i Nelli Turzańskich w Toronto, w której pracach uczestniczył aktywnie przez blisko 30 lat – w ostatnim okresie jako jej wiceprzewodniczący – do 2015 roku, gdy zakończyła swoją działalność. Od początków lat 90. związany jest z Polskim Funduszem Wydawniczym, któremu prezesuje przez ostatnich kilkanaście lat. Jest to instytucja wyjątkowych zasług dla polskiego pisarstwa na obczyźnie. W jej dorobku znajduje się blisko 150 pozycji książkowych – tomów wierszy, prozy i eseistyki, antologii poetyckich, prac naukowych poświęconych m.in. tak wybitnym twórcom, jak Andrzej Busza, Bogdan Czaykowski czy Wacław Iwaniuk. To czysty przypadek, że pragnęłam przypomnieć sylwetkę Edwarda Zymana w roku, w którym mógłby obchodzić jubileusz 45-lecia swego książkowego debiutu *Dialogi pierwsze*, po którym jeszcze w Polsce opublikował kolejne tomy poetyckie: *Dzień jak co dzień* (1978), *Co za radość żyć* (1979) i *W czyim obcym domu* (1981), wszystkie w Katowicach. Po latach uzupełniły tę listę zbiory

wydane w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie: *Jak noc, jak sen* (1987), *Z podręcznego leksykonu* (2006), *Jasność* (2011) i *Poemat współczesny* (2014).

...Ale wtedy, w latach 1974-79 Edward Zyman, już po debiutanckiej książce z roku 1971, należał do najaktywniejszych animatorów ruchu młodoliterackiego właśnie na Śląsku, i – podobnie jak innych zaczynających stawiać pierwsze kroki w poezji – wypatrył także mój debiut w roku 1972 – wiersz na łamach opiniotwórczego, katowickiego dwutygodnika społeczno-kulturalnego „Poglądy”. Kiedy więc przy macierzystym tygodniku „Echo” w Tychach utworzyłam grupę poetycką, znaleźliśmy w osobie Edwarda życzliwego opiekuna, recenzenta naszych prób twórczych, promotora warty publikacji utworów. Edward Zyman był po prostu jednym z nas, i cieszyły nas jego, coraz ważniejsze, funkcje, kiedy w roku 1975 został przewodniczącym Rady Krajowej Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy, a później przewodniczącym Koła Młodych przy katowickim Oddziale Związku Literatów Polskich.

„Wraz z Józefem Górdziałkiem – wspominałam na portalu Pisarze – przygotowali i wydali w roku 1975 bardzo ważny podówczas w środowisku katowickim i nie tylko, almanach poezji i prozy pt. *Młody Śląsk literacki*. Jedną z wielu, jak na tamtejsze możliwości, pozycję promującą dojrzałych, ale też – debiutujących twórców. Byliśmy wtedy wśród tych raczkujących, a zauważonych. Parę lat później „spotkaliśmy się” w tzw. czarnej serii edytorskiej Śląsk Literacki (drukowanej na pakowym papierze) przez katowicki oddział ZLP: kilkoro nas, „symbolistów” z debiutanckimi tomikami i nasz mistrz, Edward Zyman, absolwent socjologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, po książkowym debiucie, autor wierszy publikowanych w najważniejszych literackich periodykach i antologiach, laureat m.in. Łódzkiej Wiosny Poetów, Oleśnickiego Maja i Rubinowej Hortensji”.

Teraz, wracając do archiwaliów, odnajduję jeden z odręcznych listów Edwarda, z datą 25 III 75 r. „Krystyno, miałem szczery zamiar wysłać ten list znacznie wcześniej, ale – rozchorowałam się. Wysyłam tedy teraz i zapraszam całą Twoją „czelodkę” do Katowic w dniu 6 kwietnia... Pozdrawiam Was serdecznie. Ukłony dla męża. Edward”. To najstarszy z zachowanych listów. A wspomnienia? Właśnie od mojego męża Edward pożyczył kozuch barani, uszyty z prawdziwych skór na Podlasiu,

kiedy swoim maluchem zabrał mnie zimą 1975/76 do jakiejś miejscowości na wieczór literacki. Pamiętam i to, że na miejscu zastaliśmy zamknięte, zasypane śniegiem wierzaje domu kultury, bo organizatorom pomyliły się terminy tego spotkania... Zanim w połowie roku 1979 opuściliśmy Tychy na zawsze, Edward otrzymał kozuch na własność za symboliczną złotówkę...

W roku 1978 w czarnej serii ukazał się zbiorek mojej grupy pt. *Słowo rozcięło mi wargi* ze wstępem Edwarda Zymana, wyszedł też jego tomik pt. *Dzień jak co dzień* oraz moje, debiutanckie *Sonet codziennie*, które dały początek trwającej dotychczas przygodzie twórczej z tą formą poezji. W podarowanej nam swojej książeczce Edward napisał: „Krysi i Kostkowi z serdecznością i przyjaźnią tę garść gorzkich wierszy, które dodane do *Sonetów codziennych* dają taki nasz zwykły, trochę dobry, trochę zły, trochę nijaki *dzień jak co dzień*. Edward Z. 28.I.79”.

Tego dnia przyjechali do nas z Katowic oboje: Edward z żoną Anią. W naszej „kronice rodzinnej” na pamiątkowy wpis Edward znalazł stronę z ilustracją plastra miodu, więc każde z ośmiu okienek wypełnił czarnym pisakiem: „Nieustająco miodowych dni wielu, tygodni, miesięcy i lat; sukcesów prywatnych i rodzinnych, artystycznych, nowych wspianiałych znajomości, niepowtarzalnego nastroju w domu (przedmiotu kosmicznej zazdrości znajomych, tych mieszkających w blokach szczególnie) własnym, pięknym, bliskim choć dalekim, niespożytego optymizmu, aktywności godnej pozazdroszczenia – z pewnym żalem, że drogi nasze do Białegostoku nie wiodą, życzą najserdeczniej A. i E. Zymanowie. Tychy 28 I 79”. Niżej, pod rysunkiem miotyły: „...i wymiataj wrogów Koneckich (jeśli się zdarzą tacy, co jest mało prawdopodobne). Jeszcze raz Zymanowie”.

Nie mieliśmy wyobrażenia, co się wkrótce wydarzy z naszym życiem. Pół roku później przeprowadziliśmy się z dziećmi do Białegostoku. Wiosną 1980 roku odwiedziłam Edwarda Zymana w katowickiej Rozgłośni Polskiego Radia, gdzie był zastępcą kierownika Redakcji Literackiej (i chyba jeszcze w tym samym czasie kierownikiem literackim Zespołu Filmowego „Silesia”). W podarowanym nowym zbiorze wierszy (koniec roku 1979) pod jakże wymownym tytułem *Co za radość żyć* autor napisał: „Nieodżałowanym *zdrajcom* kwitnącego

Śląska, czyli Krystynie i Kostkowi z najlepszymi życzeniami pomyślności wszelakiej oraz konsekwentnych awansów, z serdecznością i przyjaźnią Edward. Katowice, w kwietniu 80”.

Przyjazne relacje łączyły nas przez pięć lat (1974-1979). Również przez pięć lat (2016-2021) trwała przyjacielska, nieprzerwana korespondencja między Kanadą i Polską, kiedy nawiązaliśmy kontakty bezpośrednie. Niech dokumentem tych relacji – i przemyśleń autora, które odnajduję w jego twórczości – będzie fragment listu Edwarda Zymana z 4 lipca 2016 roku: „Świat toczy się, niestety, w złym kierunku. Myślę, że relatywizm wartości poszedł zdecydowanie za daleko, cała ta ponowoczesność wróży nam nie najlepiej”. O emigracji: „Wszystko trzeba tu budować na nowo, a i tak z reguły okazuje się, że wznosimy budowle z piasku”. „Od czasu do czasu coś napiszę, wydam, zredaguję... Czuję się jak typowy outsider. Pełen dystansu do życia, które wokół, także w Polsce, kipi i wrze, choć ja

wiem, że to wszystko marność nad marnościami... Złudzenia i miraż. A tak naprawdę liczy się tylko kilka podstawowych prawd i wartości, o których współczesność pamiętać nie chce...”. I wspomnienia najdawniejsze: „Jak przez mgłę przypominam sobie moje wizyty w Tychach, spotkania u Ciebie w domu, Mariana [Taborskiego, poetę – przyp. KK] dzięki któremu uzyskałem prawo jazdy (gdyby nie on, nigdy nie uwierzyłbym, że potrafię prowadzić samochód), jakąś sprzeczkę na ulicy w Tychach ze Stanisławem Wilczkiem [publicysta z „Poglądów” – przyp. KK]... i to już wszystko”.

I to już wszystko... W dniu 6 grudnia otrzymałam z redakcji rzeszowskiego czasopisma „Fraza” (z którym Edward Zyman ściśle współpracował) – najnowszy zbiór wierszy poety pt. *Światłoczułe znaki czasu. Wiersze okolicznościowe*.

Edward odszedł 18 listopada 2021 roku.

Krystyna Konecka



Książki Edwarda Zymana od lat 70. po rok 2021 – autorskie, zredagowane, bibliofilskie, serie i opracowania o poecie  
Ze zbiorów Krystyny Koneckiej

## Kieleccy literaci mają własny kąt

Na kulturalnej mapie Kielc, obok wspaniałych zabytków, Pałacu Biskupów Krakowskich, Bazyliki Katedralnej Wniebowzięcia NMP, ale także i Muzeum Lat Szkolnych Stefana Żeromskiego, wielkiego polskiego pisarza wychowanego w Górach Świętokrzyskich, pojawił się 5 maja nowy punkt. Po prawie czterdziestu latach istnienia Oddziału Kieleckiego ZLP, świętokrzyscy literaci doczekali się stałej siedziby, mieszczącej się w Pedagogicznej Bibliotece Wojewódzkiej w Kielcach.

Z tej okazji w piątkowe południe odbyła się piękna uroczystość finalizująca aktywne starania Prezes Anny Zielińskiej-Brudek, które doprowadziły do tego, że dyrektor tej wielce zasłużonej Biblioteki, Sylwester Kasprzyk, otworzył świętokrzyskim wirtuozom słowa drzwi do wymarzonego lokum, w którym miłośnicy literatury będą mogli spotykać się z twórcami w ramach wieczorów autorskich i cyklicznych dyżurów. Takiego miejsca brakowało

kieleckim twórcom, bo choć w ostatnich latach spotkania literatów mogły odbywać się gościnnie w Domu Środowisk Twórczych Pałacu T. Zielińskiego, to teraz nasi twórcy będą mogli sami decydować o terminarzu, nie oglądając się na innych.

Sama uroczystość otwarcia miała bardzo uroczystą oprawę i wspaniały, podniosły charakter. Frekwencja przeszła wszelkie oczekiwania; obszerna sala konferencyjna biblioteki pękała w szwach. Na uroczystość przybyli liczni zaproszeni goście.

*Bogusław Wiłkomirski*

Zachęcamy do przeczytania wybranych relacji z otwarcia Kieleckiego Oddziału ZLP w następujących serwisach: Związek Literatów Polskich, Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka w Kielcach, Radio Kielce, Radio eM Kielce, Echo Dnia, Wyborcza.pl Kielce.



Na otwarciu siedziby Kieleckiego Oddziału ZLP: prezes Anna Zielińska-Brudek, prof. Bogusław Wiłkomirski (wiceprezes, tu w stroju profesora honoris causa Narodowego Uniwersytetu w Taszkencie), dyrektor Biblioteki Pedagogicznej, Sylwester Kasprzyk, oraz zaproszona młodzież z Ukrainy.



Ksiądz biskup Marian Florczyk dokonuje poświęcenia siedziby Kieleckiego Oddziału ZLP



Członkowie Kieleckiego Oddziału ZLP oraz zaproszeni goście



Na uroczystość przybyli m.in. od lewej: Andrzej Dąbrowski, Wojciech Lubawski, Henryk Milcarz



Zdjęcia pochodzą z archiwum Biblioteki Pedagogicznej w Kielcach

## Konkursy literackie `2023

Można chyba śmiało powiedzieć, że nasze miasto staje się (raczej już się stało) prawdziwą stolicą literackich, twórczych wysiłków zarówno młodych, początkujących, jak też doświadczonych ludzi pióra. Dzięki inicjatywie i zaangażowaniu wielu osób żywiłowo rozwijają się literackie konkursy, w których z roku na rok bierze udział coraz więcej piszących. Cieszy to szczególnie nas, literatów, którzy z uwagą i zainteresowaniem przyglądają się nowym literackim propozycjom.

Oto konkursy, w których jako jurorzy mieliśmy zaszczyt i przyjemność oceniać ich bogaty plon.

„Tak widzę świat, tak go czuję. #dobre\_słowa”. Organizatorami wydarzenia byli Wojewoda Świętokrzyski i Polskie Radio Kielce.

To już czwarta edycja konkursu na krótkie opowiadanie (po pierwszej w 2020 r.), cieszącego się coraz większym zainteresowaniem, o czym świadczy zarówno ilość prac, z roku na rok coraz większa (w 2023 ponad 420), jak również decyzja, aby w tej odsłonie rozszerzyć konkursową rywalizację oprócz dorosłych również o dzieci i młodzież ze szkół podstawowych i ponadpodstawowych.

W kategorii szkoły podstawowe zwyciężył **Piotr Ogórkiewicz** za opowiadanie *Naścienne*, w kategorii szkoły ponadpodstawowe **Anna Krawczyk** za opowiadanie *Zgubione słowa* oraz w kategorii open **Agata Bisiecka** (ps. Wiktor Orłowski) za opowiadanie *Dobre słowa ciężko mówić*.

W każdej z trzech kategorii laureat pierwszego miejsca otrzymał Złote Pióro Wojewody Świętokrzyskiego oraz 5 tys. zł ufundowane przez Polskie Radio Kielce.

Organizatorzy i jurorzy serdecznie pogratulowali zwycięzcom i wyróżnionym. Uroczysta gala odbyła się 14 czerwca 2023 roku.

Prawie w tym samym czasie, bo 16 czerwca 2023 roku w Kołobrzegu został rozstrzygnięty I Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Stanisława Nyczaja pn. „Przedążyć pęd Ziemi”.

Pomysłodawcami tego wyjątkowego konkursu, będącego *de facto* uhonorowaniem osoby Stanisława Nyczaja, zmarłego w 2022 roku, jego wieloletniego wkładu w przygotowanie merytoryczne i prowadzenie nadmorskich plenerów literackich – jest prężnie działający kołobrzeski oddział Stowarzy-

szenia Autorów Polskich. Konkurs ten odbywać się będzie co 2 lata.

Jury w składzie Eugeniusz Orłow (przewodniczący, SAP Warszawa), Małgorzata Węgrzynowicz-Plichta (ZLP o/Kraków) oraz Piotr Bednarski z Kołobrzegu (ZLP o/Koszalin) postanowiło przyznać za zestawy pięciu wierszy następujące nagrody i wyróżnienia:

I – **Milena Gojny-Zbierowska** z Chorzowa (nagroda 700 zł), II – **Jadwiga Miesiąc** z Kępna (nagroda 500 zł), III – **Ewa Bułgajewska-Grygiel** z Olsztyna (nagroda 300 zł) oraz wyróżnienia (po 200 zł) dla **Izabeli Brandt** z Kościerzyny i **Anny Wiłkomirskiej** z Warszawy.

Marian Jedlecki – prezes SAP o/Kołobrzeg oraz przedstawiciele władz Miasta Kołobrzeg serdecznie pogratulowali laureatom.

Kolejny ważny dla Kielc Ogólnopolski Konkurs na Opowiadanie im. G. Herlinga-Grudzińskiego odbył się już po raz trzeci pod patronatem Marszałka Województwa Świętokrzyskiego i dzięki niestrudżonym organizatorom, którymi są Ośrodek Myśli Patriotycznej i Obywatelskiej oraz Miejska Biblioteka Publiczna im. Jerzego Pilcha w Kielcach. Wręczenie nagród odbyło się w ramach trwającego w dniach 1–11.09.2023 r. Festiwalu pn. „Pociąg do literatury”. To już trzecia edycja tego cieszącego się coraz większym zainteresowaniem konkursu literackiego pod hasłem „Pielgrzym” – po pierwszym „Wieża” i drugim „Most”. To słowa symboliczne w twórczości patrona konkursu, które dla uczestników stały się prawdziwym literackim wyzwaniem. Tegoroczna edycja przyniosła plon w postaci ponad 320 prac. Laureatką została **Marta Malon** za opowiadanie *Droga* i otrzymała nagrodę w wys. 5 tys. złotych. Poza tym Jury postanowiło przyznać 18 wyróżnień.

Organizatorzy i jurorzy serdecznie pogratulowali laureatce oraz osobom wyróżnionym.

*Red.*

Relacje z konkursów ukazały się na portalach: Radio Kielce, SAP Oddział Kołobrzeg, OMPiO.



Szanowna Pani  
**Anna Mieczkowska**  
Prezydent Miasta Kołobrzeg

Pragnę tą drogą serdecznie podziękować Pani oraz Współpracownikom Urzędu Miasta Kołobrzeg za życzliwe wsparcie wspaniałej inicjatywy Stowarzyszenia Autorów Polskich Oddziału w Kołobrzegu, którą był Ogólnopolski Konkurs Poetycki imienia mojego Męża, Stanisława Nyczaja.

Inicjatywę tę powzięli prezes SAP Marian Jedlecki przy nieocenionej pomocy małżonki Barbary.

Mój mąż od 15 lat współpracował z pp. Jedleckimi, prowadząc słynne już w całym kraju i cieszące się zasłużoną renomą nadmorskie plenery literacko-plastyczne jako komisarz-opiekun literacki.

Ogłoszenie przez pp. Jedleckich tego konkursu, niezwykle sprawne przeprowadzenie go, powołanie profesjonalnego jury, wreszcie zwieńczenie w formie pięknej uroczystości wręczenia nagród w kołobrzesckim ratuszu – zasługują w moim pojęciu na najwyższy podziw i uznanie.

Ten konkurs jest ponadto – tak czuję – prawdziwym upamiętnieniem mojego Męża, swoistą formą kontynuacji jego działalności, jego wkładu w rozwijanie twórczych możliwości ludzi pióra, dla których Nadmorskie Plenery Literackie stanowiły coś więcej, niż tylko wypoczynek nad pięknym polskim morzem.

Wszystkim osobom, które pomogły i – mam nadzieję – będą nadal wspierać tę piękną inicjatywę – wyrażam najgłębszą wdzięczność.

*Irena Nyczaj*  
*pisarka, ilustratorka, wydawca*  
*Kielce, 26 czerwca 2023*





Romuald Bielenda

**Rozmowy niekontrolowane ze Stachem****Rozmowa rodzinna Jana Lechickiego\****Retrospekcja Autora*

Ten czas –  
 jak zapach bzu  
 nas nie opuszcza  
 nawet wtedy  
 gdy przechodzi życie  
 pielęgnowane na co dzień  
 w albumach rodzinnych

91 lat –  
 w nich tyle myśli  
 w tomikach zebranych  
 i tym ostatnim  
 o okładkach zielonych  
 dzielonym twórczo  
 z Wnukiem  
 miłością wzajemną

\* Jan Lechicki – lekarz, pisarz, wiceprezes Oddziału Kieleckiego Związku Literatów Polskich (śp. 23.06.2022)

**Barwy Ojczyzny**

Żyję w kraju  
 gdzie dźwięk dzwonu  
 tyczy granice

przyroda  
 bez zaglądania do kalendarza  
 obrazami maluje  
 pory roku

sąsiad  
 bez zapowiedzi pukania  
 nawiedza sąsiada

kwiaty i zieleń  
 wonią i kadzidłem  
 czczą  
 idące ulicami  
 Boże Ciało

Kielce, Boże Ciało 16.06.2022

Rozmawiamy o Edenie...  
 w Raju obłąkanie –  
 z edukacyjnej jabłoni  
 zrywa się  
 jabłka niedojrzałe

Sąsiedzki naród  
 walczy z agresorem o sumienie  
 samotny  
 niczym Kasjopeja  
 o niebo w kosmosie

Literacka łączka  
 usuwa  
 wyrosłe na niej kamienie

Wstaje świt  
 objawia dzień

ociepli słońcu promienie?

**Porażka człowieka**

Chcemy  
 by zawsze świeciło słońce  
 kwitła wiosna  
 a maturzystom kasztany

Ukraina – tam wojna  
 rodzi uczucia skrajnie  
 oddalone

Ulica zwłok –  
 obok roweru leżący człowiek  
 to nie groteska z udziałem pijanego  
 komputerowa gra  
 to strzał bezmyślni podoficerze  
 nie do czołgu  
 tekturowej tarczy  
 lecz w bezbronnego

Porażka człowieka  
 dożywocie dla honoru  
 ubranego w mundur!

Kielce, 05.2022

## Napoleon, syn Napoleona

(Rozdział 1)

Siedemnasty lutego 1843 roku zaczął się w kozłowskim dworze zwyczajnie, ale w zwyczajności często kryje się niespodziewane. Ono nie ma swojego dnia, więc pojawia się nieprzewidywalnie i zawsze czymś zaskoczy. Nigdy, przenigdy człowiek, nawet o największym rozumie i przeczuciu, nie wybiegnie przed naturę, przed przeznaczenie, bo każdy należy nie tylko do siebie samego, ale do wody, do góry, do słońca, do ziemi, do sił największych i niezbadanych...

Lekka odwilż ucieszyła służbę, mróz zelżał, a kominki i piece nareszcie radziły sobie z ogrzaniem dworu. Dziedziczka Henryka Rzewuska lubiła ciepło, a teraz, będąc w stanie błogosławionym, potrzebowała go jeszcze więcej. Przesiadywała ostatnio przy kominku z książką albo z robótką ręczną i czekała na narodziny dziecka. Często też przeglądała wyprawkę, któryś już raz przekładała w szufladach koszulki, czapeczki i pieluszki. Obrębiała szydełkiem grubsze flanelowe prześcieradła i kocyki; wiadomo, luty lubi ścisnąć mrozem, a marzec chłodem i wiatrem, więc ciepłe rzeczy się przydadzą. Napuszony bet w strojnej haftami i koronkami powłoczce już od dwóch miesięcy czekał na ten ważny dzień.

Dziedzic Napoleon Rzewuski starał się pomagać żonie w ostatnich dniach przed rozwiązaniem, jak tylko umiał. Sam zajęty sprawami zawodowymi w zakładach metalowych w Bobrzy, zadbał, aby wokół żony byli ludzie jej przychylni, ale też znający się na rzeczy. Co raz przed oczami stawał mu obraz córeczki, Broni, która zmarła miesiąc po urodzeniu. Gdyby wtedy był w domu, gdyby szybciej przyjechał lekarz, gdyby... Dziedziczka bardzo przeżyła śmierć maleństwa. Razem z nią płakała służba dworska, wszak to Wawrzyniec Saladra i Walenty Dziegłowski świadczyli w kościele o jej narodzinach, a Jan Włodarczyk, szanowany włościanin kozłowski i Tekla Karkochowa, akuszerka, zostali rodzicami chrzestnymi dziewczynki. Miesiąc później to oni zgłosili do księdza Kotulskiego, proboszcza parafii w Kozłowie, zgon Broni. Dziedziczka długo potem chorowała, dostała zapalenia piersi i nie mogła dojść do zdrowia. Nawet trzyletnia Ludomira, szczebiocąca i domagająca się pieszczoty matki, nie

była w stanie jej rozweselić. Luty 1841 roku był dla całej rodziny bardzo bolesny. Dobrze wszyscy zapamiętali mroźny dzień, kiedy maleńką trumienkę umieszczano w lodowatym grobie na kozłowskim cmentarzu. Nawet natura się buntowała. Mróz tak ścisnął ziemię, że trzeba ją było traktować kubłami gorącej wody, aby zacząć kopać grób. Bronisia jako pierwsza z rodu spoczęła w tej wsi na stałe. Takie piękne imię miała, a nie obroniła się przed podstępą śmiercią.

Toteż dziedzic robił wszystko, aby ułatwić Henryce czas oczekiwania na dziecko i otoczyć ją fachową opieką przy porodzie oraz zadbać o zdrowie maleństwa. Wszystko zostało uzgodnione. Doktor Antoni Andrzejewski z Kielc, wielce ceniony kierownik Przychodni Górniczej w Miedzianej Górze, czekał na powiadomienie. Akuszerka kielecka, Zaborowska Maryanna, bardzo dobra i doświadczona w swoim zawodzie, już dwa razy była we dworze i właśnie dzisiaj oczekiwano jej ponownego przyjazdu. Zbliżała się dziewiąta, służba podała ciasteczka i herbatę, gdy Wawrzyniec oznajmił przybycie akuszerki. Po krótkim powitaniu i małym poczęstunku obie kobiety przeszły do pokoju, który był przeznaczony na czas porodu. Długo rozmawiały, roztropna położna zbadła dziedziczkę i zdecydowała, że zostanie we dworze do wieczora, a może i na noc. Wielmożna Tekla Suchodolska trwożnym głosem pytała ją o stan zdrowia ukochanej wnuczki.

– Spokojnie, pani dziedziczko, brzuch napięty, ale to zwyczajne. Wielmożny Rzewuski wyjechał, więc zostanę na noc. Taka była umowa między nami, że jeśli będzie musiał przedsięwziąć wyprawę do Warszawy, to ja obejmę opiekę. Zobaczmy, jak się ułoży noc, pani dziedziczko. Proszę być spokojną o wnuczkę. O wszystkim będę informować.

Przyszła pora obiadu. Dziedziczka Henryka śmiała się, żartowała i jedynie bystre oko babci dostrzeżało zmiany na jej twarzy. To jakiś grymas, to głębszy oddech, to drgnienie ust. Częściej też niż zwykle kładła rękę na brzuchu. Tekla Karkochowa, znająca się na akuszerstwie, podeszła z poduszeczką i wsunęła ją pod plecy dziedziczki. Henryka podziękowała uśmiechem. Wawrzyniec przyniósł specjalną poduszkę, zwaną tu „szypulanką”, i podłożył swojej pani pod stopy. Starsza pani Suchodolska zagadnęła o tłusty czwartek. Na samą myśl o wybornych pączkach z nadzieniem różanym i kruchych faworkach niektórym ciekła ślinka. Józefa, siostra dziedzica, zapewniła, że nie zabraknie tego specjału, przygotowała bowiem

kilka słoiczków konfitury na tę okoliczność. Obiad trwał długo, smakowano kapuśniak na wieprzowinie, potem na stole pojawiła się wołowina w sosie chrzanowym i wyborne kiszki, specjał kucharki. Na koniec zapachniało wiśniami. Kandyzowane owoce ułożone na mlecznym budyniu wyglądały, jakby je przed chwilą zerwano z drzewka. Przy deserze rodzina wspominała zwyczajnie karnawałowe, a szczególnie lutowy kulig sprzed kilku lat, kiedy dziedziczka, jeszcze wtedy panienska Suchodolska, w czasie szalonej jazdy wypadła na zakręcie w zwał śniegu, a szarmancki kawaler Napoleon wyskoczył jak sprężyna z rozpedzonych sań i wydobył ją z zasy. Henryka uśmiechała się... Od tej wariackiej sanny wszystko się zaczęło. A nie chciała wcale jechać. W grudniu zmarł jej ojciec, Tadeusz. Została sierotą, nie potrafiła się niczym cieszyć. To babcia Suchodolska namówiła ją, aby się choć na trochę wyrwała ze smutnego dworu.

W tym roku nie było kuligów ani nawet balu noworocznego, bo wszystko podporządkowane było narodzinom dziecka. Służba i wieś bawili się po swojemu, przy tańcach i gorzałce, ale dwór trochę mniej. Jedynie polowanie było tradycyjne. Lodowa piwnica była już pełna. Część mięsa kupili hurtownicy, bo spiżarnia nie mogła wchłonąć takiej ilości wartościowego dobra z okolicznych pól i lasów.

\* \* \*

Napoleon zwykle wracał z Bobrzy około siódmej wieczorem. Choć w zimie było to uciążliwe, przyjeżdżał codziennie. Wypadł mu jednak wyjazd służbowy do Warszawy. Tej wyprawy mocno się obawiał, ale sprawa zakładu metalowego w Bobrzy bardzo go absorbowowała. Żona czuła się dobrze, wizyta położnej złagodziła obawy o jej zdrowie, więc pojechał. Sprawy służbowe przeciągnęły się do późnego obiadu, którym podjął go starszy o cztery lata brat, Wincenty. Brat miał niezłe płatną pracę rachmistrza w sekcji poborów Wydziału Kontroli i Podatków Stałych Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu. Pracował w pięknym pałacu na placu Bankowym. Mieszkał przy ulicy Grzybowskiej, ale awans pozwalał mu teraz planować przeprowadzkę bliżej miejsca pracy i wynajęcie większego mieszkania. Kozłowski dziedzic cieszył się z tego. Wincenty, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, po powstaniu listopadowym złożył przysięgę na wierność carowi i dostał zatrudnienie zgodne ze swoim wykształceniem w urzędzie carskim w War-

szawie. Miał wgląd do akt Dopływu Kieleckiego w tym urzędzie, niejedną raz służył radą i pomagał doprowadzić do porządku skomplikowane sprawy podatkowe, ubezpieczeniowe i spadkowe kozłowskiego majątku. Na Grzybowskiej zawsze czekał na Napoleona gościnny pokój. No i zawsze Wincenty dużo opowiadał o tym, co się wydarzyło w Warszawie, Poznaniu, we Lwowie, wiedział, co działo się w polityce czy oświacie. Rozmowy zwykle przeciągały się do późnych godzin wieczornych. Dzisiaj z zapałem opowiadał o tym, że na mocy dekretu cesarskiego Ferdynanda I jest szansa utworzenia we Lwowie Akademii Technicznej. Podpisano w styczniu odpowiednie dokumenty.

– Bracie kochany, wyższa szkoła techniczna jest nam niezmiernie potrzebna, no nie nam już, ale naszym synom potrzebna, Polakom potrzebna. Cóż znaczy odbudowa i budowa kraju bez zaplecza technicznego, bez myśli nowoczesnej, bez ludzi zaangażowanych w rozwój kraju, z wiedzą i praktyką techniczną.

– Wincenty, to rewelacyjna wiadomość. Oby doszło do otwarcia, oby jak najszybciej. Staszic miał wielkie plany. Do Kielc sprowadził wspaniałych profesorów z dorobkiem naukowym. A już siedziba uczelni akademicko-technicznej! W samym Pałacu Biskupim. Nauka bezpłatna, laboratorium w Białogonie do dyspozycji studentów, praktyki w Samsonowie, Bobrzy, Miedziance – również bezpłatne, a nawet więcej, mieliśmy skromne wynagrodzenie. Ile to lat? Szesnaście. Szesnaście lat minęło, jak wylądowałem w Bobrzy na praktykach. Mogłem w Białogonie, ale jakoś tak wyszło. Miało być na pół roku, góra rok. Uczelnię Staszica zlikwidowano. Szkoła miała się odrodzić w Warszawie. Marzyła mi się stolica i... praca na uczelni. Nic z tego nie wyszło. Utknąłem w Bobrzy, bo taki był plan przetrzymania studentów do czasu otwarcia wyższej szkoły technicznej w Warszawie. Gdybym poszedł waszym śladem na Uniwersytet Warszawski, zapewne miałbym teraz takie problemy jak ty, albo dla przeciwwagi, jak Mateusz czy Ignacy. Poszedłbym do powstania, a potem dylemat: zgodzić się czy nie zgodzić na przysięgę carowi, wyjechać z kraju jak Łabęcki czy poniewierać się od majątku do majątku... Ale inna myśl mnie teraz nurtuje. Wincenty, moim zdaniem kielecka myśl techniczna mogła mieć wpływ na tworzenie się Akademii Technicznej we Lwowie. Pragnienia o polskiej szkole technicznej musiały się gdzieś ulokować. Najłatwiej nam teraz w Galicji. Ależ

jestem tego ciekaw! Czy i którzy profesorowie tam przeszli? Nie wiesz?

– Sentymentalny jesteś. Nie wiem. Na razie tylko decyzja. Za rok pogadamy, chociaż rok to za mało, aby zorganizować uczelnię. A, przypomniało mi się... Byłem na przedstawieniu sztuki Aleksandra Fredry *Śluby panińskie*. Jak wiesz, hrabia Stanisław Skarbek ufundował we Lwowie teatr. Wielki gest, przewidujący umysł. Nie żyje już ponad piętnaście lat, a jego teatr trwa. Nie wiadomo do dziś, co w tym człowieku podziwiać: czy jego wiedzę olbrzymią i rozległe wykształcenie, zwłaszcza humanistyczne, czy wielki dar zakładania i prowadzenia interesów, dokładność i sumienność, czy głębię i logikę myśli, czy wreszcie szlachetność i dobroć. W jego teatrze przez trzy dni w tygodniu grane są sztuki polskie. Język ojczysty tak mile łaskocze uszy, że aż dusza się budzi. Ale przygoda mnie potem spotkała! Wyobraź sobie, że ktoś doniósł moim carskim przełożonym o mojej tam bytności. Musiałem się tłumaczyć policmajstrowi, że żadna tam polityka, że komedia i tyle, że zabawa i panienki. Musiałem mu opowiadać i nawet dodać coś frywolnego od siebie.

Napoleon zauważył, że Wincenty wciąż spogląda na fotografię młodziutkiej kobiety. Niedawno zaręczył się z młodszą od niego o siedemnaście lat Teodorą Pudłowską, piękną panną herbowego rodu Kościesza z Lubiela. Był w niej nieprzytomnie zakochany. Dziedzic kozłowski bardzo był ciekaw planów małżeńskich brata. Czterdziestka na karku, najwyższa pora na założenie rodziny. Spotkania braci bywały zwykle poprawne, ale nie serdeczne. Dziś jednak rozmowa z Wincentym była przyjemnością i przeciągnęła się nieco, kraszona dobrą nalewką i wyborną szynką, przygotowaną przez kucharza rodziny narzeczonej i dostarczoną specjalnie na ostatnie dni przed Wielkim Postem. Czuło się, że przyszli teściowie akceptują takiego zięcia.

Na dużym meblu biurowym stała piękna, srebrna ramka, a z niej promieniowała uśmiechem na cały skromny pokój panna wyjątkowej urody. Maleńki nosek, nieco zadarty, nadawał jej twarzy niewysłowionego uroku, współgrały z nim śmiejące się oczy i nieco rozchylone usta. Puszysty warkocz spleciony z falujących włosów miał ochotę uwolnić się od podtrzymujących go szpilek. Wydawało się, że zaraz opadnie na ramię Teodory i sprowokuje ją do zabawy albo tańca. Śliczna sukienka w kwiaty subtelnie osłaniała długą szyję i ponętny dekolt

właścicielki. Napoleon pomyślał, że właśnie takiej panny trzeba było bratu: młodej, roześmianej, radosnej. Może wreszcie i na jego ustach pojawi się uśmiech.

Wincenty co chwila zerkał na to zdjęcie, z uwielbieniem w oczach właściwym tylko zakochanemu mężczyźnie. Uniesieniom i planom starszego brata nie było końca. Jak to się wszystko zmienia. Jeszcze dwa lata temu zarękał się, że małżeństwo nie jest dla niego. Kiedy wychylili któryś z rzędu kieliszek nalewki, dziedzic kozłowski spojrzął na zegarek i jakby go wskazówki ukłuły. Dziewiętnasta. Otrzeźwiał natychmiast i zmienił decyzję. Postanowił od razu wyjechać.

– Bracie kochany, wybac. Nie zostanę na nocleg. Innym razem nacieszymy się sobą. Nie zostanę. Bóg jeden wie, jak sobie radzą beze mnie teraz w Kozłowie. Zima... Henrysia delikatnego zdrowia, a ja daleko od niej. Gdyby tak, nie daj Boże, coś się jej stało albo dziecku...

– Napoleon, nie rozumiem! Miałeś zostać na noc. Sam mówiłeś, że Henryka ma opiekę doktora Andrzejewskiego i położnej. Z Kozłowa tylko ty do mnie zaglądasz, dzięki tobie czuję, że mam rodzinę, wiem, co się dzieje z matką, siostrą. Mateusz i Ignacy źle na mnie patrzą. Nie wybaczą mi chyba nigdy przysięgi złożonej carowi. Nie wybaczą... Mnie też te słowa brzęczą do dziś w głowie, zatruwają wesołą myśl. A co miałem zrobić? I ja miałem się tobie zwalić na głowę? Nie mam zmysłu praktycznego, nie ciągnęło mnie absolutnie do gospodarowania, wykształcenie umożliwiało mi pracę urzędnika. Warszawa mnie kusiła...

– Nie gadajmy teraz o tym, Wincenty. Czasami i grzech jest potrzebny, jest niezbędny nawet, aby żyć. Wszyscy z kraju nie wyjedziemy, wszyscy się nie zbuntujemy. Nasza wielka rzeka rodzinna rozlała się na małe rzeczki, niektóre spłynęły do podziemia. Tam utworzyły się jej rozgałęzione odnogi. W myślach jedynie kołacze nam się słowo Polska, jak ziemia obiecana. Tak jak łączące się rzeki Eufrat i Tygrys jednym nurtem wpadają do Zatoki Perskiej, tak i u nas może się stać podobnie. I ty nam będziesz potrzebny. Mówi się, że cel uświęca środki, a koniec wieńczy dzieło.

– Napoleon, ale wam łatwiej, jesteście rodziną, a to nam matka ciągle powtarzała, że nasza siła w rodzinie. Razem świętujecie, spożywacie posiłki, polujecie. Nie bywam u was, bo nie umiem sobie radzić z waszą niechęcią do mnie. A ja tu sam... Weźmiesz do Kozłowa zdjęcie mojej Teodory?

Napoleon skinął głową i poderwał się od stołu. Brat zapakował zdjęcie w elegancki, dekoracyjny papier i dla lepszej ochrony w ozdobne etui ze skóry.

– Ale tylko matce pokaż, tylko matce... Powiesz mi potem, jak ją widzi. Poczekaj chwilę, to jeszcze ci powiem, że nasz przyrodni brat, Aleksander, nawiązał ze mną kontakt. Wyprowadził się z Preczowa i dzierżawi teraz majątek Kleszczowa koło Zawiercia. Pytał o was. To może matce naszej się nie spodobać. Wiem, że cierpiała, kiedy ojciec ją skrzywdził, upokorzył romansem, a potem rozwodem. Pozbawił ją domu i oparcia na starość, ale Aleksander to nasz brat. Tego się nie da ukryć i nam wypada, chyba, tylko zaakceptować.

Napoleon nie wiedział, jak zareagować. Historia związku ojca z Anastazją Kamocką, choć omijana do dziś w rodzinnych rozmowach, była dobrze znana najbliższej rodzinie. Z uwagi na matkę nikt przy niej nie wspominał o Aleksandrze i jego siostrze Tekli, zrodzonych z szalonego związku ojca. Młodsza o piętnaście lat Anastazja tak oczarowała ich ojca, że wplątał się w płomienny, ale pogrążający go w oczach rodziny i przyjaciół romans. Urodził się syn, Ignacy Józef Aleksander, który w bardzo dziwny i skomplikowany sposób został zapisany na tym świecie. W Krakowie, w 1808 roku Aleksander został ochrzczony jako syn Aleksandra Żewuskiego z Agnes Kamocką. Żewuski przez Ż! Anastazja zapisana jako Agnes. Zanim przeprowadzono rozwód, urodziły się dwie siostry, Salomea i Teresa, których matką była Anna, prawowita małżonka Józefa. Salomea zmarła jako dziecko, a Teresa, nazywana z trzeciego imienia Józefą, mieszkała teraz w Kozłowie. A więc był czas, kiedy ojciec żył z dwiema kobietami.

Historia lubi się powtarzać. Brat Mateusz też się zaplątał. Związał się z wdową po sukienniku Koniecznyńskim. Ojciec jej, ekonom węgleszyński, zmarł już i Lucyna została bez oparcia. Mieszka w Wymysłowie, to mały folwark Borkowskich z Lipna. Tam zatrudniono ją jako pokojówkę i kucharkę jednocześnie. W zeszłym roku urodziła się z ich związku córka Filipina. Do dziś Mateusz nie zdecydował, co dalej. Córka ma wpisane w aktach kościelnych – ojciec NN. Porównał w myślach ojca i brata Mateusza. Przynajmniej Mateusz ma jedną kobietę. Pierwszy raz tak otwarcie rozmawiał z bratem o błędach nieżyjącego ojca.

– Wiem, wiem, Wincenty... Ja się urodziłem w lipcu, a on na drugi rok. Już w lutym był ten dziwny krakowski chrzest. Łatwo policzyć. Ojciec

zdradzał matkę. Zmienił swoje imię z Józefa na Aleksander i jeszcze ten jego świadomy błąd w nazwisku – Żewuski przez samo Ż. Śmiechu warte. Ksiądz musiał być dobrze opłacony, że się podjął takich wyinaczeń. Agnes Kamocka... Wiadomo, że Anastazja. Ciekaw jestem, jak u Aleksandra teraz w dokumentach? To wszystko matka wiedziała, a jednak urodziły się jeszcze potem dwie nasze siostry. A co słyhać u Aleksandra, a właściwie Ignacego? Takie to pokręcone u nas z tymi imionami!

– Aleksander żyje jako Rzewuski, przez Rz oczywiście. Ożenił się w trzydziestym dziewiątym z Weroniką Karwicką, mają dwóch synów, Stefanika i Broneczka. Mówię ci, Stefanek podobny do naszego ojca. Ruchliwy! Żywe srebro. Wszędzie go pełno! Miałem go przypilnować przez godzinę i wywiązałem się z tego, ale umęczył mnie na amen. Rozkoszne urwisy. Broniś ma ponad rok i uczy się chodzić. Piękna rodzina, a uroczą żoną Aleksandra znowu przy nadziei. Używają nazwiska Rzewuski przez Rz. Nie wypytywałem o te zadawnione krzywe drogi naszego ojca i jego jako syna. Stare dzieje. Ojciec nie żyje przecież już... dwadzieścia lat. A Aleksander? Usposobienia wesołego, chociaż tuła się od majątku do majątku. Właśnie w tej sprawie do mnie zajechał. Szuka czegoś na stałe. Żona z Warszawy, tu urodzona, tutaj jest grób jej matki i ojca, który tu kiedyś pracował w szpitalu wojskowym. Karwicki to kiedyś szanowana postać, był oficerem Wojska Polskiego. Herbowa rodzina. Kiedy nasz brat poznał Weronikę, była już sierotą. Ma co prawda dwóch przyrodnych braci, ale nie ma z nimi kontaktu.

– Błędy rodziców, które tak potępiamy, które niemiłosiernie nas boją, stają się potem naszym udziałem. Tak ci powiem. Wstyd. Córka już chodzić zaczyna, a Mateusz nabrał wody w usta. Nasz ojciec dał przynajmniej nazwisko synowi, co prawda pisane przez Ż, ale dał, co prawda ze zmienionym imieniem, ale była metryka. Ignacy Józef Aleksander nie był, przynajmniej na papierze, bękartem. Nie skazał nasz ojciec syna swojego na NN przy nazwisku ojca. A Mateusz, nasz brat, tak postąpił. I ja to wiem, patrzę na to i w pewnym sensie przyzwalam.

– Piękna chociaż ta nasza przyszywana bratowa?

– Piękna, przepiękna. Tak szcuplej kibici dawno nie widziałem, a nie nosi gorsetu. Włosy czarne, długie i falowane bez fryzowania, upina je w oryginalny kok. Nawet w fartuszkę wygląda uroczą. Wyższa nieco od brata. Nie dziwię się, że się zakochał, ale co dalej?

– Do mnie wiadomości o rodzinie nie docierają, do mnie nikt nie pisze o tym, co się dzieje w Kozłowie, co u braci, siostry, matki...

– A i o czym tu pisać? Bobrza i Kozłów, Kozłów i Bobrza... Co zarobię jako inżynier, wkładam w Kozłów. Teraz zamierzam wybudować mały dworek w Henrykowie, właśnie ze względu na Mateusza.

– Powiedz coś więcej o tym Henrykowie.

– Skromny folwark, ale żyć można. Mateusz byłby tam samodzielny. Sam zaproponował taką nazwę dla folwarku. To na cześć mojej żony, Henryczki, która zgodziła się, aby tam zamieszkał i administrował wydzielonym obszarem. Jest stajnia, stodoła, chlewy, dom dla służącego, młyn z olejarnią i karczma, a właściwie wyszynk. Dworek mały bym zbudował, taki trzydzieści siedem na szesnaście łokci. Trzy pokoiki z kuchnią. Na razie Mateusz mieszka w domu młynarza. Może wtedy sprowadzi tę swoją wdówkę do Henrykowa i uładzi swoje sprawy. Najdziwniejsze dla mnie jest to, że nasza matka nie przynagła Mateusza do ślubu, a przecież przeszkód natury formalnej nie ma.

– Może liczyła na lepszą partię dla syna? Może marzyły się jej dobra ziemskie, chociaż mały mająteczek? Zawsze pragnęła, aby synowie zdobyli wykształcenie i majątek, aby byli niezależni, ale z drugiej strony powinna stanąć... Nie, nie mam prawa tak mówić o matce, nie mam prawa jej oceniać. Posyłała nas do szkół, pilnowała wykształcenia, to dzięki jej uporowi wszyscy ukończyliśmy możliwe najwyższe i najlepsze szkoły. Zamyślił się chwilę Napoleon. Aż nadto widać było, że Wincenty szuka rodziny, że czuje się samotny, że brak mu rozmów, wspólnego przebywania z najbliższymi. Nawiązał kontakt z przyrodnim bratem, nazywanym z trzeciego imienia – Aleksandrem. A przecież nie było miłe dla matki i dla wszystkich pojawienie się Aleksandra i jeszcze Tekli później. Matka z radością sprowadziła się do Kozłowa zaraz po ślubie Napoleona z Henryką Suchodolską. Co tu powiedzieć bratu? Każdy się nagina. W domu po polsku, w szkole po rosyjsku albo po niemiecku... Car Mikołaj I uważał, że są tylko dwa typy Polaków: ci, którzy zbuntowali się przeciwko niemu, i ci, którzy są mu wierni. Pierwszych nienawdził, drugimi gardził. Napoleon nie miał ochoty teraz o tym rozmawiać z bratem. Trzeba tak żyć, jak się da.

Spoglądał teraz na Wincentego. Od lat mieszka skromnie. Wynajmuje na Grzybowskiej dwa pokoiki, gdzie tu przyjąć żonę, nawykłą do mieszkania w przestronnym dworku? Sprzęty tylko niezbędne:

w saloniku stół, biurko do pracy, komoda i sofa dla gościa. W tym pokoju je, pracuje i przyjmuje gości. Służąca dochodzi dwa razy na tydzień, sprząta i coś tam ugotuje. Przeważnie obiady je w mieście. Nosi się z miejską, jak typowy urzędnik carski. Wąskie spodnie, koszula i do tego skrojone na wzór munduru wierzchnie okrycie. Wygląda, jak jakiś model takiego urzędnika. Gdyby ktoś postawił go w witrynie sklepowej, to można by go wziąć za manekina. Wysokie czoło i podłużna twarz, owszem, dodawały powagi, ale i smutku. Uśmiech bardzo rzadko gościł na tej twarzy, a jeśli już, to bardziej przypominał grymas. Wincenty nie zapuścił wąsów, więc jego prostokątna twarz była łatwa do odczytania, jak kartka książki. Napoleon przypomniał sobie, że namawiał go do zapuszczenia i prowadzenia cienkich wąsów wzorowanych na zarostie Napoleona III, kupił bratu nawet odpowiednią bindę, ale ten stwierdził, że zakładanie bindy na noc jest niewygodne, a od pomad utrzymujących wąs w sztywności dostaje dziwnego wiercenia w nosie i kicha w najbardziej nieodpowiednich momentach i miejscach. Długie bokobrody, jakie ostatnio zapuścił, jeszcze bardziej wydłużały jego posępną twarz.

Nie dbał zbyt o ubiór. Jedno wyjściowe ubranie miał od kilku lat. Modne wówczas wąskie spodnie były tak wąskie teraz, że nie mógł swobodnie usiąść. Kamizelka i koszula też już swoje odsłużyły. Nie lubił krawatów. Halsztuk stracił kolory... Jako carski urzędnik powinien prezentować się bardziej elegancko.

Teraz właśnie na przyjazd brata założył ten wysłużony strój i siedział w nim, jak skrupowany niewydziałnymi sznurami. Wyczuł też, że Napoleon widzi jego zaniedbania w tym temacie, bo pochwalił się:

– Wiesz, sprawiłem sobie surdut, szapoklak oraz odpowiednie spodnie i do tego dwie kamizelki. W sklepie dołożyli do tego jeszcze fular, rękawiczki, laseczkę, perłowe szpilki... Zamówiłem też frak. Co ty na to?

– Nareszcie! Nie mam czasu, aby cię w tym stroju obejrzeć, ale nareszcie... Co te białogłowy z nami robią? Stroimy się dla nich jak lalki.

Napoleon chciał powiedzieć bratu coś miłego. Jest nadzieja, że ten czterdziestolatek nareszcie ułoży sobie życie rodzinne. Najwyższa pora na taką decyzję. Odezwał się na koniec łagodząco, a nawet ciepło:

– Wincenty, ja cię źle nie oceniam, a nawet częściowo usprawiedliwiam przed rodziną. Uniknąłeś

tułaczki i poniewierki, która nie dawała szans na godne zajęcie. Masz pracę odpowiednią do zdobytej wiedzy, carski urząd daje ci zabezpieczenie na życie i daj Boże dla twojej przyszłej rodziny. Mieszkasz w Warszawie, niejeden raz już nam pomogłeś... I niejeden raz jeszcze się spotkamy. A teraz pora na mnie, bracie. Zrozumiesz, jak będziesz sam czekał na narodzenie dziecka. Pogadamy o tym za rok, dwa. Oby jak najszybciej. Swoją drogą, gdzie ty wypatrzyłeś taką śliczną pannę?

Gospodarz pokraśniał, zadowolony z pochwały, i przekornie odpowiedział:

– To tajemnica, Napoleon, tobie jednak powiem. Najpierw poznałem jej ojca. To radca wojewódzki, sędzia pokoju powiatu pułtuskiego. Załatwiał sprawy w Warszawie. I choć jestem carskim urzędnikiem, to Polakiem. Pomagałem mu. Z wdzięczności zaprosił mnie do siebie i tak się zaczęło... Mnie, starego, zatwardziałego kawalera Amor wziął na cel i trafił.

– Widzę, ale to dobrze, bo panna piękna i ojciec przychylny. Wincenty, przyjadę w marcu do Warszawy. Nowy dwór w Kozłowie będę budował, a to wymaga namysłu. Chętnie skorzystam z twojej rady. Pogadamy o twoim ślubie, może w rodzinie coś się lepiej ułoży, może będzie wreszcie okazja spotkać się i... A teraz, wybacz, zbieram się.

Napoleon niczym sprężyna poderwał się z przepastnego fotela, zebrał dokumenty, fotografie przyszłej bratowej i przywdział futrzane okrycie. Gospodarz zarządził konie do stacji pocztowej na placu Wareckim. Na miejscu bracia zdecydowali jednak o wynajęciu sań u Żyda, gdyż *steinkellerka* do Grójca już odjechała. Ponadto sanna była dobra i można było tym sposobem dużo szybciej dotrzeć do Kielc, niż kursowym pojazdem pocztowym, który zatrzymywał się kilkakrotnie w zajazdach, zbudowanych dla wygody i obsługi podróżnych. Powożący Żyd trzykrotnie zmieniał konie na trasie. Dziedzic na drugi dzień około południa dotarł do Radomia. Tam znowu zmieniono konie u sań, a w Kielcach czekał już na niego stajenny Kajetan. Wyjaśnił, że dziedziczka poczuła się nieco gorzej, ale zaraz pojechał po położną, a na drugi dzień posłali po doktora Andrzejewskiego. Uspokajał zziębniętego pana, którego wąs wyglądał teraz jak biały zarost Świętego Mikołaja.

– Wyczułem, coś mnie poderwało z fotela. Wyczułem! – gorączkował się Rzewuski.

Mróz trzymał. Pędzili tak szybko, że para buchała z końskiego pyska jak z jakiejś maszyny. Kajetan,

który zawsze bardziej dbał o konia niż o siebie, i nawet o swojego pana, zatrzymał się w połowie drogi, wytarł zwierzę słomianym wiechciem i okrył dla chwilowego odpoczynku derką, którą w czasie jazdy ogrzewał własnym siedzeniem. Po kilku minutach znowu ruszyli.

\* \* \*

Tymczasem we dworze dało się zauważyć zaniepokojenie, a nawet lęk. Wszyscy usunęli się do salonu, a przy szybko oddychającej wielmożnej Rzewuskiej została wiejska akuszerka Karkochowa oraz stara służąca Matylda, która umiała się obchodzić ze wszystkim w takich sytuacjach. Karkochowa dyrygowała domownikami, wydając im polecenia. Ta niemłoda kobieta, opierająca się na medycynie ludowej, ziołach i własnym doświadczeniu, opiekowała się kobietami ciężarnymi i asystowała przy wielu narodzinach. Radziła sobie bardzo dobrze. Szykowano pokój do porodu. Żeby tylko doktor przyjechał na czas! Najważniejsze teraz, aby dobrze oświetlić. Przygotowane zostały lampy naftowe, a żeby było widniej – przyniesiono dwa lustra znajdujące się we dworze. Odbite od nich światło rozjaśniło pomieszczenie. Towarzyszące rodzącej kobiety sprawdzały, czy wszystkie niezbędne przybory są przygotowane, po czym zajęły się panią.

Pokojówki czekały przed drzwiami na wezwanie do posługi. Posłano po doktora. Przywiózł go gorzelany Rogula pod sam wieczór. Nikt nie sposobiał się do snu. Szeptem wymieniano uwagi i kierowano pytające spojrzenia w stronę drzwi. Przyjaciel domu, doktor Andrzejewski, czuwał przy Rzewuskiej. Gdy pojawił się na chwilę w salonie i popijał jakieś leki herbata, jego drżące ręce zasiały niepokój, odbierano to jako zdenerwowanie sytuacją. Czuło się, że z porodem coś jest nie tak. Służba stała w pogotowiu, a zgromadzona rodzina pocieszała się nawzajem, że Henryka jest w dobrych rękach. Wielmożna Anna Rzewuska, matka Napoleona, po wyszeptaniu trwożnej uwagi: – Że też nigdy nie ma syna, kiedy jest najbardziej potrzebny – przeszła do pokoiku obok i zatopiła się w modlitwie. Myśli wszystkich przenikały dzisiaj ciężkie wspomnienia sprzed dwóch lat. Momentami cisza była taka, że przerywało ją tylko trzaskanie iskier w kominku. Wydawało się, że trzaski są coraz częstsze i... głośniejsze.

Wreszcie nad ranem upragniony krzyk dziecka zmienił zastygłą w niepokoju rodzinę i służbę

w żywych ludzi. Wielmożna Henryka Rzewuska urodziła. Wszyscy powstali, skupili się wokół stołu i czekali na wiadomość. W drzwiach salonu pojawił się doktor i oznajmił, że urodził się syn, po czym ciężko opadł na fotel. Był bardzo zmęczony – wycierał krwawiącą chustką pot z czoła i głęboko oddychał.

W dwie godziny po porodzie przybył ojciec dziecka. Wskoczył z rozpędzonych sań, na śliskim dojeździe poślizgnął się i upadł, ale szybko się podderwał. Zrzucił z siebie w biegu karakułową czapkę i palto podbite futrem, jednym skokiem pokonał pięć schodków ganku, w kilku susach przebył salon i wpadł jak wichur do pokoju żony. Wiedział już, że urodził im się syn – Wawrzyniec wysłał naprzeciw parobka z radosną wiadomością. Teraz jednak służba nie zdążyła dziedzica powstrzymać. Wniósł ze sobą tyle zimna do ciepłutkiego pokoju dziedziczki! Na szczęście wyhamował, nie zdecydował się na gorące powitanie, zatrzymał się zaraz za drzwiami. Wzrokiem jedynie ogarniał pokój i dziękował żonie za syna. Zawrócił. Przywitał się z doktorem. Zmarznięty, musiał się ogrzać. Za chwilę służąca podała panu i doktorowi gorącą herbatę z sokiem malinowym i świeżo upieczone ciasto, a Napoleon poczęstował doktora kieliszkiem ziołowej nalewki. Doktor umył jeszcze raz ręce, zaglądał do matki i dziecka. Gestem ręki zabronił Napoleonowi wejść do nich. Czas się dłuży. Napoleon ma tyle pytań i czułości do żony, a tu nie pozwalają mu nawet na przekroczenie progu jej pokoju.

Doktor nareszcie pozwala wejść do żony. Napoleon przestępuje z nogi na nogę. Jest zdenerwowany i szczęśliwy. Chyba płacze, a może to od zimna łzawią mu oczy... Powolnym krokiem podchodzi do żony i całuje ją w rękę. Zmęczona Henryka uśmiecha się i wzrok kieruje na malutkiego Zygmunta Napoleona, bo takie imiona już wcześniej oboje ustalili dla męskiego potomka.

Ogromna radość maluje się na twarzy ojca. Jeszcze czerwony od mrozu i mokry od łez powtarza jak katarzynka:

– Niech mu będzie na imię Napoleon, co ty na to, Henieczko? Ja mam takie imię i niech nasz syn ma takie samo. Może tak być? Heniuchna! Wiem, że chciałaś, wybrałaś imię Zygmunt. Nawet tak oboje uzgodniliśmy. Powiedz coś. Chcę, aby był inżynierem. Będzie inżynierem. Będzie budował drogi i mosty. A może kolej żelazną? Kto wie... Ale drogi też będzie budował. Niechże będzie mu na imię Napoleon.

Wokół położnicy ruch się uspokaja. Służba wynosi toboły z prześcieradłami i ręcznikami. – Co się tu działo, po co tyle prześcieradeł? – dziwi się Napoleon. Doktor jeszcze dogląda pacjentki, a potem wyjaśnia okoliczności porodu. Dziedzic wręcza mu hojną zapłatę. Doktor żegna się i obiecuje przyjechać nazajutrz.

Wierny sługa Wawrzyniec przejął od służby kuźby i miednicę i przeniósł do sieni. Za chwilę dźwiga kołyskę, tę starą, jeszcze po Suchodolskich, ale pięknie odnowioną. Bieguny, sprawione na okazję narodzenia Ludomiry, wyszlifowane i nawoskowane, aż lśnią. Nie uszło uwadze dziedzica, że u weźglowia kolebki ktoś przymocował pięknie wykonany herb rodu Rzewuskich. Spojrzał na Wawrzyńca, porozumieli się bez słów – to jego pomysł. Pokojówka Adela uzupełnia kołyskę poduszkami i pieluszkami. Podpowiada, że kołyska musi postać trochę, aby się ogrzała. Wobec tego układają najcenniejsze na świecie trzy kilogramy cudu – maleńkiego synka Rzewuskich u boku matki. Henryka uśmiecha się i cichutko odpowiada:

– Niech będzie Napoleon. Skoro, mężu, tak chcesz...

– Pewnie, że chcę. Napoleon, tak. Napoleon.

– Ale może drugie imię będzie Zygmunt... Bo widzisz...

– Niech tak będzie. Dziedzic nam się urodził. Nasza nadzieja i szczęście. Kozłów będzie miał dziedzica, a my gospodarza. Nasz syn, Napoleon Zygmunt Rzewuski herbu Krzywda. Inżynierem będzie albo leśnikiem. Tak, leśnikiem...

Służba cichutko wyszła z sypialni. Wszyscy wy-czuwali, że należy zostawić rodziców w ich szczęściu samych, aż się nacieszą, aż powiedzą sobie to, co przy służbie nie uchodzi, aż wypłyną z nich słowa najczulsze, najpiękniejsze podziękowania i łzy szczęścia.

Długa była ta noc, pełna niepokoju. Babcia Henryki – hrabina Tekla Suchodolska oraz wielmożna Anna Rzewuska, matka dziedzica Napoleona, doglądały posługi przy położnicy. Pojawił się również Józef Malczewski z Ludwinowa i brat kozłowskiego dziedzica – Mateusz, zarządca folwarku Henryków. Rodzina czas oczekiwania na rozwiązanie wypełniała wspomnieniami. Całą rodzinę Rzewuskich poruszono w opowieściach, aż nad ranem, kiedy niebo rozkwitło na różowo, dołączył pierwszym krzykiem maleńki dziedzic Kozłowa, nadzieja rodu i osłoda babć. Marzenie o trwaniu w Kozłowie na-



brało realnych szans, toteż teraz wspomnieniom nie było końca. A było kogo przywoływać. Zaczęli od Kazimierza Rzewuskiego, pisarza koronnego, który na Podlasiu kupił Przesmyki i cztery inne majątki. Po nim wspomnieli pułkownika Stanisława, pradziadka urodzonego dziecięcia, i jego żonę Helenę z Szaniawskich, kobietę wielkiej urody i takiegoż umysłu. Rozrastało się to drzewo rodzinne niczym dąb rozłożysty i wszyscy cieszyli się, że konar Napoleona ma kto wywieść w przyszłość. Nadzieja kwiliła w pokoju po drugiej stronie korytarza i zapisała się już w nadziejach rodziców, babć, wujków jako Napoleon Zygmunt Rzewuski h. Krzywda, przyszły dziedzic Kozłowa.

Kozłów na przestrzeni pięciu wieków istnienia miał różnych właścicieli, m.in. Kozłowskich, Tęgo-borskich, Olszowskich i Małachowskich. Od 1798 roku należał do Malczewskich, kiedy to majątek kupił komornik graniczny chęciński Ignacy Malczewski h. Tarnawa. Jego córka, Marianna, wyszła w 1820 roku za mąż za Tadeusza Suchodolskiego. Suchodolscy, polski ród osiadły w Lubelskiem, został wylegitymowany w Królestwie Polskim z potwierdzeniem herbu Janina. Tadeusz Suchodolski był dziedzicem wsi Siekierka w parafii Ciepeliów. Tam urodziła się córka Henryka (Henrietta) Honorata. Z czasem administrował majątkiem Kozłów (do swej śmierci [1836]) w imieniu córki, która odziedziczyła po Malczewskich Kozłów B. W 1837 roku Henryka została żoną Napoleona Modesta Jana Rzewuskiego, wnosząc mu w posagu Kozłów B. Około 1845 roku małżeństwo Rzewuskich wejdzie w posiadanie Kozłowa A i w tak scalonym majątku będą gospodarować około pięćdziesięciu lat.

\* \* \*

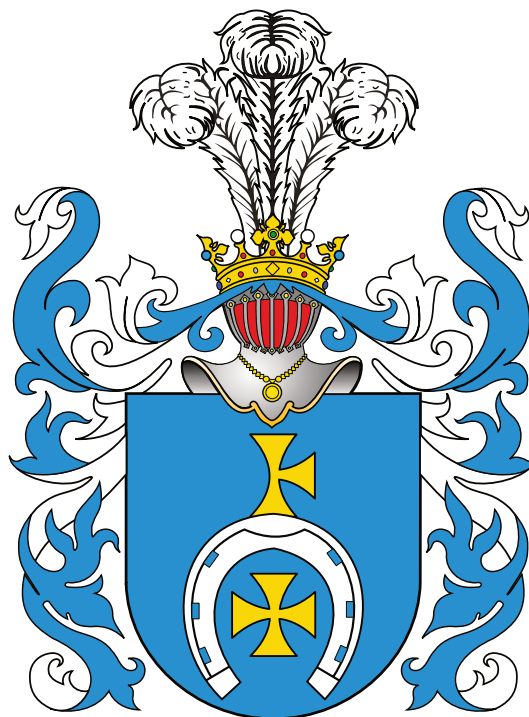
Doktor odjechał, rodzina skromnym posiłkiem zaczęła dzień. Radość widoczna w spojrzeniach i gestach rozlewała się na cały dwór. Napoleon Rzewuski poszedł do sypialni. Nie mógł zasnąć, rozmyślał dalej, tym razem o swoich przodkach. Rzewuscy, stara szlachta gniazdowa o przydomku Beydo, zamieszkała na Podlasiu w XIII wieku. Nazwisko Rzewuski noszą od ok. 1250 roku, kiedy otrzymali wieś Rzewuski od księcia mazowieckiego za zasługi w wojnie z Jaćwingami. Później niektórzy Rzewuscy przenieśli się w inne rejony Rzeczypospolitej, tworząc rozliczne rozgałęzione linie rodowe. Jedni Rzewuscy dostąpili wysokich

godności, stając się linią magnacką. Inni uzyskali tytuły hrabiowskie, lecz większa część z nich pozostała zwykłą szlachtą. Ale ich wszystkich łączy wspólny znak – herb Krzywda.

Bezpośredni przodek Napoleona Rzewuskiego, a właściwie Napoleona Modesta Jana, to Kazimierz, sędzia drohicki, który kupił od Sobolewskich m.in. Przesmyki, Rzewuski i Beydy, i ożenił się z Henryką Sobolewską. Jego syn, Stanisław, ożeniony z Heleną Szaniawską, był pułkownikiem wojsk koronnych i uczestnikiem insurekcji kościuszkowskiej. Jego wnuk, Józef, miał z żoną Anną Buczeń pięcioro dzieci: Józefę, Ignacego, Mateusza Michała, Wincentego Franciszka Jana i Napoleona Modesta Jana. Synowie zostali wylegitymowani ze szlachectwa w Heroldii Królestwa Polskiego z potwierdzeniem herbu Krzywda. I teraz urodził się praprawnuk Kazimierza. Rozrasta się więc drzewo Rzewuskich, niczym dąb rozłożysty, którego konary będzie miał kto rozbudować. Nadzieja rodziców, babć, stryjów, wujów otrzymała imiona Napoleon Zygmunt.

Kozłów, 18 lutego 1843

*Anna Błachucka*



Herb Krzywda używany przez Rzewuskich w Rzeczypospolitej i Rosji

## Od zmierzchu do świtu (Fragment powieści)

### Od Autora

Powieść ta, mówiąca o losach oddziałów partyzanckich Armii Krajowej, oparta jest na prawdziwych wydarzeniach; spotkać w nich można nazwiska i pseudonimy osób rzeczywiście działających w tamtym okresie na Kielecczyźnie.

Pragnąłem chociaż we fragmencie dać faktograficzną relację walk partyzanckich podczas okupacji.

Nie pisałem historii... *Od zmierzchu do świtu* jest powieścią o prawdziwych wydarzeniach. Opowiedziałem w niej o zdarzeniach, na które patrzyłem oczami moich bohaterów. Żyłem ich życiem i reagowałem drgnieniem ich serc. Wielu z nich, a w tym Komendanta Obwodu ZWZ – AK Busko „Borsuk”, majora Wacława Ćmakowskiego, znałem (mieszkał u nas w domu) i do dnia dzisiejszego pamiętam. Skrupulatny czytelnik odnajdzie w tej książce wiele nazwisk, pseudonimów, miejscowości i zdarzeń prawdziwych. Napisałem powieść zafascynowany patosem i polityczną złożonością okupacyjnych dni, a na tym tle – naszych niełatwych polskich spraw.

Pisałem ją pod wrażeniem wielowymiarowości, barwności, wewnętrznego bogactwa i niereklamowanego bohaterstwa tych Polaków, którzy z pełną świadomością już w czasie okupacji walczyli nie tylko o Wolną i Niepodległą, ale i o nową Polskę.

Chciałem przede wszystkim z utrwalonych w pamięci wydarzeń i twarzy ludzi, na podstawie ich pisemnych relacji, wydobyć jakąś najprostszą prawdę tamtego czasu – niepowtarzalną atmosferę tych miesięcy marszów, biwaków i walk, najdziwniej poplątane losy ludzi, związanych z sobą wielką partyzancką solidarnością, o której się nie mówiło, ale o której nie można zapomnieć. Cieszyłbym się, gdyby ten zamiar choć w części udało mi się zrealizować.

Jestem dumny, że moja rodzinna Ziemia Kielecka wydała takich ludzi. Jestem zarazem zażenowany, że tak mało się o nich wie, mówi i pisze. Napisałem więc tę powieść w skromnym hołdzie dla tych, którzy zginęli, abyśmy my mogli żyć...

Z odrętwienia wyrwało go nagle szczekanie psa. Z ciemności, na skraju lasu wyłoniły się kontury domu, ogrodzonego wysokim płotem, zza którego widać było dach. Ponad dachem z komina dymiły kłęby sine i wisiały nad nim leniwe, a snuły się senne dokoła i kładły po pobliskich polach i łąkach. Chciało im się w górę, ale wiatr poszarpał je na drobiny. Samotny dom na odludziu, wśród lasów wydał mu się mroczny i tajemniczy, ale dający poczucie bezpieczeństwa, którego tak bardzo potrzebował.

Kiedy zbliżył się do ogrodzenia, pies uwiązany na łańcuchu ujadł jak wściekły, ale bezsilny cofał się i wył.

Wacek wszedł na podwórko, zbliżył się do okna. Zobaczył za firanką na parapecie okna doniczki z kwiatami. Zapukał w szybę. Przez dłuższy czas nikt nie odpowiadał. Po upływie kilku minut, zaczął pukać długo i uporczywie. Stukanie w okno i wołanie obudziły ludzi w chacie, słychać było rwetes pobudzonych mieszkańców. Z domu odezwał się zaspany głos mężczyzny.

– Kto tam? Co potrzeba?

– Proszę otworzyć. Potrzebuję pomocy!

– A kto ty jesteś?

– Człowiek, trawiony wysoką gorączką, upadający ze zmęczenia – padła odpowiedź.

– Poczekaj. Ogarnę się i zaraz otworzę – usłyszał głos zza szyby.

Przez pewien czas Wacek stał w ciemności. Po kilku minutach nastąpił szcęk przekręcanej klucza w zamku i łoskot zasuwry ryglującej wejście. Po otwarciu drzwi, buchnęła fala ciepła i zaduch niewietrzonego mieszkania.

W drzwiach stanął mężczyzna w sile wieku, w rękę trzymał zapaloną świecę. Z tyłu za nim były: starsza kobieta owinięta w kolorową chustę i młoda dziewczyna z długimi rozpuszczonymi włosami, w białej koszuli sięgającej podłogi.

Mężczyzna zrobił krok do tyłu. Cofnął się przerażony widząc, jak przez próg przestępuje ktoś okutany w palto, w czapce maciejówce. A spod czapki spływała krew i wsiąkała w szalik, którym miał zawiniętą twarz przed mrozem. Krew sączyła się po policzku i krzepła w wielkiej plamie na ramieniu płaszczu, porażając swą wielkością. Wargi miał spękane, obrzękłe i sine jak kolor śliwki, a siniec rozlewał się wokół ust na twarz. Zaczął kaszleć. Atak kaszlu był długi i uporczywy. W oczach można było wyczytać niepokój.

– Ledwie stoję na nogach – mruzczał niewyraźnie wchodząc do domu. – Pić, pić tylko dajcie. I odprowadźcie mnie gdzieś na ubocze, gdzie będę mógł sięgnąć z siebie łachy, tam gdzie nikt nie będzie mnie szukać, tam gdzie będę się czuł bezpieczny.

W domu rozpoczął się ożywiony ruch. Pod kuchnią rozpalono ogień. Gotowano wodę. Potem gospodarz zaczął sam opatrywać ranę Wacka. Rana była szarpana, głęboka, powstała z uderzenia głową w wyrastający z pnia drzewa kawałek odłamanej grubej gałęzi.

Po godzinie wszystko było doprowadzone do porządku. Ubranie wyczyszczone ze śniegu i rozwieszane do suszenia przy piecu. A Wacek siedział już w kuchni przy stole, w ubraniu leśniczego.

Przy blasku zawieszanej pod sufitem lampy widać było dużą izbę o dwu oknach. Stał w niej duży stół i cztery krzesła. W rogu kuchni stał olbrzymi zegar. Głucho, posępnie, jednostajnie tykotało jego wahadło w jedną i drugą stronę; kiedy wszakże miała uderzyć godzina, wówczas z brązowych płuc zegara rozlegał się dźwięk głęboki, czysty, donośny i nadzwyczaj melodyjny. Podłoga była drewniana. Ciemne meble jaskrawo odróżniały się od białych, wapnem pobielonych ścian. Duszą pomieszczenia był duży kaflowy piec kuchenny, pod blachą wesoło igrał ogień. Sprawiało to, że czuło się w duszy lekkość i ciepło. Na płycie kuchennej radośnie gadały garnki, w duchówce piekła się dziczyzna, a wszyscy grzali zmarznięte dłonie, przykładając je do gorących kaffi.

Umeblowanie kuchni uzupełniały zawieszane na ścianie półki, na których prezentowały się ułożone według wielkości garnki. Na trójnogu obok pieca położona była miednica, koło niej dzbanek, a obok stągiew pełna wody.

Przez szyby okien, na których mróz swoim magicznym pędzlem namalował w nocy niesamowite obrazy, bezszelestnie wdzierały się promienie wschodzącego styczniowego słońca. Oznajmiały domownikom, że to już poranek.

Pani leśniczyna podała na stół śniadanie. Wszyscy zabrali się do jedzenia. Córka – Zosia, śliczna, dziewiętnastoletnia dziewczyna o dużych niebieskich oczach, nalewała do kubków mleko, obsługiwała siedzącym. Wacka przygniatało bolesne zmęczenie. Dziewczyna przeszła znów obok niego; nie podnosił głowy, dostrzegał tylko jej stopy i łydki, słyszał skrzyp podłogi.

– Niech pan pije – usłyszał nad głową.

Przed nim stał blaszany dzbanek z mlekiem; nalał sobie do kubka, zaczął pić wielkimi łykami, czując jak mu gaśnie w ustach gorzki żar, a strużka mleka cieknie po brodzie i po szyi, chłodząc rozpaloną skórę.

Za oknem zaszczekał pies. Wacek poderwał się z miejsca. Dziewczyna delikatnie położyła rękę na jego ramieniu.

– Proszę się nie denerwować, jest pan bezpieczny – szepnęła.

Podniosła blaszany dzbanek; długi mięsień pod lśniącem atłasem skóry jej odsłoniętego przedramienia naprężył się; nalała mleka do pełna. Wacek podniósł głowę i uśmiechnął się do dziewczyny. Zosia odwzajemniła uśmiech, co promieniował nieskazitelną bielą i przez chwilę obydwójce zatrzymali na sobie wzrok.

– Zaraz podam chleb – powiedziała, po czym położyła przed nim kilka kromek upieczonego w domu razowca i domowy smalec w kamionce. Pierwsze kęsy chleba połknął prawie nie gryząc, ale zostało jeszcze więcej jak połowa, gdy podany chleb zaczął smakować, popijał go czarną kawą zbożową.

Zrobiło mu się duszno, poczuł się bardzo niedobrze, wstał i szybko wyszedł na podwórze. Zaskoczyła go cisza. Dzień wstawał mroźny i jasny. Słyszał tylko swojskie domowe naszczekiwanie psów. Stanął na progu domu z sercem nagle ściśniętym od widoku poranka. Był on samą obojętnością; po tych nocach i dniach, które przeżył – to, co go otaczało wydawało mu się jakimś zaprzeczeniem, niemal wyzwaniem. Pachnie tu domem i szczęściem. Tu tańczą zapachy i wirują dźwięki, których pokusie nie potrafimy się oprzeć. Spotkał tu smak inny od wszystkich. Najstarszy i najcenniejszy. To smak pieczonego w domu chleba.

Ta cisza... Być może pogoń za nim dobiegła końca. To milczenie puste jak nad obcym grobem... Rozejrzał się po niebie, było czyste. Stał bez ruchu, posągowo, zapatrzony przed siebie, w jakąś niedostrzegalną dal, starał się bezskutecznie odtworzyć choćby jeden obraz, jedną myśl bodaj wyłonić ze strzępów rozpierzchłych i wirujących pod globusem.

– Tak dziwnie jestem sterany i wyczerpany, że ledwie się trzymam na nogach... – skarżył się leśniczemu.

– Idź, połóż się zaraz – powiedział leśniczy.

Miejsce do spania przygotowała Zosia w przytulnym pokoiku na poddaszu. Duże drewniane łóżko, czyściutka, pachnąca biała pościel: duża poducha i puchowa pierzyna.

– Odprowadzę cię do pokoju.

– Ależ, sam dojdę – powiedział i uśmiechnął się; wszedł do sieni, stąd Zosia poprowadziła go do pokoju na poddaszu.

– Muszę być chory i najwidoczniej mam gorączkę – powiedział głośno, oglądając się po pokoju, ale nie było już nikogo, Zosia właśnie wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

Rozebrał się, rzucił na łóżko, przykrył się pierzyną i natychmiast zasnął.

Sen miał pełen chrzęszczących oddechów, poskrzypywań i chrobotów, wzbierający maligną, szeleszczący i chory. Musiał mieć bardzo wysoką gorączkę.

Wacek obudził się następnego dnia, tuż przed południem. Przez chwilę leżał, zastanawiając się, gdzie jest, gdy niespodziewanie jego uszu dobiegła głośna rozmowa z parteru. Ta donośna pogaducha prawdopodobnie wyrwała go ze snu. Otworzył oczy, podniósł głowę. Potrzęsnał nią pragnąc zrzucić z siebie ciężki, długi sen, z jakiego został wyrwany, a który sprawił, że nie wiedział, gdzie jest ani jak długo spał.

Ubranie wisiało na oparciu krzesła, ale dłuższą chwilę wahał się, czy ubrać się i iść, czy raczej zostać w pokoju. Upłynęło dobrych pięć minut, zanim usłyszał, jak po trzeszczących schodach ktoś wchodził na poddasze. Zdażył się ubrać, gdy do pokoju wszedł leśniczy.

Wacek podniósł się z miejsca. Przed nim stał człowiek w sile wieku, średniego wzrostu; barczysta, muskularna postura leśniczego pod luźnym swetrem wskazywała na męczyznę energicznego, wysportowanego. Smągła twarz, gładko wygolona, nieduży prosty nos, ładnie wykrojone usta, duże czarne myślące oczy i krótko przystryżone, w tył zaczesane blond włosy składały się na całość poważną i ujmującą.

– Miło mi cię powitać, Waławie – odezwał się i wyciągnął rękę.

– Właściwie: poznać – uśmiechnął się leśniczy.

– Wczoraj byłeś w tak kiepskim stanie, że przypuszczam, niewiele z poprzedniego dnia zapamiętałeś.

Zeszli do kuchni na śniadanie. Podczas jedzenia Wacek przedstawił prawdziwie swoją sytuację i zamiar, że po dojściu do pełni zdrowia chce kontynuować przedzieranie się w rodzinne strony.

Przedostać się z Poznańskiego w Kieleckie nie było łatwo. W zimie 1940 roku Niemcy zdołali już zorganizować sprawną administrację, a zwłaszcza policję. Otrzymała ona surowy nakaz wyłapywania

kręcących się po okolicy osób, które nie mogły się należycie wylegitymować. Niezależnie od policji po drogach, miasteczkach i wsiach krążyły zmotoryzowane patrole niemieckiej żandarmerii. Zetknięcie się z nią równało się zazwyczaj trafieniu do obozu koncentracyjnego, a często natychmiastowej śmierci.

Hubert, bo tak było na imię leśniczemu, obiecał Kwaśniewskiemu zaświadczenie, że jest on pracownikiem Nadleśnictwa i jest upoważniony do pozyskiwania drewna dla zakładów meblarskich w Warthegau z terenów Generalnego Gubernatorstwa. Zdobycie dokumentów jednak się przeciągało.

Mijał dzień po dniu. Tydzień upływał po tygodniu. Wacek mieszkał nadal w leśniczówce. Pomagał leśniczemu w pracy. Nie prosili go o to, lecz sam starał się być pożytecznym życzliwie traktującej go rodzinie. Notabene pracą gasił coraz bardziej trapiącą go nudę. Położenie jego zdawało mu się przykrym. A możliwość opuszczenia tego ustronnego zakątka...? Nie dokończył swego przeświadczenia. Przerwał rąbanie drzewa, odłożył siekiere i zatonął w myślach. Ocknął się dopiero wówczas, gdy usłyszał z domu głos Zosi. Zwrócił głowę z żywym zainteresowaniem w stronę tego dźwięku. Mieszka w leśniczówce już trzeci tydzień. Z początku zwrócił uwagę tylko na oryginalną urodę Zosi – śliczna i zgrabna, o ciemnych włosach, błyszczących miedzianymi i złotymi odcieniami. Z czasem po rozmowach z nią odczuwał, że Zosia ma na niego przemożny wpływ, potrafiła go oczarować swoim aksamitnym głosem, wyrażaniem swoich myśli i sposobem zachowania. Nie mógł tego odgadnąć. Przecież znał wiele ładnych dziewczyn. A tu coś ponadmysłowego. Szczególnie dziwne były jej spojrzenia. Takie powłóczyste, głębokie, które odczuwał gdzieś w głębi serca. I wtedy gubił się;omalże nie dostawał rumieńców, coś wewnątrz iskrzyło. To wprowadzało go w stan napięcia, podekscytowania. A powinienem być bardziej opanowany, uważał, gdyż jako starszy od niej, był bardziej doświadczony... W jej oddziaływaniu była jakaś siła hipnotyczna, wykraczająca poza inspiracje estetyczne, zmysłowe kobiety na męczyznę.

Zbliżał się koniec stycznia, dzień był coraz dłuższy. Wackiem targały wewnętrzne zmienne uczucia. Chodził roztargniony po leśniczówce i swoim poddaszu. Towarzyszył mu niepokój, rozdrażnienie, miał problemy z koncentracją. Tęsknota za życiem utraconym się zwiększała. Szukał nowych wrażeń, atrakcji. Wówczas wychodził do lasu, przedzierał się przez zasypy śnieżne i długo wałęsał po wertepach

leśnych. Niekiedy przekradał się lasami w poblize szosy i z ukrycia obserwował przejeżdżające kolumny wojskowe. Potem wracał do leśniczówki. A tutaj przebywanie blisko Zosi nie dawało mu spokoju. Obserwował u siebie kołatanie serca i inne zmiany w ciele, spostrzegł, że ciągle myśli o niej, że pragnie przy niej być, rozmawiać bez ograniczania czasu, że nagle stała się dla niego ważną. Nie był do końca pewny, czy to jest przyjaźń, fascynacja, namiętność, a może już miłość?

Pewnego dnia Wacek oddalił się daleko od leśniczówki i długo wałęsał się po lesie. Do domu wrócił, kiedy się ściemniało. Zastał wszystkich przy kolacji. Przywitał się ze wszystkimi radośnie i wypytywał Huberta o nowiny. Początkowo trwała chaotyczna, banalna rozmowa o wszystkim i o niczym. Hubert był w dobrym humorze i mniej obciążony myślami jak zazwyczaj. Po kolacji wszczęła się rozmowa, która przeciągnęła się aż do północy. Mieszały się przeszłość z terażniejszością. Powoli umysły uspokoiły się i przeszli na aktualne tematy. A było o czym mówić. Walec wojny w sposób brutalny toczył się dalej.

W pewnej chwili Hubert tajemniczo oznajmił:

– Długo to trwało, ale obiecane zaświadczenie nareszcie zostało załatwione. Wstał i wręczył Wackowi dokument.

W oczach Wacka widoczna była radość. Tego wieczora rozmowa się przeciągała, była miła, rodzinna atmosfera.

W pewnej chwili Wacek oznajmił, że skoro ma już zaświadczenie, to jutro wyrusza w dalszą drogę.

– Ale musisz nas odwiedzać – stwierdziła Zosia.

– Chciałbym bardzo – odpowiedział Wacek.

– Czy w czymś nie dogodziliśmy? – zapytał Hubert.

Wacek energicznie zaprzeczył:

– Żadnej krzywdy od was nie doznałem. I zawsze będę was wszystkich dobrze wspominał!

– Cóż, wojna rządzi się swoimi prawami i dyktuje zachowania – rzekł Hubert. – Ale jak będziesz miał potrzebę, przychodź. Wygód u nas nie ma, ale chleba nie zabraknie.

Zegar stojący w rogu kuchni wskazywał północ. Kalendarz wiszący na sąsiedniej ścianie informował, że jest sobota siódmy lutego 1940 roku. Ostatni dzień w leśniczówce i zarazem ostatni wieczór z Zosią. Rodzice wstali, pożegnali się i poszli spać. Zosia i Wacek usiedli obok siebie na kanapie. Zaczęli wspominać, nieco poplątał im się czas.

– To wszystko przeszłość – powiedziała Zosia.

– Ale mam ciebie - to znaczy, że wszystko jest przyszłością. Wacław ujął rękę Zosi i ucałował ją z głębokim szacunkiem. Zosia przytuliła głowę do piersi Wacka. Odezwała się po długiej chwili:

– Wojna podobno szybko się skończy, przyjedziesz do mnie i będziemy zawsze razem – powiedziała Zosia cicho.

– Nie martw się, po wojnie zaraz wrócę, żebyś za bardzo się nie stęskniła. Zaopiekuj się moim sercem. Zostawiam je przy tobie.

– Już późno, idź spać, jutro czeka cię daleka droga, musisz być wypoczęty – powiedziała Zosia i uśmiechnęła się.

Wacław przyciągnął Zosię do siebie, znalazł jej wargi swoimi wargami; wargi Zosi zdrzętały. Wstała i poprawiła pasek swojej brązowej sukienki. Wacek wstał również. Popatrzyli sobie w oczy. Po czym szepnął: – Gdybym mógł śnić, śnił będę tylko o tobie.

W kuchni zapadła przepastna cisza, tylko zielonawy płomyk lampy naftowej, jak gwiazda drgał ustawicznie, rozpryskując się świetlistymi promieniami.

Nazajutrz rano, zaraz po śniadaniu Wacek pożegnał się ze wszystkim serdecznie i wyruszył w drogę.

Wiele razy oglądał się na znikające w dali budynki leśniczówki i robiło mu się coraz smutniej. Dziwne jest serce ludzkie, gdy długo jedną rzecz kocha, tęskni; gdy się z kochaną istotą rozstanie, znowu tęskni.

*Jan Chruśliński*

## poeci niespełnieni

pieściliśmy długo nasze słowa najlepsze  
zachowane na wysiew na plon obfity  
tacy żyźni i tacy ufni  
wierzyliśmy w akt stworzenia  
słowa i gleby

rzucaliśmy słowa nasze najlepsze  
w glebę nadaną nam w akcie stworzenia  
siebie rwaliśmy po kawałku darliśmy na strzępy  
a potem dni i noce  
noce i dni spopielwały ciągle kiełkujące czekanie  
na lata tłuste  
bo przecież biblijny sen o siedmiu krowach  
został rzucony w nasz czas by rozpałać nadzieję

dziś już wiemy że lata tłuste nigdy nie nadejdą  
że lata chude rozsiały się na skarpach  
rowów  
wykopanych w naszej glebie przez nasze  
głody

## cóż jest prawdą

nie wiesz  
nic już nie wiesz  
ciemność i mgła i milczenie  
twoja prawda nie pasuje do prawdy rodzącego drzewa  
ani prawdy poety  
zdradzonego przez własne wiersze

teraz  
kiedy nie wiesz  
jesteś mądry  
nie udzielasz rad nie drażnisz słowami  
które uleżały się w butwiejących stertach  
czujesz pulsowanie mgły  
sączącej się ze wszystkich otwartych żył świata  
i słyszysz wołanie całej jaskrawości  
która wiodła na pokuszenie Edwarda Stachurę

on wiedział –  
mgła i cała jaskrawość są  
tylko po to  
by nie wiedzieć

## jestem

*dzieciom autystycznym*

gdzieś jestem  
za siódmą górą za dziesiątą rzeką

patrz długo mammo  
wypatruj cierpliwie  
mgły kiedyś się podniosą  
i zobaczysz  
jak sączy się światło ze szczeliny  
pomiędzy twoim i moim światem

nie czekaj na słowo mammo  
nie wij mu ścieżek  
jest bezradne jak noworodek  
nie umie znaleźć życiodajnej piersi

bądź blisko mammo bądź  
tylko tyle

## zdziwienie Pana Cogito

Pan Cogito przeszedł już szmat drogi  
potykał się o życie  
chybotliwie stąpał po niepewnych racjach  
teraz schodzi głębiej i głębiej  
i choć wie że nie ma dna  
wciąż ma nadzieję

Pan Cogito zagląda w przepaść lustra  
i dziwi się obcości tamtego człowieka  
jego dusza wciąż w tej samej formie  
czasem przysiada na ramieniu  
a czasem pod postacią orła  
szuka szczytu na rozległej nizinie

Pan Cogito nie stracił ostrości widzenia  
(choć oczy przygasły przysypane popiołem czasu)  
i dziwi się  
że inni mają oczy jak morskie latarnie  
a nie widzą  
i spadają na osłep w ostateczność

a przecież można by oddać ładny skok  
gdy się ma dobre oczy i równe nogi

Pan Cogito karczi swoje nogi  
gdy prowadzą go zbyt krętymi szlakami niewiary  
albo zbyt prostymi szlakami wiary  
albo gną się pod przeszłem kręgosłupa  
na którym narosły garbem sprawy tego świata

Pan Cogito wie  
garb można ściąć i krew tryśnie zapomnieniem  
ale wtedy dopiero można naprawdę się zgubić

więc nosi swoją przeszłość  
tyle słów myśli i pragnień  
tyle spraw miejsc i ludzi  
i dziwi się  
że najmocniej pulsują w nim słowa Boga  
darowane zdziwionemu Baruchowi Spinozie  
i że jego słowa zostawione w przesłaniu  
wyszlifowane jak soczewki Spinozy  
ludzie mijają bez słowa

## Maria

Mój pierwszy tomik poezji. Jaka radość! Trzymam w rękę książkę, na okładce której widnieje moje nazwisko! A wewnątrz – moje wiersze, moje słowa wyprowadzone z mojego życia, moich myśli, moich przeżyć. W tym tomiku – ja, prawdziwsza od tej znanej, spotykanej, wpisanej w codzienność, w ogład innych. Mój pierwszy tomik poezji. Mój pierwszy w życiu wieczór autorski. Niezbyt liczna publiczność – w większości znajomi, zaproszeni przeze mnie. Może ze trzy osoby nieznanne mi, które przeczytały gdzieś na plakacie informację o tym wieczorze. Bo ośrodek kultury zadbał o to, by w mieście pojawiło się trochę plakatów. Wiem jednak, że poezja to niechodliwy towar. A moje nazwisko – cóż znaczy? Gdyby to był wieczór autorski Wisławy Szymborskiej, o, to zupełnie co innego! Ludzie wiedzą, że to laureatka Nagrody Nobla. Ludzie lubią poznawać sławnych ludzi. Ale jakaś tam ja?... Człowiek nigdy nie chce być jakiś tam. Chce być konkretny. Chce być taki i taki. Może dlatego tak wielu tak wiele zachodu czyni, by się pokazać – w różnych sytuacjach, od różnych stron. Pokazać się innym, wielu innym. A dziś jest to łatwe, bo jest Internet, bo nie potrzeba takiego spotkania jak to moje, autorskie, bo można przez Internet objawić się rzeszom. Ale ja nie chcę objawiać się rzeszom. Cieszę się, że przyszli ci, których zaprosiłam. Znają mnie

od dawna, ale inną, w innych rolach występującą. Trochę mi głupio. Trochę się wstydzę. Nie ma jednak j e j. A tylko dla n i e j nigdy nie byłam jakaś tam. I może tego tomiku nie byłoby, gdyby nie o n a. Nie wiem, dlaczego nie napisałam, nie zadzwoniłam do niej. Może by przyjechała, choć mieszka daleko. Nasz kontakt się urwał, tak jakoś. Każdą widocznie pochłonęło własne życie, zagarnęły własne sprawy, problemy. I ta odległość... I czas... Przepraszam, Mario...

Mój pierwszy wieczór autorski. Na początku cytuję Szymborską: Niektórzy lubią poezję (...), ale lubi się także rosół z makaronem / lubi się komplementy i kolor niebieski / lubi się stary szalik/ lubi się stawiać na swoim / lubi się głaskać psa. A ja lubię poezję jak księżycową noc, bo to jest tajemnicze piękno, które trudno zgłębić. Bo księżycowa noc jest równie piękna w maju i w listopadzie – niezależna od czasu i oglądających ją oczu; pulsująca ezoterycznym światłem i nieskończonością. Tak mówię. I cytuję Broniewskiego: Ty przychodzisz jak noc majowa (...). Może to zbyt patetyczne, ale poezja to przecież mowa niezwykła, niecodzienna, choć może i codziennymi słowami się posługuje, i o codziennych sprawach mówi. Bo przecież wszystkie ludzkie sprawy to ludzka codzienność – wzniosłość i płaskość.

W tym poetyckim mówieniu o codzienności jest jednak niecodziennosc. I to mnie urzeka. I dlatego piszę wiersze.

Coś tam jeszcze mówiłam, stwierdzając ostatecznie, że zamiast mówić o poezji, wolę mówić poezją i zaczęłam czytać swoje wiersze. I wydawało mi się, że o n a jednak tu jest, że słucha niemal nabożnie. I wydawało mi się, że widzę w jej oczach łzy.

A oczy miała wyjątkowo piękne, wyjątkowo duże i wyjątkowo niebieskie. Nigdy nie widziałam tak niebieskich oczu. Ta niebieskość jej oczu zachwycała mnie już jako jej uczennicę. Byłam wtedy chyba w siódmej klasie szkoły podstawowej, która znajdowała się w sąsiedniej wsi, i do dziś pamiętam, jak pani Szewczyk (bo wtedy była dla mnie panią Szewczyk, później dopiero Marią, gdy i ja już stałam się dorosła i lata dzielące nas przestały dzielić) stanęła w drzwiach klasy i od tych jej niebieskich oczu zrobiło się w całej klasie niebiesko, a gdy się uśmiechnęła, pojaśniało jak w niebie. W każdym razie ja poczułam się jak w niebie. I ona wtedy wyjęła kartkę z moim wierszem, którą jej dałam wczoraj i przeczytała głośno:

świt się rozkrzyczał radością  
a ty zmierzch szary masz w oczach

ty znów będziesz płakała  
po nocach

Zapytała uczniów, czy zgadują, czyje to słowa, a oni mówili, że może Gałczyńskiego, może Broniewskiego, może Staffa. Wiersze tych poetów ostatnio omawialiśmy na lekcjach polskiego, więc te nazwiska im się od razu nasunęły, ale pani Szewczyk powiedziała tylko, że nie odgadli, że to wiersz pewnej wyjątkowej, młodej poetki, którą może kiedyś poznają. Byłam jej wdzięczna, że mnie nie wydała, bo może śmialiby się później ze mnie, że jestem dziwaczką, która pisze wiersze. A ja chciałam być normalna, jak oni. Pani Szewczyk rozumiała to, ale zachęcała mnie do pisania i prosiła, żeby przynosić jej wszystko, co napiszę.

Jakież było moje zdziwienie, gdy po latach zacytowała z pamięci ten wiersz, którym wtedy rozpoczęła lekcję. Byłam już po studiach i też, jak ona i chyba dzięki niej, zostałam nauczycielką. I pragnęłam opowiedzieć jej o tym. Kontakt między nami urwał się co prawda, bo ja po skończeniu szkoły podstawowej zamieszkałam w internacie, gdyż dojazd do liceum do miasta nie był prosty – do najbliższego przystanku autobusowego było ze cztery kilometry, a droga wiodła przez łąki, las, pola i była to droga miejscami piaszczysta, miejscami porośnięta różnym zielskiem, droga z wybojami, w których po deszczach długo stała woda, a później długo obsychało błoto, więc zanim doszło się do przystanku, miało się buty zachlapano, umazane w tym błocie lub pokryte warstwą szarego kurzu. I jak tu było jechać do szkoły w takich butach? Poza tym autobus przyjeżdżał tylko dwa razy dziennie – rano o siódmej i po południu o szesnastej. Trzeba się było dostosować do tych godzin, co często wcale nie było łatwe z różnych przyczyn.

Zatem mieszkłam w internacie i przyjeżdżałam do domu tylko na niedziele. I w niektóre niedziele udawało mi się spotkać z panią Szewczyk, która wynajmowała pokój u pewnej gospodyni, miłej, ale i nieco wścibskiej. Moja wizyta u pani Szewczyk prawie nigdy nie uszła jej oczu. Kiedyś powiedziała do mnie: – Co ty tak zawracasz głowę tej pani? Nie masz koleżanek? Pogadaj sobie z nimi...

Wtedy nie zapukałam do drzwi pani Szewczyk. Może ta gospodyni miała rację? Ja, uczennica zakochana w swojej nauczycielce, nie pomyślałam, że zabieram jej czas, że przecież żadna ze mnie kumpelka dla niej. Ona nigdy nie dawała mi tego odczuć.

Pani Szewczyk pochodziła z odległego miasta, nie wiem, jakim zarządzeniem losu trafiła do naszej wiejskiej szkoły, ale błogosławię to zarządzenie, które splotło jej los z moim losem, bo bez tego splotu pewnie mój los potoczyłby się zupełnie inną koleją.

Jak można się było spodziewać, po iluś tam latach pracy w wiejskiej szkole, powróciła do swojego miasta, a ja wyjechałam na studia też do dużego miasta, tyle że leżącego w przeciwnym kierunku. A zatem dzieliło nas kilkaset kilometrów i czas, który zazwyczaj dzieli bardziej niż kilometry. I rzeczywiście, gdy postanowiłam ją po latach odwiedzić, nie zastałam już tej samej pani Szewczyk, choć oczy nadal miała niezwykle błękitne i twarz piękną, choć trochę inną. I cała jej postać była trochę inna. W międzyczasie moja pani została matką bliźniaczek, które teraz miały już po siedem lat, została żoną czułego i mądrego mężczyzny, choć starszego od niej i poruszającego się na wózku, do którego przyszpiliło go stwardnienie rozsiane. Pracowała nadal jako nauczycielka w swoim mieście, a rozmowa z nią utwierdziła mnie w przekonaniu, że wciąż była oddana szkole, uczniom, środowisku, choć miała swoje dzieci, swoją rodzinę.

Mój przyjazd bardzo ją ucieszył. Mówiła, że wydorosłam, że wypiękniałam i takie tam... Tak się przecież mówi człowiekowi, który wyostał się z dzieciństwa, by zagospodarować sobą młodość. Pani Szewczyk zachwycała się tą moją młodością, a ja zachwycałam się jej dojrzałością, bo do starości było jej jeszcze daleko. I to nasze zachwywanie się było jak swoisty bruderszaft, bo pani Szewczyk poprosiła, bym zwracała się do niej po imieniu, bo przecież już nie jestem jej uczennicą, bo już jestem dorosła i na dodatek jako nauczycielka stałam się jej koleżanką po fachu. Przecież w swojej pracy ma koleżanki młodsze nawet ode mnie i mówią sobie na ty. Niełatwe to było dla mnie, takie przejście na ty. Wciąż czułam się jej uczennicą, która stawiała ją na piedestale swoich myśli i uczuć, a teraz mam mówić do niej tak po prostu, Mario, jak do kumpelki? Tak, to prawda, naturalny dystans jaki musiał istnieć wtedy, gdy ona była moją nauczycielką, a ja jej uczennicą, teraz już nie miał podstaw, na dodatek niwelował go w jakimś stopniu fakt, że ona miała już męża i dwoje dzieci, zatem musiała zejść z piedestału, który jej wystawiłam i zająć się zwyczajnymi sprawami. Ale wciąż patrzyły na mnie te jej niezwykle niebieskie oczy, wpisujące ją w krąg niezwykłych istot. I gdyby nie kilka lampek wina, nie wiadomo,



czy zebrałabym się w sobie na tyle, by powiedzieć wtedy do niej: Mario...

Spędziłam u niej kilka godzin. Nie skorzystałam z zaproszenia, by przenocować. Nie chciałam stwarzać kłopotu – wszak musiała zająć się córeczkami, mężem, a następnego dnia miała jakieś ważne sprawy. A przede wszystkim bałam się, że nadmiar czasu może zniszczyć czar tego popołudnia, sprowadzić jego wyjątkowość do pospolitości. Prawdę mówiąc, przed podjęciem decyzji o odwiedzeniu jej, też miałam obawy, czy rzeczywistość aktualna nie zniszczy tamtej rzeczywistości sprzed lat, gdy byłam jej uczennicą. Nieraz bałam się spotkań z ludźmi, na których mi bardzo zależało. Bałam się, że coś pójdzie nie tak, że moje pragnienia, oczekiwania z nimi związane nie zostaną zaspokojone, a niedosyt, który wyniosę, przyćmi mi na jakiś czas radość ze spotkania. I niestety, jak się niejednokrotnie okazywało, moje obawy nie były bezpodstawne. Może za dużo oczekiwałam?

Zatem nie zostałam na noc. Gdy się żegnałyśmy, Maria zapytała:

– Pamiętasz?

I zacytowała kawałek mojego wiersza. Właśnie ten:

świt się rozkrzyczał radością  
a ty zmierzch szary masz w oczach  
ty znów będziesz płakała  
po nocach

– Nie pamiętam, Mario.

– To twój wiersz, kochana. Darowałaś mi go, gdy byłeś w siódmej klasie. To był wiersz o mnie, choć ty tego nie wiedziałeś. Nie znałeś mojego smutku.

Niebieskie oczy Marii zrobiły się wilgotne. I moje zwilgotniały.

– Nie pamiętam, Mario. A wszystkie wiersze z tamtego czasu gdzieś mi się zapodziały.

Rozczuliło mnie to jej pamiętanie. Bo pamiętała też wydarzenia, które dla mnie były znaczące, ale dla niej? Miała przecież tyle swoich problemów, swoich spraw. A jednak podjęła i moje sprawy, wiedząc, że ja, dziecko z biednej chłopskiej rodziny mogłabym przepaść gdzieś w życiu, choć uczyłam się dobrze i pisałam wiersze.

Gdy byłam w ostatniej klasie szkoły podstawowej, postanowiła przedstawić mnie pewnemu poecie mieszkającemu w tym samym mieście, gdzie było liceum, do którego później uczęszczałam. Poeta ów był osobistością w regionie znaną i uznaną,

nie tylko jako literat, ale działacz na rzecz swojego środowiska, dla którego rzeczywiście robił wiele. Wybrałyśmy się do niego pewnego zimowego dnia. Dla mnie było to ogromne przeżycie – wszak moje wiersze miał przeczytać prawdziwy poeta! A jeśli powie, że są do niczego i zasugeruje, żebym nie zawracała sobie głowy pisaniem? Ale nie powiedział. Wręcz przeciwnie – uznał je za wartościowe, choć nie pozbawione niedociągnięć, wymagające dopracowania. Udzielił mi jakichś rad i zachęcił do dalszego pisania. Byłam taka podekscytowana! I taka dumna!

A powrót z miasta? To dopiero było przeżycie! Od przystanku autobusowego musiałyśmy iść pieszo cztery kilometry zasypaną śniegiem wiejską drogą. Zapadał zmierzch, więc postanowiłyśmy sobie tę drogę skrócić i iść na przełaj, przez pola. Cóż to była za przeprawa! Grzęzłyśmy po kolana w białej miękkości przyprószonej zmierzchem i odpoczywałyśmy, kładąc się na śniegu i wdychając mroźne zimowe powietrze. Przed nami majaczyła czarna linia nasza wieś, ale nam wcale nie spieszyło się, by tam dotrzeć. Tonęłyśmy w oceanie ciszy i czułyśmy się takie wolne! Poczucie tej absolutnej wolności Maria zapamiętała przede wszystkim. A we mnie wirowało szczęście! Wszak poeta docenił moją pisaninę, a moja ukochana pani brnęła ze mną w głębokim śniegu i śmiała się beztrudno jak dziewczynka.

I jeszcze jedno wydarzenie przywołałyśmy podczas tego spotkania po latach, popijając czerwone wino – moje egzaminy do liceum. Wtedy bowiem, a był to początek lat siedemdziesiątych, trzeba było do szkoły średniej zdawać egzaminy. Później przyjmowano na podstawie świadectw. Gdy kończyłam klasę ósmą, moja mama chciała, bym poszła do zawodówki, szybko zdobyła jakiś dobry zawód i usamodzielniała się. Bała się, że nie podoła finansowo, by zapewnić mi lepsze wykształcenie. I tylko dzięki pani Szewczyk znalazłam się w liceum. Przyszła kiedyś do mojej mamy i uspokoiła ją, że nie będę dla niej obciążeniem, gdyż będę dostawać stypendium. Wytłumaczyła, że to taka forma pomocy dla uzdolnionych dzieci pochodzących z ubogich rodzin. I gdy przyszedł czas egzaminów, dowiozła mnie do szkoły swoim junakiem, za ciężkim jak dla filigranowej kobiety, ale ona radziła sobie lepiej niż niejeden mężczyzna, czym wzbudzała powszechny podziw i uznanie. I tym razem też szczególnych wrażeń dostarczył nam powrót, bo egzaminy jak egzaminy, coś tam napisałam, o coś tam mnie pytano, nie pamiętam już, ważne, że zdałam, ale

gdybym nie zdała, chyba wtedy nie rozpaczalabym, bo prawdę mówiąc, bałam się tej nowej szkoły, bałam się przeszłości, mieszkania w internacie i wszystkiego, co nowe. Był czerwiec, upalny dzień. Jakże przyjemnie było siedzieć na tylnym siedzeniu junaka i trzymać się mojej ukochanej pani. Droga czasami była asfaltowa, a czasami polna, piaszczysta. I nagle na takiej piaszczystej drodze motor jakoś dziwnie zawarczał i zgasł. Nie było w pobliżu nikogo, kto mógłby pomóc. Daleko za nami jakaś wieś, przed nami las. Cóż było robić? Pchałyśmy ten motor, ocierając pot zalewający oczy, ale dałyśmy radę. A w lesie, w cieniu, siedząc na mchu pod sosną, rozmawialiśmy o mojej przyszłości. I nagle zrobiło mi się strasznie smutno. I rozpłakałam się. Pani Maria nie pytała o nic, przytuliła mnie mocno i powiedziała:

– Nigdy o sobie nie zapomnimy, prawda? I pisz – o tym co czujesz, myślisz, przeżywasz. Piszesz piękne wiersze.

\*

No i mam tomik. Na okładce przywołuję jej postać i dziękuję za wspieranie mnie na początku drogi. I już wiem, że znów pojedę do niej, muszę do niej pojechać! Wbrew odległości, wbrew czasowi, wbrew czemuś tam... Zrobię jej niespodziankę. Jaka to będzie radość wręczyć jej tę książeczkę, a ona powie, że tak się cieszy, że się na mnie nie zawiodła, że zawsze we mnie wierzyła. I znów zobaczę, jak jej niebieskie oczy robią się wilgotne. Na wieczorze autorskim mówię też o niej. Wzruszenie łamie mi głos. Czytam wiersze i przyjmuję gratulacje.

\*

– Dzień dobry. Czy zastałam panią Marię? Jestem jej uczennicą. Przyjechałam aż z...

W drzwiach stoi młodzianka kobieta. Domyślam się, że to córka Marii. Ma na sobie czarną sukienkę. Piękna jest – myślę sobie. Taka podobna do mamy! I słyszę jej łamiący się głos:

– Mama umarła dwa tygodnie temu. Miała raka. To niemożliwe, Mario...

*Barbara Gajewska*

## Alcatraz

Ani psa,  
ani kota,  
ani drzewa.  
Rachityczna tuja  
tuż przy bramie smętnie ziewa.

Ni człowieka,  
z którym słowo  
byś zamienił.  
Przejeżdżają z piskiem opon  
po krawędzi.

Ani ptaka,  
ani krzewu,  
ani kwiatka.  
Trawa wyschła, wokół beton  
w oknie kratka.

Blokowisko ogrodzone z drutu siatką.  
Wszędzie równo splantowane,  
super gładko!

Na dziesiątym ktoś otworzył  
sobie  
balkon...

## Miasto o poranku

*Opadły mgły i miasto ze snu się budzi.*  
Edward Stachura

Dwie wieże kościoła  
wyrzuciły się z bieli jak maszty statku  
na bezkresnym morzu.  
Dalej wieżowce wychynęły nad woal,  
odetchnęły z ulgą.  
Słońce o poranku jak złoty talerz lśnią,  
zrzuca noc z firanek.  
Promień ciepłą barwą maluje widoki  
na nowy, dobry dzień.  
Echo szybkich kroków ulicą się niesie...  
Ktoś wraca po nocy...  
Ktoś biegnie zziębnięty, nie mniej udręczony...

A mgła – zniknęła!

I miasto jak co dzień otrząsa sen z oczu.  
Do życia w pędzie rwie...

## Plan

Tragiczny czas początku wieku.  
Razem jednak pokonamy zło, zawrócimy swąd.  
Uporem i wiarą wniesiemy dobro  
do naszego świata. Z  
nowymi siłami zmiażdżymy horror,  
odbudujemy sens istnienia. Stop  
awanturom, wojnom, bitwom! Jutro  
lepsze stworzymy. Bez łez, bez wad,  
ekspresem wcielimy w życie.  
Dobro i miłość jak ciepły szal,  
otuli ludzkie plemiona.  
Przyjaźń zwiąże narody, piękno  
roztoczy swój blask, a dzban  
zmartwień zakopie wśród  
oliwnych drzew, powierzmy Bogu.  
Drogi rozryte czołgami, bór  
ukwiecony porośnię. Ucichnie lament.

## Przemiana

(inspiracja wierszem Ernesta Brylla pt. *A chociaż to był kamień*)

Był niedostępny, twardy jak skała

ale ja lubię kamienie  
podniosłam  
wzięłam do domu  
W ciepłe dłoni i słów  
pękła gruba skorupa niemożności  
zdmuchnęłam brudny pył  
zapłakał jak dziecko

## Wspomnienia

Wspomnienia, wspomnienia  
jak ręce żrebięta.  
Wesołe biegają  
pod powieką zamkniętą.  
A serce stukocze:  
pamiętam, pamiętam...  
I smutne, i radosne,  
co życie przyniosło...  
Prawdę i złudzenia.

Wspomnienia, wspomnienia...

Jednym kolory przyblakły, zszarzały...  
Innym się iskrzą tęczą szczerozłotą.  
Wspomnienia, wspomnienia,  
te duże i małe,  
są jak źródło wody  
wzbierające nocą...

## Triolety

Z własnymi aforyzmami

### Jesień jest złotym cieniem lata

Jesień jest złotym cieniem lata,  
dlatego nie bój się tej pory.  
Choć czasem mgielna – przebogata!  
Jesień jest złotym cieniem lata.

Zobacz jak cudna jest jej szata!  
Maluje dni w przepiękne wzory.  
Jesień jest złotym cieniem lata,  
dlatego nie bój się tej pory.

### Każdy kij kiedyś zielony był

Każdy kij kiedyś zielony był.  
I to jest prawda najprawdziwsza.  
Teraz sękaty, dawniej żył.  
Kiedyś kij każdy zielony był.

Ubrany w zieleń, ślicznie kwitł.  
Cieszył porankiem, ptakiem w liściach.  
Każdy kij kiedyś zielony był.  
I to jest prawda najprawdziwsza.

### Rozgwieżdżone niebo wiarę umacnia

Rozgwieżdżone niebo wiarę umacnia.  
Myśli ku Bogu biegną same.  
Modlitwa prosta z serca wyrasta.  
Rozgwieżdżone niebo wiarę umacnia.

Błyszczą diamenty gwiazd na niebie,  
mrugają w ciszy oczy szklane.  
Rozgwieżdżone niebo wiarę umacnia.  
Myśli ku Bogu biegną same...

*Elżbieta Jach*

**Mury**

budowane przez ludzi i czas. w pośpiechu.  
z pięter błędów, złamanych obietnic,  
ciętych języków.

nie kamień, nie drut ranią,  
a kłamstwo, pogarda i nienawiść  
plamą sumienia.

gubimy się, spadamy.  
krzyk sprzeciwu zapiera dech,  
cichną ostatnie słowa

wciąż wznoszone coraz bliżej, wyżej.  
orszakiem otaczają świat, byleby nie dotknęły  
nieba, bo legnie w gruzach.

**milczenie lasów**

samotny, brzozowy krzyż – pomnik  
w czarnoziemiu z kości i bólu nieznanymi historiami.  
zapiski w kroplach rosy na kształt łez  
snują się pośród martwych imion.

w cieniach splątanych gałęzi duch żołnierzy.  
zamknięci na wieczność. zimno, ziemia, zapach  
krwi i mchu.

dziś wybudzam z pamięci tamte czasy,  
opowiadam historię wciąż bolesnych ran.

brzozowy krzyż, przebłysk w oku drzew,  
każdej jesieni iskrzy się w słońcu.  
wokół armie rozrzuconych dusz.  
spójrz, tyle białych skrzydeł na niebie.

**przeznaczenie**

jesień. we mgle pierwszy chłód,  
powoli dojrzewa jak wino.

drzewa w nagości.  
lato w błocie gubi ślad.

**Dla Stanisława Nyczaja**

miasto poety nie doczeka się już opisu  
anonimowe nieme (może to kielce opole czy  
warszawa)

będzie samo teraz opisywało poetę  
jego twarz ciężkie okulary stopy ulice  
sienkiewicza czyli sienkiewki  
kasprowicza katedrę i zamek miejsca  
na każdym skrawku ziemi

poeta głęboko milczy  
za to miasto gada

ten ruch uliczny  
ten nieprzerwany zgiełk i warkot  
konduktu od początku  
świata  
kolorowe  
karuzele

miasto patrzy nie domaga się opisu  
krzyczy i  
włamuje się do jego wierszy

**Jeszcze**

dziś jeszcze na spacer idziemy  
dziś jeszcze rozmawiamy z liśćmi  
pod stopami jeszcze  
cieszy nas twardość chodnika i uległość ziemi  
nad ranem  
jeszcze przychodzi myśl odpływa  
niczym chmura w południe  
już nagły wieczór a my  
jeszcze  
bawimy się z mrokiem wesoło  
na ulicy smętnej

**Jatka**

wiersz samobójca  
skacze pomiędzy rzeźników

boi się  
dostaje drgawek  
wypruwają mu z brzucha

metafory, znaczenia i symbole  
staje się pustą tuszą

dziela go kapłani szlachtuza  
na szpondry combry karkówki  
małe mózdzki w occie  
na bulgot rosołów skwierczenie befsztyków

żrą co najsmaczniejsze

cisza paruje

ryczy  
niehumanne mięso

## Według poety XYZ

ktoś krzyczy  
ktoś wzywa pomocy

zza firanki błyska  
twarz poety – piorun

rozcina drzewa i ściany  
przekłuwa niebo  
jego eteryczni lokatorzy  
wysypują się niczym potępieńcy

poeta czeka  
poeta patrzy

widzi – ktoś leży  
poeta czeka

ktoś zachłystuje się bólem  
poeta niczym wzburzony ocean

ktoś wzywa zmiłowania  
poeta wybiega z domu

żegluje w przeciwnym  
kierunku

## 2022

zima jesienna mokry kurz  
biel jest daleka – w czasach mickiewicza  
nawet się nie śni bo cóż znaczy sen –  
iluzje albo powroty  
powroty w iluzje  
głębokie niczym niegdysiejsze zasy

## Stare wille

stare wille pełzną razem ze mną  
pełne dawnego i nowego życia

w okienku pewnej mansardy widzę czyjaś twarz  
a może ktoś za szybą postawił lusterko  
czy też mieszkałem tam lat temu pięćdziesiąt  
lub dwieście

a może dopiero będę patrzył przez te okna  
na ulicę zmienioną w przestrzeni trzech wieków

ale teraz jest dzisiaj drzewa szumią zwyczajnie  
pnie parszają rzą drzą niezerżnięte  
cokolwiek to znaczy

– więc nie dociekajmy –

## Dedykacje

litery potrafią się uśmiechać  
są pogodne bo mają nadzieję  
w którą nie wierzą ale niech tam  
na wszelki wypadek

placzą też nieczęsto  
choć i to się zdarza

ten który je pisał  
pozostawił w nich drżenie ręki  
wesoły gest niekiedy obsceniczny  
niefrasobliwe machnięcie

– do dziś rozwesela  
litery zasmuca przecinki  
ostrzy kropki jak drobne gwoźdźdiki  
otwiera obrazy i zaprasza w głąb  
zdarzeń – oto przyjacielu pamiętaj:  
do dziś pijemy tu i tam  
tam i tu niech żyją zdarzenia  
dziewczyny wiecznie młode  
i stare nadzieje

krotochwilne litery  
pomiędzy stronicami  
zapomnianych książek – –

*Stefan Jurkowski*

**Cztery pory miłości***Mężowi w 47. rocznicę ślubu*

Pochmurne myśli rozganasz,  
słońce malujesz na czole,  
krokusy rosną ci w dłoniach,  
ptaki wylęły się w głowie.

W serca tulipan pąsowy  
wiosna z dreszczykiem wstępuje,  
gdy szeptem bazi wierzbowej  
pieścisz konwalii mej szyję.

To miłość zwykła, codzienna,  
karmiona czułości mlekiem.  
Czas nam pejzaże w tle zmienia  
i trochę za prędko biegnie.

W maju już świece kasztanów  
stoją wśród zielonych liści,  
a my spragnieni, narwani  
w wilgotnych bzach jak słowiki.

W czerwcu odurza nas jaśmin,  
rozum odbiera i senność.  
Latem gorącym wśród malin  
znów ci opowiem swą miłość.

Miłość burzową, gorącą,  
z gromem i ulewnym deszczem,  
gdy płaczę cicho ze szczęścia,  
chcę ciebie więcej i więcej.

Jesienią drzewa zapłoną,  
nawłóć ugory ozłoci,  
jabłko ci podam jak Ewa,  
jak Ewa będę cię kusić.

Zima pejzaże wybieli,  
zmieni też miłości postać.  
My niczym czyści anieli  
nadal będziemy się kochać.

I pielęgnować niezwykłą  
miłość od wiosny ku wiośnie,  
żeby nam rosła i kwitła,  
jak to geranium na oknie.

słońce  
ciepły piasek  
srebrna kołysząca fala  
ja drobina i okruch wszechświata  
czuję się dziś naprawdę szczęśliwa

fałsz  
nieprawda  
jakie szczęście  
wokół sztorm szaleje  
wiatr głupoty łamie maszty  
cała ludzkość jak Titanic zginie

nie spokojnie to przeminie świat niejedno przetrwał  
za lat kilka w pięknym słowie będzie siebie szukał  
i odnajdzie kanon prawd normalności szkielec  
znówu dobro oraz zło będą oddzielone

**Dojrzałe lato**

Dojrzałe lato niczym kobieta  
w ostatniej fazie swojego kwitnienia,  
humory bardzo zmienne miewa,  
to dąsa się, to płacze, to znów rozpromienia.

Nie miotaj się tak, zażyj climax.  
Nie karz nas wichrem, nie strasz gromem.  
Pozwól nam siebie nadal kochać,  
kap nas w jeziorach, popieść słońcem.

Choć tu i ówdzie listek żółty,  
choć stracił głowę mak i kąkol,  
pąków różanych jędrność przeczy,  
że zaczął się już czas uwiądu.

Na klombie wniebowzięte lilie,  
symbol panieństwa, nie rozpusty.  
Lecz tobie na ten szal hormonów,  
dobrze by zrobił szal miłości.

Jadę nad nasze zimne morze  
i proszę jako twoja fanka,  
daj nam zefirku lekki powiew,  
słońce i niebo w białych piankach.

Żebyśmy mogli kroczyć plażą,  
ogłądać piękny słońca zachód.  
A może tulić się do wschodu,  
mimo że boli mnie kręgosłup?

Daj nam znów poczuć, jak to było,  
gdyśmy wciąż mieli jedno w głowie,  
gdy w mojej krwi estrogen płynął  
i wrzący testosteron w tobie.



Julia Pawlicka-Dekert: *Młodość*, pastel

## Niepokój

Brazowych, gęstych włosów ciężka fala  
osłania nagie ramiona dziewczyny.  
Buzia jej owoc pachnącej brzoskwini  
– okrągła, słodka, słońcem malowana.

Spod brwi czarniutkich jak skrzydła jaskółki  
dwoje migdałów śledzi nas uważnie.  
Widać w nich uśmiech i zażenowanie,  
choć słonecznika kwiat kryje jej wargi.

Pomiędzy brwiami jednak zmarszczka mała  
zdradza niepokój młodziutkiej modelki,  
czy obnażona tajemnica ciała

jej nieodkryte przez nikogo wdzięki  
sprawia, że malarz uczuciem zapala  
i miłość obraz jej unieśmiertelni.

*Beata Kępińska*

*Kazimierz Kochański*

## Ogarnianie

Wiele słów o pogodzie  
– czas prognoz, wróżbienia –  
piszę, więc wiesz, że żyję.  
List dotarł?  
U nas jesień w pozłocie,  
bliżej przeznaczenia.  
Pozdrów żonę, twą dumę  
– tęsknota...

Zdarza mi się zapomnieć  
drogę już przebytą,  
a przecież widzę, słyszę  
– zwątpienie.  
Spotykam dobrych ludzi;  
czegoś nie wiem, pytam.  
Idę... Nie, nie drepczę  
– ciśnienie!

Rankiem witam się z sobą.  
Chyłkiem mijam okno;  
tam wszystko mknie. Za szybko  
– świat w pędzie.  
Ja spieszę się powoli.  
Susy także zmokną.  
Słońce zaszło? To dobry  
znak. Wzajdzie!

## Piękny wiersz

Zaskoczyło mnie życie,  
dopadło w tej chwili,  
gdy splatały się ręce,  
wrzała krew w aortach...  
Uknuło – bezlitośnie  
snując obietnice –  
ciąg dalszy; by naprędce  
zepchnąć w obcą otchłań.

Oswajanie przypadku  
nagłość przyzwolenia,  
czy świadoma perfidia  
porywu i ładu  
wywiodły wątek cudu  
przed nawias rodzenia  
i piękno przed naturę,  
dla zmylenia śladów?

Stało się – siła faktów.  
Ścigam się z nieznanym,  
doraźne tworzę role;  
dzieje się coś. Czuję.  
Też cię, życie, zaskoczę,  
dopadnę, pogonię.  
Nie wie nikt. I ty, życie,  
nie wiesz, co kto knuje.

## Szpargały

Zgubiłem, czego nie miałem;  
a ty masz taką siłę,  
że odnajdujesz mnie w miejscach,  
gdzie nie ma mnie – nigdy nie byłem!  
I burzysz niezbudowane,  
bezdusność obdarzasz ciałem...  
Już nie wiem: czy nadal jestem.  
Może się nigdy nie stałem.

Rodzi się, co niepoczęte.  
Bezsprzeczne niknie w głuszy.  
Nie pytam o nic nikogo;  
zwątpiły nawet zakusy.  
Ufa ci moja niewiara,  
gotowa na inne cuda...  
Rwą szaty, zbrodnia i kara,  
któremu z nas się nie uda.

## Złudzenia

Może to wina cienia,  
że nie weszło słońce?  
Nie chciało, byś nie sama  
chodziła po lesie.  
Nie spadła kropla deszczu,  
a czas grzybobrania;  
spadł nieostrożny żołędź  
w uchyloną kieszeń.

Wysłaś przed dom, ciekawa,  
ile dni panieństwa  
wywróży pajęczyna  
spod sufitu w sieni.  
Zamiast mgły, dziwne mdlenia,  
książę bez zwycięstwa,  
szaleje jarzębina  
w ekstazie płomieni.

Lata chyba nie było,  
brak przed domem śladów.  
Spraszasz, w złudach, rzęsiste  
dni jesiennych deszcze.  
Jeszcze się w liściach złoto  
dość nie wyłociło.  
Jeszcze nadzieja w słońcu;  
bo ty młoda jeszcze.

## Górotworzenia

Tak, to jest możliwe –  
spiąć się, mieć odwagę  
tylko sobie nie ufać.  
Tworzyć niestwarzalne.  
Bawiąc się, pieśnią ckliwą  
straszyć Babę Jagę.  
I w lipcu w dłonie chuchać;  
bez tchu, maniakalnie.

Pora dla niewiary,  
czas na przywidzenia...  
Nasłuchując w muszelce  
zawodzenia syren,  
na skróty, przez moczary  
– istnieć nieistnieniem –  
by zachłysnąć się wielce  
ulotności pyłem.

Niby przez przypadek  
– dać się zwieść mirażom –  
zapomnieć o pamięci,  
zgubić i nie szukać.  
Czekać, by nikt nie przyszedł  
– zawrzeć pakt z bezładem –  
a na złość wszystkim świętym  
w miejsce po drzwiach pukać.

## Aforyzmy

Kulturze półcień sprzyja, nie półmrok.

\*

Przychodzący w błahej sprawie, też gra o najwyższą stawkę.

\*

Tuż nad rzetelnym rzemiosłem zaczyna się sztuka.

\*

Niewart swoich racji, kto nie stara się ich bronić.



\*  
Przez myślenie, że myślę, rozmyśliłem się i to był  
niezły pomysł.

\*  
I z małych zranień wielkie zakażenia.

\*  
Dreptaniem w miejscu szkodzisz glebie.

### Fraszki

#### Słowodajcy

Honorowi, rzutcy w chęci;  
z darem niepamięci.

#### W-skazywaczom

Zakryć oczy, uszy  
czy dzwonić na trwogę,  
gdy temu, co dotarł  
ktoś chce wskazać drogę.

#### Odmiany nieznajomości

Minę miał, nie przymierzając,  
jak klaun na pogrzebie,  
wszyscy wszystkich wokół znali,  
a on nawet siebie.

#### Artysta

Nic nie wie, nie docieka;  
trzeba żyć, by przeżyć.  
I prawduś tworzy prawdy,  
którym sam nie wierzy.

#### Siła kryteriów

Aby mieć pewność, że niebo nad nami,  
trzeba czuć grunt pod nogami!

*Kazimierz Kochoński*

#### Okryci blaskiem gwiazd

Przeniesieni  
z pleców żółwi  
w doskonałość  
geometrycznych kształtów  
matematyczną pewność  
logikę słowa  
pozostajemy  
w granicach percepcji  
paradoksach zrozumienia

wpisani  
w krzywioną przestrzeń  
powierzony zamysł  
kwadraturę koła  
potykamy się

okryci blaskiem gwiazd  
opasani błękitem  
w misji ocalenia  
niesiemy istnienie  
znaki zapytania

#### Wzdłuż wody

Idziemy wzdłuż wody  
od słońca do słońca  
w podglądane ptaki  
rozkładane skrzydła  
za błękitem oka

idziemy wzdłuż wody  
poprzez lustra rzeki  
po brzegach odkrycia  
podwójnego nieba  
za poznane kręgi

idziemy wzdłuż wody  
od słowa do słowa  
z codziennej potrzeby  
by pozostać dłużej  
w linii widnokregu

idziemy wzdłuż wody  
tam nasze granice  
nasze horyzonty

przezroczyście światy  
spodziewane kresy

## Miejsce

W Niekurzy  
nie było łatwych dróg  
wokół  
rzeka wzgórze las

by wydostać się  
w opowiadane  
wyobrażone niepewne  
trzeba było  
wcześnie wstać  
zaprzęgać konie  
lub iść

przeprowadzić się za horyzont  
by zdążyć  
na spodziewany pociąg  
doczekać się drogi

znaleźć miejsce  
z którego  
będzie można wrócić  
które  
będzie można opowiadać

## Przez wieki

Naprawiany czas  
zamku w Ujeździe  
zamknięty w kalendarzu  
baszt i salonów  
pokoi i okien  
szuka  
niezmienności pór roku  
stałości miesięcy  
porządku tygodni  
kolejności dni

zanurza  
w szklanych stropach  
wodnej egzotyki  
stawia  
w lustrach  
marmurowych naczyń  
kryształowych nozdrzy

domyśla się  
codziennych kolorów

opowiadany  
ślądami przetrwania  
w czytelnych znakach  
krzyża i topora  
znajduje przejście  
w szczodrość obfitości  
prowadzi  
przez wieki

czarno-białe plamy krów  
wyprowadzone  
na pierwszy plan  
przywołują wyobrażenia  
stawiają pytania  
o anachroniczną spójność  
niezrozumiałą czystość  
nieodgadnione milczenie  
czas  
przewożony chmurami  
chce być tylko sztafżem

## Obroty Ziemi

W Połańcu  
obroty Ziemi  
potwierdzają uliczne światła

zapalane i gaszone  
wynurzają się  
z dnia i nocy

swoimi horyzontami  
barwią czas  
dzielą na kawałki  
elektryczny kosmos wyobraźni

pędząc  
w pozorną nieskończoność  
znajdują  
pozorny początek

zamknięte  
w odwiecznych pytaniach  
rozświetlają  
granice odpowiedzi

*Benedykt Koziół*

## Wyznanie twórcze

Wiele lat temu farbę witrażową wykorzystywałam niezgodnie z jej przeznaczeniem. Malowałam nią na specjalnie usztywnionej półprzeźroczystej kalce. Technikę nazwałam własną. Przez mięsistą warstwę farby, zastygającą już pod pędzlem, przenikało światło. Abstrakcje, uliczki miasteczek i łąki polskie zyskiwały „światlistą duszę”. Dlaczego rozpoczęłam swoją przygodę z poematem? – i to w czasie, gdy inni poeci uważali tę formę za odchodzącą, archaiczną – ponieważ dawał ogromne możliwości unowocześniania go. Mieszałam więc gatunki, łamałam reguły i przesuwalam granice. Lirykę naprzemiennie łączyłam z prozą, zaś narrację prowadziłam dwutorowo, tzn. budowałam równoległe obrazy: liryczny i faktograficzny. Ot, poezja i przypisy w jednym. Takie podejście sytuowało moich bohaterów równocześnie w dwóch światach. Natomiast pisząca i odbiorcy stawali (wobec) na nowych scenach poznania. A stąd był już tylko krok do performance. Po nim przyszła kolej na filmy. Znowu sprawdzałam wartość poetyckiego słowa w zderzeniu z muzyką, grafiką i plastyką ruchu, tym razem z użyciem technik cyfrowych. Tak, eksperymentowanie jest ważne w moim laboratorium; zbadać – znaczy lepiej zrozumieć.

Po latach zmaganiań kreacyjnych na niwach i niwkach sztuk zauważam, że sam proces twórczy był dla mnie co najmniej równie ważny jak efekt. Jest takie powiedzenie: nie cel, a droga. Czego się dowiadujesz o sobie w zderzeniu ze światem, jest twoim doświadczeniem. A jeśli już coś sobie uświadomisz – pragniesz odkrywać więcej i przesuwac granice, aby nie dreptać po własnych śladach. Impulsywny kształt wewnętrzny – to on, jak się zdaje, pchnął mnie w ramiona eksperymentu. Potem były już tylko kolejne próby ognia.

Śmiałość zamierzeń jest cenną cechą artysty, szczególnie wtedy, kiedy idzie w parze z uzdolnieniami. Śmiałość poszerza horyzonty, talent daje jakość i wymiar rzeczom i sprawom przez artystę stworzonym. Daje rangę myślową i artystyczną. Mówię to z myślą o Elżbiecie Musiał, bo znajduję u Niej te ważne wartości. (Roman Śliwonik)

Z perspektywy czasu widzę, że pierwsze malarskie i literackie przymiarki były niczym innym,

jak dopasowaniem inwencji do zastanych gorsetów form. Na płótnach jakieś kwiatki, owszem, w locie, jakby były komuś rzucone. Akty realistyczne z nieznacznym tylko kolorystycznym szaleństwem, w abstrakcjach przeważa temperamentna technika impasto. Wiersze z pierwszych tomów poprawne, acz pełno podobnych wszędzie. Tak je teraz oceniam, choć prof. Stanisław Żak podczas wręczania mi Świętokrzyskiej Premiery Literackiej za 2001 rok określił tomik *Tatuaż z obłoków* jako poezję efektowną. Kilka lat później, wciąż pracując nad własnym językiem wypowiedzi, otworzyłam się na poemat. Był rok 2008, gdy drukiem ukazał się pierwszy, elegijny: *na śmierć zegarka przejechanego zimą przez samochód* z posłowiem Krzysztofa Gąsiorowskiego. W swym literaturoznawczym i filozoficznym eseju Krzysztof żałował, że jako motta do poematu nie użyłam słów Rilkego: „To, z czym walczymy, jak jest małe, jak wielkie to, co walczy z nami”. Ja nawiązałam do T.S. Eliota. Nie bez powodu przez cztery lata wcześniej w podręcznej torbie nosiłam jego poezję. Był dla mnie wyznacznikiem mistrzostwa.

### XV

Pytał mnie poematem: *Kim jest ten trzeci, który ciągle idzie obok ciebie*<sup>1</sup>.

Właśnie siedziałam na wygrzanej ławce października samotna.

Gdy liczyć nas jesteśmy tylko ty i ja<sup>2</sup>.

Jaki zabawny rachunek.

Jak ostatecznie układa się w nieistnienie na tej „ziemi jałowej”.

Cień słów,  
ciało bez cienia  
i wiekiusty pochod ziaren piasku.

I piach w oku.

Eliocie,  
miałam plażę w sobie  
rozległą po brzegi czasu  
i nigdy nie miała rozstać się ze mną.  
Nie myślałam o braku,  
o braku czegokolwiek, choć zgubiłam,  
zgubiłam czas z oczu.

Nie należało wspominać o Trzecim.  
Nie potrzebowałam przecież niczego  
na pustkowiu miasta.

Byłam cicha  
obok twojej niemej wiedzy.  
Potem spadł liść

i jasna stała się ponad moją głową  
wasza rozmowa. Twoja z Trzecim.  
A nie trzeba było zachwiać  
tego spokoju na pustkowiu miasta.  
Lepiej było nie powiedzieć. Lepiej.

(fragm. z poematu *na śmierć zegarka przejechanego zimą przez samochód*, cytaty z Eliota w tłum. K. Boczkowskiego)

I tak „zegarek” zapoczątkował moją poetycką triadę, której tematycznym wektorem był CZAS mierzony nie tylko przemijaniem. Filozoficzne tony podniesione do wymiarów metafizycznych, które zwykle towarzyszą tabu śmierci, utrzymywały się w kolejnych odsłonach i prowadziły do rozważań sięgających poza doczesność i zakres poznania. Mam nadzieję, że tytuły *Na zdjęciu wciąż żyjemy* (2012) i *Ars moriendi, czyli poradnik czynności nieużytecznych* (2013) dostatecznie sygnalizują te sfery ludzkich lęków egzystencjalnych i wyobrażeń, w które wnikałam i które do dziś ogniskują moją uwagę w poezji, eseju i w filmie. Wspomniana wyżej poetycka triada (tematyczna) posłużyła mi też do zbudowania pewnego układu dramaturgicznego, który był z kolei punktem wyjścia do zrealizowania drugiego autorskiego (scenariusz i reżyseria) **filmu średniometrażowego *Kregi na wodzie*** (2022). Tak, lubię drażnić i rozwijać tematy. Moją poetycką obsesją stało się TO dziejące się na styku życia i śmierci, ale też zagładanie za niepojmowalną granicę. Poemat *Gry do-słowne* z 2019 roku są kontynuacją owej czasoprzestrzeni, ustawieniem w kadrze dwóch równoległych światów. W wykreowanym teatrze polifonicznym dopuściłam do głosu PAMIĘĆ żyjących i nieżyjących. Głosy „jak nakręcone katarynki” powtarzają własne krzywdy. W zamyśle, summa incydentów miała układać się w ludzkie losy i być jak sumienie. Koncept ambitny, do którego dorzuciłam jeszcze pomieszanie reguł formalnych czujących na teatralność.

#### 14.

Chór: *To gra z pamięcią się toczy, w której stawką sumienie.*

– Halo, córeczko, słyszysz mnie? Halo, halo... Jestem głodna nawet po obiedzie. Pielęgniarka wdiera mi się do ust i wlewała 2 łyżki czegoś, potem przechyla talerz i reszta ląduje w zlewkach. Z sąsiadką łóżko obok mamy odruchy wymiotne, przechodzi po B<sub>6</sub>. Tylko głód nie ustępuje, żołądek zżera siebie od środka. Córeczko, halo, halo... Chcę leku, który zapomni za mnie. I będzie jak nóż. To na swój sposób byłoby ludzkie. Ale oni zdecydowali

za mnie, nie muszę już wybierać, tylko wytrzymać.  
Halo, halo...

(fragm. z poematu *Gry do-słowne*)

Polifonia ustanawiała prymat głosu (mówi pa-mięć, nie osoba) nad postacią (poezja bezosobowa to też jedna z Beckettowskich cech nowej poetyki). Z *Gier do-słownych* wyprowadziłam mój pierwszy **film eksperymentalny *Miej choć odwagę pamiętać*** (2020). Kompilacja fragmentów poematu posłużyła mi za scenariusz.

Wyjęte z I części *Gier do-słownych* – najnowszego poematu Elżbiety Musiał – „samosterowne słowa” zapraszają do osobliwej lingwistycznej gry (i zabawy) jego anonimowego narratora. Gry osobliwej, gdyż tu sam język na poważnie bawi się improwizacyjnym tokiem swobodnych skojarzeń, zapuszczając nas w „otchłań egzystencjalną”. Słowa magią swej emocji wodzą myśli i wyobraźnię w różne strony. Przed smakoszem niuansów poetyckiej wrażliwości otwiera się bezkresne wprost pole dla intelektualnego... p o p a s u. Może upajać się sentencjami aforystycznymi (jak np. „Podręczna miłość usycha z głodu”; „Poszedł do pierwszej śmierci zamiast do pierwszej komunii”; „W oddechu już czai się ciemna materia i wyłazi zewsząd”. Może bawić się żartami (w rodzaju „Nie liczę na palcach ani na siebie”; „Pejzażu w tobie tyle, ile kapliczek przy wiejskich drogach”; „Zagapię się od czasu do czasu na czas. Zadam mu niewygodne pytanie, czy cierpi, że jest czasem”; „Takim słowom czas nie utarł nosa”). Może gdzie indziej zafrapować odgadywaniem składniowych „rebusów” (jak w Prologu – skądinąd arcyciekawej „improwizacji”). I na tym ucztowaniu poprzestać.

Ale przecież narrator, rzekłbym, „przeźroczy” – sukcesywnie, coraz bardziej wciągając naszą uwagę – ma większe ambicje. Coraz to śmieiej wypuszcza się na tematyczno-problemowe zwiady ku zakamarkom wspomnianej otchłani. Czają się tam rozedrgane niepokojami „dywagacje”, tyżące – prócz tych mozolnych spraw, jakie można z konieczności wyboru pominąć – archetypów pamięci i sumienia. One wystarczą, by zafascynować się i przejąć tekstem także głębiej, refleksyjnie, odnalazwszy tropy wymowne. (Stanisław Nyczaj)

*Gry do-słowne* (ósmo poemat), podobnie jak poprzednie poematy, został dobrze przyjęty przez krytyków literackich, choć tym razem nawet i oni podkreślali, że stopień trudności (wielowymiarowość wizji i wątków) może być barierą dla odbiorcy. Na domiar lirykę mieszałam z dramatem, zaś treści ustawiłam w nieco zaskakujących kadrach, nawet funeralnych. Raz osadzone są w logice codzienności, to znów wymykają się jej, raz obecne są w „dziś”,

to znów uwalniają się z bycia „tu i teraz”. Taki holistyczny obraz, który obejmuje wszystko, nawet tajemnicę. Ona snuje się w przestrzeni utworu jak COŚ obecnego, lecz nieprzekazywalnego. W podobny sposób istnieje w nas i w życiu. Jest również esencją poezji.

Nie umiem zrezygnować z wieloznaczności przekazu. Sam akt twórczy jest dostąpieniem takiej chwili, która umie zebrać w sobie zarówno gotowość do pisania, jak też przemawiać całym zebrany wcześniej doświadczeniem, czyli sumą chwil. Do tego sytuacja liryczna nie jest tym samym, co sytuacja rzeczwiasta. Jest przecież meta-sceną ujętą meta-językiem, którą odczytujemy „błyskiem” skojarzeń, jako że uniwersalny język w poezji nie ma zastosowania. Jest tylko słowo, wyobraźnia i niekiedy niewyobrażalne, trudne do nazwania i odbioru. Wiem, że poematy wymagają od czytelnika dużej dyspozycyjności już choćby dlatego, że nie da się ich czytać wybiórczo, trochę tu, trochę tam. Trzeba po kolei, nawet wtedy, gdy sprawiają wrażenie „stosów pokruszonych obrazów”. I jeszcze ta bezosobowość poezji. Jak widać z Eliota czerpałam garściami. W moim twórczym recyklingu wciąż można dostrzec wiele jego wpływów, nawet aspirowanie do artystycznej autonomii.

*Gry do-słowne* są grami o słowa; sięgają do znaczeń, do pojęć, nie ograniczają się do słownikowych jednoznaczności. Pojęcia, obrazy tu stosowane nabierają zupełnie innego wymiaru. Przede wszystkim pokazane są nielinearnie, ale panoramicznie. Zderzane odkrywają niezliczone możliwości znaczeniowe, trudno zauważalne właśnie w konwencjonalnym odczytywaniu. (...) Autorka wprowadza czytelnika w trudną pojęciowo i filozoficznie poezję, ale zarazem pomysłową i zaskakującą od strony językowej, co ma niebagatelne znaczenie dla percepcji tego trudnego poematu. (...) mamy do czynienia z utworem wielowątkowym, nieograniczającym się do relacjonowania jednostkowych doznań i refleksji, ale z uniwersalnym, łączącym w sobie egzystencjalne problemy ludzkości od jej początków, i to nie tylko do naszej współczesności, ale też wybiegającym daleko w przyszłość. Dlatego język tej poezji podlega wielu metamorfozom, jest dynamiczny. Mówi o takich sprawach fundamentalnych, jak np. sumienie, pamięć, wieczne trwanie; (...) Poszukiwanie owego „więcej” stymuluje wyobraźnię Elżbiety Musiał i jest motorem tej trudnej, ale zarazem – nie wahajmy się stwierdzić – prekursorskiej poezji. (Stefan Jurkowski)

(...) architektura tych wierszy jest osobliwa, a ich dykcja nieporównywalna z żadną inną dykcją. (...)

taką dykcję zazwyczaj uprawiają ci, o których mówi się: *poeta doctus*. Ale co osobliwe: ta kategoria w tym tomiku ma dwa odbicia, ponieważ to „doctusowanie” cudownie miesza się z osobliwym liryzmem, jaki tu także dostrzegam. Jak to udało się Autorce połączyć, to jej wspaniała tajemnica. (...) To zupełnie inna poezja niż ta, do jakiej przywykliśmy. (...) I to jest ewenement sporej wagi. (Leszek Żuliński)

Gdy czytam takie słowa (przytoczony S. Jurkowski, L. Żuliński), myślę, że warto jest stawiać sobie wyzwania, nawet za cenę porażki. Chodzenie po nowych ścieżkach poznania niesie ryzyko niezrozumienia, co w konsekwencji może skutkować osamotnieniem, ale też jest ożywcze i... takie pierwsze. Uśmiecham się na myśl, że jestem (w jakimś sensie) w awangardzie i że odnalazłam się w poematach. To między innymi „za odnowienie formy poematu” otrzymałam w 2018 roku poetycką nagrodę im. Juliusza Słowackiego, którą przyjął jako ukoronowanie.

Najwięcej satysfakcji czerpię ze spotkań z ludźmi przy realizacjach projektów, bo poematy – o czym wspomniałam – przysposabiam do słuchania i oglądania. Ci, z którymi styka mnie los przy ich tworzeniu, siłą rzeczy reprezentują różne dziedziny sztuki, lecz wrażliwość mają – jak się zdaje – podobną do mojej. Im chodzi o to samo, o zaznanie nowego i o doznanie. I jeszcze o niegasnące inspiracje. O kim myślę? Tych postaci jest wiele, ale niech wspomnę choć Kazimierza Mazura i Agatę Sobotę, którzy wzięli udział w realizacji 28-minutowego filmu eksperymentalnego *Miej choć odwagę pamiętać* (2020; do oglądania na YouTube). Czytali fragmenty poematu *Gry do-słowne* w wymyślonym przeze mnie ustawieniu dramaturgicznym. I mieli co najwyżej wyobrażenie słuchowiska radiowego. Nie wiedzieli nawet, z jaką muzyką to zestroję i z jakim obrazem. Kazimierz, już po obejrzeniu filmu, przyznał, że na początku zadawał sobie pytanie, „jak ja z tego chcę zrobić pociąg?”. Nawet on nie dowierzał. A jednak film się ukazał, był promowany przez Związek Literatów Polskich, Biuro Wystaw Artystycznych w Kielcach, Teatr Lalek „Kubuś” w Kielcach, w którym gra Agata. Oraz przez Bibliotekę Wojewódzką w Kielcach. Lecz na jego kształt wpłynęli jeszcze (oprócz aktorów) muzyk Bartek Gärtner, wiolonczelistka Ilona Basiak i Olek Kopański ze swoją wrażliwością aktorską. Można rzec, byliśmy wzajemni w twórczych zmaganiach. Potem w 2021 roku zaczęłam prace nad filmem *Kręgi na wodzie*, również poetyckim i pozostającym w nurcie kina

niezależnego. Aktorskie role mieli w nim Kazimierz Mazur (ponownie) i Beata Pszeniczna, narratorem przeźroczyłym był Olek Kopański. Montaż obrazu skończyliśmy z Olkiem pod koniec sierpnia 2022. Premiera na YouTube odbyła się na 10 dni przed śmiercią Kazia Mazura. Była to więc jego ostatnia zagrana rola (co potwierdza Katarzyna Gärtner, jego żona). Sytuacja ustawiła *Kręgi na wodzie* w zupełnie nowym wymiarze – odtąd *Kręgi* były epitafium, które Kaziu sam sobie wygrał.

Można spytać, co skłoniło mnie dwukrotnie do sięgnięcia po eksperymenty audiowizualne. Odpowiem, że to samo, co po performance wystawiony kilka lat wcześniej. Chciałam sprawdzić siłę poetyckiego słowa na scenie, mając świadomość **odmiennej roli poezji, która pseudonimuje, a nie nazywa, jak to ma miejsce w dramacie czy prozie**. I jeszcze chciałam wiedzieć, czy da się zatrzymać odbiorcę przez dłużej niż trzy minuty czytania jednego wiersza. Okazuje się, że tak, że nawet przez 28 minut filmu i przez cały spektakl *Mówię pochyloną cambrią* (przygotowany w 2016 roku wraz ze Szczęsnym i Barbarą Wrońskimi, w ramach Teatru Promocji Poezji, który prowadzi Szczęsny Wroński). Chrztem bojowym dla mnie przy performance było zagranie obok zawodowców. Wreszcie mogłam być jednocześnie twórcą i tworzywem. Dałam sobie nawet malować na gołych plecach „wędrówne danaidy”. W końcu to performance! Powtórzyliśmy go zaledwie (ach te finanse) czterokrotnie: w „Czerwonym Fortepianie” w Kielcach (2016), na scenie teatru Domu Literatury w Warszawie (2016), w Domu Kultury w Końskich i w Gabrielni (2017). Scenariusz budowały fragmenty tekstów wyjętych z 4 poematów pomieszczonych pod wspólnym tytułem *Mówię pochyloną cambrią* (2015); poświęciłam je kobiecym postaciom w sztuce. Otworzyły one nowy tematyczny cykl poszerzony później o kolejny poemat *To jedno* (2016). Oto fragment nawiązujący do Camille Claudel z poematu *Corpus delicti*: „Jestem kobietą. Przyszłam wiek po tobie. / Mówię pochyloną cambrią i mam pewien kłopot. / Ja w odruchu solidarności mogłabym co najwyżej / książki utopić, lecz Sekwana tu nie mieszka. Zresztą, / po co mi twoja rzeka. W każdej z nas jakaś inna płynie.”

Wybrała cztery na pozór bardzo silne osobowości, wielkie artystki, niedocenione za życia, jak należałoby. Ale ta poezja je obnaża, zdziera zasłony,

zrzuca maski – przedstawia je nagie, bezbronne, nieszczęśliwe. (...) Każda fraza Musiał elektryzuje, zatrzymuje i wwierca się w czytelnika. Jeśli czekacie na książkę poetycką, która was obezwładni, pochłonie, ale przede wszystkim bardzo wzbogaci i do głębi poruszy waszą wrażliwość, to nie znajdziecie lepszej niż *Mówię pochyloną cambrią*. Bardzo emocjonalny tomik, tak kobiecy, ale w ogólnym, ludzkim, wymiarze. Jaka tu wrażliwość, jakie poczucie estetyki, intuicja i wiedza, doskonale rozwinięty zmysł obserwacji i umiejętność dotarcia za pomocą słów do sedna, nie tylko dzieła sztuki (czy procesu jego powstawania), ale i do istoty człowieczeństwa. (Kinga Młynarska)

W niniejszym credo artystycznym, siłą rzeczy też wspomnieniowym, przytoczyłam małe fragmenty zaledwie kilku recenzji spośród blisko 50, które ukazały się w periodykach literackich i na portalach. Mogę powiedzieć, że mam szczęście do krytyków literackich; niektórzy są również poetami, a wśród nich ci, którzy pozostaną w naszej pamięci jako totalni poeci i to z absolutnej czołówki. W lot odczytali intencje i poddali wartościującej ocenie. Roman Śliwonik, Krzysztof Gašiorowski, Stefan Jurkowski, Aldona Borowicz, Jan Tulik, Andrzej Wołosewicz, Marek Wawrzekiewicz, Tadeusz Zawadowski, Robert Rudiak, Leszek Żuliński. A z kieleckiego kręgu Stanisław Nyczaj i Zdzisław Antolski. Ale nie tylko poeci wdzierali się w mój liryczny przekaz, byli również krytycy reprezentujący różne pisma i portale. Anna Karp, Agata Orłowska, Dominik Borowski, Wanda Nowik-Pala, Aleksandra Sutowicz, Anna Nogaj i inni. Nie mogłabym nie wspomnieć o Kindze Młynarskiej, która zainteresowała się kiedyś moją poezją, przeszperała rynek książki i zrecenzowała siedem moich tomików. Mogę więc powiedzieć, że jest w Polsce ktoś, kto „prześwietlił mnie na wskroś”. Pani Kinga *Gry do-słowne* zamieściła na topliście 10. najlepszych książek poetyckich 2019 roku.

Erudycyjny poemat Elżbiety Musiał o czasie, przemijaniu, śmierci. O esencji, która wypełnia człowieka, zwierzę, a nawet miasto. W *Grach do-słownych* spotykamy bowiem pamięć i to jej dialogów będziemy świadkami. Co mówi pamięć kobiet, co pamięć mężczyzn, a co zapisało się w pamięci, na przykład, kota? Jaka jest relacja pamięci z emocjami, a co ją łączy z moralnością? Fascynujące refleksje o tym, co fundamentalne, choć nadal nieuchwytnie, pozostające w obszarze wielkiej tajemnicy. (Kinga Młynarska)

Zdarzało mi się słyszeć, że w moich (zwłaszcza) poematach nie widać mnie, że ukrywam się za kostiumami i tematami. Nic bardziej mylnego. Jestem tylko niewidzialna, za to niemal dotykalna, przecież piszę nerwem, „sensytywnie”. A pokazując myśl czy bieg myśli, odsłaniam się najbardziej. To prawda, do wiersza nie podchodzę jak do dziurki od klucza, by inni podglądali. Często utwór u mnie jest wolny od osobistych kontekstów. Poeta nie musi być w nim konkretną osobą, może skupiać w sobie naraz wiele osób, wrażeń i przeżyć. I to też są Eliotowskie echa. Cały **dyskurs w poematach zamykam w obłędzie sytuacji lirycznej, w uewnętrznionym obrazowaniu.**

Nie, nie ukrywam się za moimi bohaterkami, a w poświęconych im poematach istnieję w odmianach narratorów. A nawet bezpośrednio zwracam się do nich, jakbym oczekiwała odpowiedzi. Jestem więc duchem, myślą, rozgorączkowaną postawą. No może jeszcze płcią (i to jest wyjątek), gdyż kto lepiej odda dramat kobiety, jeśli nie kobieta. Na marginesie dodam: dziś z dumą potwierdzam: jestem feministką, do tej otwartości już dojrzałam. I drażni mnie, gdy zaangażowanej poezji kobiet nadaje się łatkę „poezji kobiecej”. A powracając do moich bohaterek, w przestrzeni utworów zarysowane są ich postaci i dzieła, ale czy mogło być inaczej, gdy to im właśnie oddaję hołd? Ich bolesny los (Katarzyna Kobro, Camille Claudel, Frida Kahlo, Dora Maar) posłużył mi do wskazania większego problemu: nieistnienia kobiety jako twórcy w sztuce (przez wieki tylko muza lub modelka) lub marginalizowania jej i spychania do ról służebnych. Dopiero dziś, gdy „zasiedlają” po kolei męskie dominia sztuki, możemy mówić, że przedstawiany obraz świata i człowieka jest pełniejszy, bogatszy, gdyż poszerzony o spektrum kobiety.

Weszaś do pokoju i w obrazy. Z trzaskiem zamykały się kolejne progi bez powrotu. Nawet gdy cię nie było obok – byłaś. Wciągała was w swoje płuca sztuka. Oddychała wami. Poddawała się jej i woli kubisty. Ty na wskroś surrealistyczna. Był taki czas. Raptem dwa lata. Genialne naładowanie przestrzeni pomiędzy i podróz w ludzkie wnętrze. Eksperyment na dwóch umysłach miał się udać. Drażniłaś powonienie i dotyk. Słowa rzucałaś na przynętę. Świadoma każdej podniety. Muza i surowiec w jednym. Żywa część tworzonej sztuki. Miec cię niepodzielnie, słyszysz ten chichot słów? Nie-po-dziel-nie. A ty w rozsypce na obrazach. Widać to już na Guernice.

(fragm. poematu *To jedno* o Dorze Maar)

Zastanawia mnie czasem, czy w ogóle pisałabym poematy, gdyby nie było we mnie genu eksperymentu i potrzeby przesuwania granic, czynników, które prowokują do poznawania nie tylko własnych możliwości, ale i otwierania nowych przestrzeni twórczych? Zapewne nie. Może zajęłabym się tylko eseistyką i krytyką literacką, bo te też ćwiczę w ramach płodozmianu, lub... pisała jeden wiersz przez całe życie.

Elżbieta Musiał

Elżbieta Musiał – autorka 14. książek (w tym eseistycznej i ośmiu poematów) oraz dwóch poetyckich filmów krótkometrażowych. W 2018 roku otrzymała Nagrodę im. Juliusza Słowackiego za całokształt twórczości, w tym za odnowienie formy poematu. Inne nagrody: za tom wierszy *Tatuaż z obłoków* (Świętokrzyska Premiera Literacka, 2001), za poematy *Mówię pochyloną cambrią* (1. nagroda w kategorii poezja w II Konkursie literackim im. Stefana Żeromskiego, 2014, oraz Nagroda im. Piotra Kuncewicza za książkę roku miesięcznika „Czwarty Wymiar”, 2015), *Na zdjęciu wciąż żyjemy* (wyróżnienie w konkursie na najlepszą poetycką książkę XXXV Międzynarodowego Listopada Poetyckiego, 2012).



Elżbieta Musiał: *Pełno nas a jakoby...*, grafika komputerowa 90x70 cm

\* \* \*

patrz pan, robią z człowieka błazna  
na tym świecie: trochę padało,  
już łąki udają kielkujące  
niebo – aż wpiją błękit  
do ostatniej kropli –  
niebo też kłamie – jest fenickim  
lustrem zasłaniającym zbyt głęboką  
studnię – a ufni ludzie  
myślą o nim dobrze  
– drzewa nas straszą, ciskają  
kroplami, żebyś pan myślał,  
że to nowy deszcz

potłuc tę całą ludzką filozofię  
– człowiek, rozumiesz pan,  
każdym jednym słowem  
ośmiesza się  
przed wszechświatem

\* \* \*

madonno, której rzucali serwus  
i ciemne bluźnierstwa – stojąca  
na kuli zmiętej  
z podartych papierów – i ty  
co próbowałaś utknąć w wersy blask  
przez całe krótkie życie  
Grochowiaka

– wybacz im, że się nie modlą  
odkąd zaczęli pisać – albo inaczej:  
modlą się do siebie – każde ich  
mea culpa zamienia się w wiersz  
wygłaszany do lustra

## Owoc

wieczorem obierasz się z siebie  
a pośrodku – ja  
wieczorem rozbieram się z siebie  
a pośrodku – ty

nikt nam nie obiecał:  
mogliśmy przesiewać przebierać w tej miłości

dlatego wciąż trzymam się wiary  
która mnie wiodła do ciebie:  
patrz jak mi od niej jaśniejesz  
pestko wszechświata  
w mojej własnej skórze

## AD 2033

kto ma zginąć, zginie –  
kto ma rządzić, włada –  
urządzenie misteria rozdzielacie  
role – Herod znów myje ręce  
zmył je aż do kości – Chrystus  
znowu upada lecz nikt mu rzecz  
jasna nie podaje ręki – cierpi  
jak ma cierpieć – jakieś dziecko płacze  
bo ma wyobraźnię, rozumie  
za dużo – dziecko się uciszy –  
Weronika stoi z malowaną  
chustą – dziecko głupio pyta,  
czemu nie pobiegła  
za Nim – mówimy: kto ma zginąć,  
zginie po raz dwutysięczny –  
a niechby zwariował niechby  
się wrywał – to tłum mu  
przypomni, tłum go doprowadzi  
– nie ma odwrotu, nie ma  
adwokatów – tu sami sędziowie –  
dadzą mu najwyżej księdza  
z hostią, stułą – w górze anioł  
dynda mdły, jak zawsze anioł –  
pewne rzeczy prosto muszą się  
wydarzać – muszą boleć  
(innych) – dziecko znowu płacze –  
jak można było mu nie wytłumaczyć

\* \* \*

po czym chcesz odpoczywać

wszystko jeszcze przed nami  
wszystko się jeszcze wydarzy

myślałam że już policzone zważone  
i rozdzielone – a czas potasował wyroki:



ci o których mówiono  
że dobiegają kresu  
nagle zdrowi wychodzą  
ze szpitalnej sali

ci o których myślałam  
że nikt ich nie doceni  
bo jest tak późno tak późno  
– na starość stają w świetle  
wracają do łask

po czym chcesz odpoczywać  
– wszystko dopiero się zdarzy  
jesteśmy na początku  
teraz i zawsze  
na wieki wieków

\* \* \*

w mojej rodzinie od stu lat kobiety  
biorą sprawy w swoje ręce: stwarzają

– prababcia babcia mama  
oddzielają światło od ciemności  
otwierają kwiaty przywołują twarze –  
chodzą to bliżej to dalej by zobaczyć  
czy wszystko co uczyniły  
jest już bardzo dobre

w ich wielkiej oranżerii  
dojrzewają kosmosy – kreska po kresce  
kolor za kolorem – wszerej i w głąb  
– coraz głębiej w płaską nieskończoność:  
północ wschód zachód południe  
na wspólnej stronie płótna

a od skończonej pracy codziennie  
– prababcia babcia mama –  
umywają pędzle  
i paletę  
– po której spływa wielobarwna struga:  
skrawki niezaczętych światów

*Anna Maria Musz*

## Osadzanie

tam gdzie kiedyś mówiłam *mój dom*  
oddychają bezimienni ludzie  
drzwi otwarte na nieznane zawołania

dawnym domom odbieram moc  
lecz nie wyprowadzam całej siebie  
dopóki w szybach  
i pod kolejną warstwą farby  
gniazdzą wspomnienia  
a pamięć trzyma kilka nitek

słowo *dom* ustawiam  
w nowym miejscu  
zakamarki wypełniam nasionami  
uszczelniam biały płot

na kamieniu piszę ważne słowo  
wkładam do ust i przełykam  
by osadziło się w trzewiach  
i ukorzeniło serce

ciało oswajane z egzotycznym (kraj)obrazem  
zarybia ocean ożywczymi emocjami  
a przyjazne wyrazy unoszą się jak wodorosty  
*hola*  
*hola*  
*hola\**

\* *Hola* – popularne powitanie w Hiszpanii

## Powrót do lekkości

kobiety z mojego klanu  
unoszą się niczym czajki  
szybując nade mną  
w bezszelestnym przyzwoleniu

wnikam w jedność ich oczu  
przepływam łzami  
przez pępowinę rodu  
i zdeptane chusty

z kręgu wyłania się kobieta  
w długiej koronkowej sukni  
ubłocony tren wplata się bliznami

w pasma mgieł rozsnutych  
nad powtarzalnością losów

oddaję jej ciężar  
który nie należy do mnie  
wtedy wszystkie pramatki radośnie  
rozbiegają się po obłokach  
zawijając włosami brzegi błękitu

wracam na starą fotografię  
i znowu jestem mała

## Kości

gdzie pielgrzymuję  
gdy ciało bezpiecznie śpi  
czy błędzę za ognikami  
po zmurszałych nagrobkach  
odnajdując moje ostatnie kości

może rozpoznaję cienie  
kresowej warowni  
i omszałą czaszkę konia  
obok mojej  
wtulone w bitewną ostateczność  
albo kruche szczątki  
francuskiej praczki z Arles\*  
z zaciśniętym krzyżem w dłoni

dusza pamięta wszystkie swoje kości  
one już nie przywołują  
bo rozebrane z ciała  
wrastają w macierz

\* *Praczki w Arles* – obraz Paula Gauguina

## Przemieszczanie

szare trzewiki utknęły  
w rozpadlinie czasu  
bosymi stopami kaleczysz trawy  
coraz głębiej w korę jesionu  
przez chwilę przynależysz do drzewa  
wyrastasz świeżymi pędami

składasz przysięgi  
za które rozlicza cię ciemność  
rozsypujesz się w węgiel  
i smużki dymu

w pęknięciu słońca  
pachniesz nową obietnicą  
wyczekiwaniem nienarodzonego  
przenikasz krzyk  
stawiasz wilgotne stopy na wierszach  
przeskakujesz ciężkie otoczaki  
w kapryśnym nurcie

zdjęcia rozsypują się ze starości  
krzyż porasta mchem

## Metanoia

próbuję tańczyć  
w kokonie z krat  
z klatką wrośniętą w ramiona  
grzęźnię w potrzasku oczekiwań i konwencji  
behradnie łykając krytykę z ośmi

długo drobi w miejscu  
w grupie zbłąkanych  
chwilami z wysokości dosięgając prawdy  
aż znajduje własny rytm  
wirując na palcach  
samotnie przechodzi *metanoię*  
ludzkiej larwy  
w siebie

(Inspiracja klipem Youtube: *Elastic Heart* – Sia)

## Symbioza z wilkami

wilki wyszły z mroku  
krążyły niewyciężone  
kontrolowały oddechy  
pomiędzy myślami  
szczerząc kły

uśpiła całą watahę  
czułym dotykiem  
wygłaskała zjeżone futra  
ułożyła u stóp

oswajanie cieni  
rodzi wilczycę

Joanna Nowocień

„Kto nie był ni razu człowiekiem...”

Część pierwsza – Ja to wiem

Tym razem nie udało mi się wyłgać pilnymi sprawami i wymknąć. Dopadła mnie, gdy akurat zmierzałam w stronę niedawno postawionej na naszym osiedlu miniteżni, mającej zapewnić korzystającym z jej dobrodziejstw choćby namiastkę prawdziwego morskiego powietrza nasyconego jodem. Mieszkańcy zaciekawieni zajmowali co lepsze miejsca, bo jako żywo tężnia z jednej strony działała lepiej, woda ściekała intensywniej, zaś druga strona – po prostu gorsza, jakby wybrakowana. Gałązki jakieś takie byle jakie, a sól na nich wyschnięta, biała, i woda wcale nie ścieka jak powinna.

– Trzeba to zgłosić do Spółdzielni – wystartował jeden starszy. – Niech poprawią.

– A bo to poprawią? Co ich to obchodzi. Postawili i szlus. A wy ludzie cieszą się i nie narzekają.

– Panie, tak nie wolno. Jak źle zrobili, to muszą poprawić.

– To pan zgłoś i zobaczymy.

Rozmowa utknęła, wydawało się, w martwym punkcie, ale rychło po krótkim momencie wahającej ciężkiej ciszy jęła rozkręcać się i rozrastać na podobieństwo śnieżnej kuli toczącej się po górskim zboczach i wciąż ogromniejącej.

Do dyskusji dołączać zaczęły – zrazu incydentalnie, jakby zwiadowczo – starsze kobiety. Zaczęto eksplorować większość gorących i aktualnych tematów: oczywiście drożyzny, przy czym rozmówcy nie wskazywali winnych tego stanu, nie mówili ONI, lecz utyskująco konstatowali: – Wszystko podrożało. – I wzdychali ciężko.

Oho, pomyślałam, mamy wyznawców określonych poglądów. Oczywiście doszliśmy i do wojny u wschodniego sąsiada. Tu wbrew logice i faktom zdań było co najmniej kilka. Słuchałam zadziwiających argumentów i teorii po prostu z przerażeniem. Jak wielką siłę ma propaganda – zamyśliłam się. – To straszna broń w rękach manipulatorów.

I wtedy pojawiła się ona, Łucja. Szła alejką swoim charakterystycznym kaczym krokiem. Ale jakoś inaczej. Nogi – jak ciężkie, kamienne słupy, chociaż niegrube, zdawały się wprost szurać po równych płytach chodnika.

Moja osiedlowa znajoma zobaczyła mnie wśród zażywających jodowe inhalacje i dając znaki, bym odeszła na stronę, wskazała ustronną ławeczkę – pustą, stojącą w ocienionym miejscu.

Cóż było robić. Wstałam, a moje miejsce natychmiast zajęła korpulentna pani siedząca po „gorszej” stronie.

– Ja przepraszam – zaczęła Łucja, tym razem uczesana w niedbały kok – ale właściwie nigdy nie miałyśmy czasu, aby tak od serca pogadać. Musi mnie pani wysłuchać, proszę, po prostu musi pani...

Swoją opowieść zaczęła od wyjazdu tego durnia, głupka – jej mężczyzny młodszego o dobrych ileś tam lat – na wojnę w Ukrainie.

– Tłumaczyłam, prosiłam, błagałam głupiego, a on tylko powtarzał: – Nie mogę inaczej, gdy tam wróg bestialsko zabija dzieci, chorych, niszczy szpitale, domy i zabytki, zabija nawet zwierzęta. Kradnie wszystko, co się da ukraść, brutalnie gwałci kobiety. Nie mogę. Swój honor mam... I stało się. Zaciągnął się jako ochotnik.

Pierwsze dni były straszne. Ale trzymała mnie jakaś, może nieuzasadniona, ale przemożna nadzieja, prawie pewność, że taki szlachetny odruch musi zostać wynagrodzony w jakiś sposób. Przecież karma wraca – popatrzyła, jakby czekając na potwierdzenie swoich słów. – To znaczy, że nie stanie się z nim nic złego, że nie zginie. Ta wiara dawała mi napęd, ale gdy czekanie przedłużało się, głowę poczęły szturmować aż do bólu coraz to czarniejsze myśli. Bałam się otworzyć skrzynkę na listy. A co, jeśli tam będzie zawiadomienie? Może lepiej było go nie meldować... Cóż, teraz za późno. Kto mógł przewidzieć. Ale czy lepiej byłoby nie wiedzieć? Jakże tak? Kocham go. Jak mogłabym wymazać jego postać ze swojego życia – w imię czego? świętego spokoju? I tu nastąpiła opowieść o całym jej kobiecym szczęściu u boku tego młodego, silnego, wspaniałego mężczyzny. Prawda, był kiedyś incydent, gdy nie wytrzymała i wyrzuciła go z domu. Chłopak, w jej mniemaniu, chciał się wygodnie urządzić i żyć sobie spokojnie na jej koszt. Nie palił się bowiem do pracy, której wcale nie poszukiwał, za to ochoczo lubił spędzać czas przy piwku, oglądając durne telewizyjne programy w domowym zaciszu. Dobrze chociaż, że nie sprowadzał koleżków. Ale może tylko na razie? Może przyczaił się, nie chcąc jej tak od razu spłoszyć? A ona przecież swój honor ma. Nie będzie nikomu płacić za miłość, nie chce mieć utrzymanka, żeby ludzie drwili z niej i wytykali palcami.

– Ale jednak wrócił i przyjęła go pani na powrót – zauważyłam z przekąsem.

– Tak, ale wrócił odmieniony. Przyobiegał pracować dla naszego wspólnego szczęścia i dostatku. Pogubił się i prosił o wybaczenie. A najważniejsze – wyznał miłość mnie, kobiecie wyjątkowej, przy której chce spędzać każdą chwilę swojego życia i wspierać mnie silnym ramieniem. Uwierzyłam, postanowiłam dać drugą szansę. Przyjęłam pod swój dach, zameldowałam.

Była szczęśliwa. W opowieści pojawiały się nawet, z początku nieśmiało, potem coraz odważniej, wątki erotyczne. Jak gdyby chciała podzielić się z kimś swoim tryumfem, zwycięstwem starszej kobiecości nad przemijaniem.

Nie to, żebym była pruderyjna czy nienowoczesna, ale niektóre opisy były... No, no – pomyślałam. – Ale babcia na finiszu życia daje czadu!

– I wtedy – zaszlochała nie mogąc opanować wzruszenia – zaczęła się ta wojna. Nie do pomyslenia w naszych czasach. Taka sama jak pierwsza i druga. Czyżby trzecia światowa? Czy świat oszalał? Co się stało z ludźmi? A może zawsze tacy byli, może co jakiś czas muszą wybuchać wojny, aby... strach pomyśleć.

Kiedy wyjechał na tę wojnę i nie było od niego wieści – byłam przerażona, byłam w amoku. Proszę mi wybaczyć, ja wiem, że pani jest wykształcona i kulturalna, ale muszę powiedzieć, jak było. Chłamałam, chłamałam na umór, w samotności. Wiedziałam tylko jedno – nie mogę dać się wciągnąć osiedlowym ochłapusom. A oni – jak hieny czy sępy, pewni zdobyczy – okrążali mój dom i mnie, zaczepiali, namawiali, proponowali wspólne spędzanie czasu. – Porozmawiamy – mówili – będzie ci lżej. On wróci, zobaczysz, ani się nie obejrzysz. – Nie nazywali rzeczy po imieniu, a ja wiedziałam, że chodzi wyłącznie o ten wspaniały miraż – o pobłyскуюjącą na sklepowym przymurku kolejną puszkę piwa. Miałam świadomość, że bagno wciąga bez odwołania, nieodwracalnie.

Przeżywałam od nowa wszystkie najgorsze chwile, o których zdążyłam już na nowym etapie życia z Marcem zapomnieć. Męża, zmarłego bardzo dawno, widziałam raczej jako obraz lub fotografię, nie zaś człowieka z krwi i kości. To dziwne, ale nie miałam go w pamięci jako mężczyzny. Stał się swoistym reliktem, obrazem, tak, obrazem, i to podniszczonym, o popękanej powierzchni, zakurczonym.

Syn... chłopak nad wyraz udany, miły i kulturalny. To paradoks, okrutny żart, że takich ludzi, jak mówią, Bóg najchętniej powołuje do siebie. Młody, nie zdążył nacieszyć się życiem, nie udało się, żeby choć spróbował, posmakował. Bezlitosna choroba nie dała mu szans. Pamiętam każdy dzień, każdą minutę jego walki, jego i mojej. A potem – każdą minutę mojego cierpienia, bólu matki.

Znów wyrzucać sobie zaczęłam pochopne oceny jej, jakie zdarzało mi się, widząc nonszalancki strój młodej kobiety, młodzieżowe czapeczki, warkocze lub rozpuszczone czarne włosy i czerwone spodnie. Tak odreagowywała widocznie swoją traumę. Ale też niezaprzecalnie miała silne „parcie”, jak to mówią, na poznanie kogoś i ułożenie sobie życia z mężczyzną. Samotność, o jakiej, przeżykając łązy, mówiła jak o najgorszym życiowym doświadczeniu – dawała się mocno we znaki. Człowiek jest nieszczęśliwy, gdy sam. Samotność, z czego nie do końca zdawałam sobie sprawę, to wielka trauma. Ciężar nie do uniesienia. Stąd pewnie wśród pań i wdów tyle ofiar bezwzględnych matrymonialnych i wszelkich innych oszustów. Samotność odbiera siłę, życiowy napęd, stępnia ostrożność i właściwy myślicemu człowiekowi zdrowy rozsądek.

Milczałam zamyślona. Co tu powiedzieć. Każde słowo będzie banalne, nie przyniesie ukojenia zbolętej matce.

Zapatrzyłam się w płynące po niebie obłoczki – pierzaste, podobne do waty lub śniegu. Niektóre tworzyły wręcz prawdziwe górskie pasma, ośnieżone, jakie widuje się na pięknych pocztówkach.

– I pewnego pięknego dnia Marczek wrócił... – odezwała się cicho, prawie niedosłyszalnie.

Aż podskoczyłam na ławce.

– Jak to, i dopiero teraz pani o tym mówi?! To cudownie!

– Nie jest cudownie – wyszeptała. Jej twarz poszarzała, a cała sylwetka skurczyła się, jakby zmalala, zapadła w siebie. Nie ponaglałam jej, czując intuicyjnie, że zmagą się z jakimś ciężarem. Jeśli zechce, sama powie. Wyglądało, że jej ukochany być może doznał jakichś rozległych urazów, był ranny... Może po pierwszym zaopatrzeniu w polowym szpitalu, gdzie, wiadomo – pomoc mogła być udzielona nie od razu – okazało się, iż trzeba było amputować kończynę... Te moje dramatyczne myśli zostały przerwane, gdy powiedziała:

– Wrócił cały i zdrowy. Ale nie sam.

Znowu zamilkła i ukryła twarz w dłoniach.

Oślupiałam. Jak to nie sam? Słyszało się to i owo, widziało w telewizji przeróżne akcje niesienia pomocy ludziom i zwierzętom. Opisywano, jak jeden człowiek sam załadował do bagażówki lwa, wilka i jeszcze jakieś zwierzę – nie pamiętam – i w tych prowizorycznie zabezpieczonych klatkach przewiózł wychudzone, głodne, zaniedbane stworzenia do najbliższego punktu pomocowego, bodajże do zoo w Rumunii. Lepiej nie mówić, jakie przygody mieli po drodze, jadąc pod artyleryjskim ostrzałem. Ale udało się. – Prawdziwy bohater – mówili wszyscy z podziwem.

Jakoś tak oślądła mną pewność, że Mareczek – widząc bestialstwo najeźdźców również w stosunku do bezbronnych zwierząt – też podobnie postąpił. Zgarnął być może z ulicy blakającego się kota czy psa, możliwe nawet, że kilka.

Moja rozmówczyni wyjęła z torebki papierosa. Drżały jej ręce, gdy podpałała. Nie widziałam dotychczas, by paliła. – Jednak jest mocno podenerwowana – skonstatowałam.

– Mareczek przywiózł młodą Ukrainkę z córką sześćioletnią. Powiedział, że tylko na kilka dni. Potem sobie coś znajdą i wyprowadzą się.

Tu przytoczyła obszerną opowieść o tragicznych okolicznościach, gdy faktycznie uratował je obie przed strasznym losem, jaki już, już szykowali dla kobiety i jej córki bestialscy rosyjscy żołnierze. „To nie żołnierze – mówił Mareczek. – Żołnierze mają swój honor, kodeks. A to były bestie, potwory nie z tego świata”. To, co opowiadał, ścinało wprost krew w żyłach.

– Ja wiem – mówiła zdesperowana kobieta – to strasza tragedia. Trzeba pomagać. Ale widzę też, jak on na nią patrzy. I ona na niego. Oni będą chcieli pozbyć się mnie. – Otarła oczy.

– Co też pani mówi! Jest pani zdenerwowana, przewrażliwiona... – Zaskoczenie wprowadzało chaos do moich myśli i słów.

– Nie. Ja swoje wiem. On jest przecież u mnie w mieszkaniu zameldowany. Oprócz niego nie mam nikogo. I on o tym wie. Moja śmierć otworzy im drogę do nowego życia. Widzę to w ich oczach, czuję...

– Proszę tak nie myśleć, pani Łucjo. Wszyscy jesteście poddani silnemu psychicznemu wstrząsowi, przeżywacie prawdziwy szok. To trudny czas dla was, ale nie wolno pani tak myśleć, proszę nie prowokować losu i nie ściągać złych myśli.

Popatrzyła na mnie smutno.

– Ja wiem, ja to wiem...

## Część druga – Mroki życia

1. Każdy prędzej czy później wymyśla sobie historię, którą uważa za życie. (*Max Frisch*)

Przylapałam się na tym – czego dotąd nie odczuwałam w kontekście mojej osiedlowej oryginalnej znajomej – że podświadomie jak gdyby oczekiwałam spotkania z nią. Spotkania, którego dotychczas, klucząc niekiedy i nieładnie kombinując, po prostu unikałam. A teraz było inaczej. Ale mijały dni, tygodnie, a jej nigdzie nie było. Czyżby...? Nie, to niemożliwe, taki fakt byłby nie do ukrycia. Osiedle nie takie znów duże, wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą. A tu nic, cisza. Lecz przecież, czy nie bywa tak – rozmyślałam uspokojona – że czasem tygodniami nie spotyka się sąsiadów, i to mieszkających w tej samej klatce bloku? Samo życie, mówią.

Aż kiedyś nieoczekiwanie wpadłyśmy na siebie przed sklepem. Wychodziła trzymając w ręku siatkę pełną produktów, a drugą ręką prowadziła dziecko. To ona, szczuplutka, miła ukraińska dziewczynka z dwoma mysimi warkoczykami. Mówiły coś do siebie uśmiechnięte. Babcia i wnuczka – przebiegło przez myśl. Gdy mnie zobaczyła, zatrzymała się.

– To jest Alenka. Śliczna, prawda?

– Śliczna...

A więc wszystko w porządku. Całe szczęście.

2. Gdy rozum śpi, budzą się upiory. (*Francisco Goya*)

### Opowieść Łucji

Nasze życie zaczęło się toczyć na pozór normalnie. Matka Alenki, Olena (dla mnie Oleńka) okazała się pracowitą, cichą i skromną dziewczyną. Schodziła mi z drogi – zauważałam – jakby bojąc się narazić może na mój gniew czy złość? Niepotrzebnie. Może nawet wbrew swojej woli polubiłam je obie, a nawet, co mnie zdziwiło, wyobrażałam sobie, że mam córkę, której nigdy nie miałam, i wnuczkę. Wzruszałam się, ocierając łzy, ale tylko na chwilę.

A co ze ścianami zapiętego milczenia, wyrastającymi w poprzek coraz gęściej pomiędzy współdzielonymi pokojami? Kto kiedy i czym je nam przyozdobi u nachmurzonej powały zwątpienia?

(Stanisław Nyczaj, *Z przedostatniej chwili – dyptyk gorczy, fragm.*)

Bałam się. Strach pojawiał się nocą, gdy nic nie mogło mnie przed nim obronić. Gdy Mareczek znużony po pracy zapadał w zdrowy, młody sen, nasłuchiwałam, co dzieje się w pokoju zajmowanym przez Alenkę i Oleńkę. Ale one też spały. Czasem mała przebudziła się z płaczem i wtedy matka tuliła ją, cichutko śpiewała ukraińską kołysankę i po chwili wszystko nacichało.

Moje noce nie przynosiły odpoczynku, lecz ciężar duszący, zalegający głazem na piersi, postukujący kamiennymi palcami w moją skołataną głowę. I na nic się zdały moje z nim rozmowy, targi, by odpuścił, aby nie męczył, dał odpocząć.

Za dnia wszystko wyglądało jaśniej, lepiej i radośniej. *To szczęście, jakiego tak oczekujemy, przychodzi zwykle za późno. Za późno, by móc się nim nacieszyć.* Wiedziałam, że dobry los nie należy już tylko do mnie, że moją własną, spóźnioną idyllą muszę się oto podzielić z tymi dwiema. Bo one nie mają niczego, prócz siebie. I nas. Dzień odsuwał obawy, lęki i koszmarnie wizje przyszłości, jaka nie rysowała się dla mnie ani radośnie, ani obiecująco. Cóż, widocznie takie moje przeznaczenie. A może to misja, która postawiona przede mną będzie sprawdzianem mnie, mojego człowieczeństwa? To nie mógł być przypadek, że właśnie na mojej, naszej z Mareczkiem drodze mądry los postawił być może trudne, ale jakże odpowiedzialne zadanie. Pokrzepiona, podjęłam wyzwanie. Nie ulegnę stereotypom, nie dam się wtłoczyć w skrojony na miarę tradycyjnego, uproszczonego myślenia szablon.

Lepiej nie wiedzieć,  
kiedy to nastąpi,  
bezlitosną stopą  
przydusi do ziemi.

(Stanisław Nyczaj, *Obwiniany za uniebopatrzenie*, fragm.)

### 3. Wszystko sprowadza się do jednego, czyli dwojga. (Stanisław Nyczaj)

Osiedlowa społeczność nie dawała nam spokoju. Nie pomagał nawet pancierz, który zakładałam, wychodząc z Mareczkiem i dziewczynami czy to do sklepu, czy na spacer. Do kościoła nie miały odwagi pójść, chociaż – jak stwierdziła Olena – Bóg przecież jest jeden. Szanowaliśmy jej obawy; chyba miała rację, bojąc się ostracyzmu „prawdziwych” Polaków katolików. Gdy dopadły mnie sama, nic się

nie liczyło. Zdierały moją zbroję i waliły na odlew, oczywiście w głębokiej trosce o mnie. Malowały straszne, apokaliptyczne obrazy zdrady Mareczka, pozbawienia mnie nie tylko mieszkania, ale honoru i na koniec – życia. Ostrzegały po przyjaźni, one, które znały wszystkie mroki życia. Przytaczały podobne przykłady, gdy niemłoda (prosiły nie obrazić się) kobieta, zakochana – w dodatku w młodszym... No cóż, nie może być inaczej, życie to życie, jego prawa są bezwzględne i nawet gdyby zaklinać rzeczywistość, pragnąć, by było inaczej – chyba niewiele da się osiągnąć. Ukrainka jest niestety młoda i piękna. Zbyt piękna, by jakkolwiek mężczyzna oparł się jej wdziękowi. Tym bardziej że one są (podobno, tak słyszały) bardzo chętne i pozbawione prawdziwie moralnych zasad. Ich religia jest inna, dla przykładu ci ich popi, czy jak tam się mówi, żenią się jak normalny chłop. I co to za ksiądz taki, jak nie przymierzając każdy łajdus i dzieciórób? To wprost nie do wyobrażenia.

Ciężko było wytrzymać te rekolekcje. Jad, podawany po kropelce, acz systematycznie, przecież robił swoją niegodziwą robotę. I choć dzielnie walczyłam, z przerażeniem zauważałam kiełkujące małe ziarenka niepokoju. Nocami, gdy wiatr rzucał o szyby bluzgi dżdżu, przed moimi oczami ożywało miasteczko, osiedlowa enklawa starych ludzi.

W miasteczku starych ludzi  
czas jakże bezlitośnie  
obchodzi się z ich  
sędziwą godnością.

Na każdym kroku rozstępy kolein.  
Siwy tynk osypuje się na głowy  
z murów kołatanych od wewnątrz  
kośćmi wiecznej niezgody.

Mroczne pachwiny zaułków  
kulą się od nierównych  
uderzeń pordzewiałych serc.

Grymas gorzkiego uśmiechu  
jest jedynym pogodnym znakiem  
cierpkiej niestrawności istnienia.

(Stanisław Nyczaj, *W miasteczku starych ludzi*)

Chyba zaczynałam oswajać swoją starość. Tak, nazwałam ją po imieniu, bez lęku i owijania w bawę. Bez krygowania się i udawania, że jest inaczej. To był mój pancierz – kolejny – chroniący przed brutalnością prawdy, jaka bez wątpienia czała się za

naszym progiem. *Sina biel, twarz sina, ręce sine...*  
Tak przecież wkrótce będzie – to nieuniknione.

Sąsiadki to jedno; gadały jakby mniej, bo ile można powtarzać to samo, tym bardziej że te ich apokalipsy nic przecież nie zmieniały, bo i zmienić nie mogły. Pewna nowość zaczęła się, gdy osiedlowe ochłajmordy zaczęły przystawiać się do Oleny i niewybrednie komentować jej urodę.

– Pokaż cycki! – wołali rechocząc, a ona, ścisnąc rączkę córki, z wzrokiem wbitym w ziemię co prędzej oddalała się od obmacujących spojrzeń. Mareczek z początku nie reagował; taką przyjął strategię, za moją zresztą sugestią. Intuicja i życiowe doświadczenie, nabyte jeszcze w trudnym, tragicznym czasie choroby mojego syna, jego „pijanego” chodu, wytykania nas palcami, a potem po jego śmierci – głupich, niezręcznych ni to przeprosin, ni wyjaśnień z odwracaniem wzroku – podpowiedziały mi, że najlepiej nie dać się sprowokować.

Ale oni pobudzeni kolejnymi piwami chcieli koniecznie wyprowadzić Mareczka z równowagi.

– Te, kochaś, a z którą lepiej, z tą starą kurwą czy może na zmianę? Dopuszcilibyś nas do tej spóły. Nie pożałują baby, a i ty trochę odzigniesz, bo coś taki zmarnowany jesteś. Chodź na kielicha!

Gdy Mareczek odmówił grzecznie, bo idzie do pracy na drugą zmianę, których gwizdnął.

– Patrzcie, jaki porządny. Pracuje. Ale nami gardzi. Dawniej się napił jak kumpel, a teraz... Panisko. Jaki kulturalny się zrobił, nie poznać frajera!

4. Złe nie śpi, natomiast dobre zasypia bardzo często.  
(*Stefan Kisielewski*)

Nie tak miało być. To mnie, starą, prawie pochował cały osiedlowy komitet do spraw moralności i niepodważalnych praw rządzących ludzkim życiem. To ja byłam niepotrzebnym, zużytym gratem, leżącym kłodą na drodze do zrozumiałego dla wszystkich i akceptowanego przez większość uczucia młodych ludzi, którzy mieli utworzyć nową, szczęśliwą rodzinę. Olena straciła swoich bliskich w tej strasznej, odczłowieczonej wojnie. Straciła męża, rodziców, synka małego, rodzeństwo. Została tylko z córeczką. Nie miała domu, z którego nie zostało nic. Tylko gruzy. Te gruzy najwidoczniej przywiozła ze sobą i w sobie. Czuło się, że ta dziewczyna wie już wszystko, wie więcej, niż umie i chce wyrazić. Może dlatego nie lękała się niczego, może właśnie to było przyczyną, że dopadli ją, idącą o zmroku

osiedlową alejką. Może do końca nie wierzyła, że to się dzieje naprawdę, pewnie tak było. W tym kraju, gdzie stoją piękne bloki, a nie gruzy po domostwach, gdzie ludzie chodzą może nie uśmiechnięci, lecz pogodni, spokojni, a nie przemykają kuląc się przed nalotami od piwnicy do piwnicy.

Nie mieli z nią łątwa. Walczyła jak lwica, jak oszalała tygrysica. Gdy kolejny zwałił się na nią, a ona pod palcami wyczuła na miękkiej ziemi kamień, wyszarpała go i na odlew, z całej siły młodej ręki rąbnęła w pijaną mordę, która zalała się krwią, a napastnik z jękiem osunął się na ziemię i znieruchomiał. Zaczęli krzyczeć, odwrócili go na wznak.

– Nie żyje! Suka! Zatłuc ją, ukraińskie ścierwo!

Ale jej już nie było. Posiniaczona, w podartej odzieży ledwo dowlokła się do domu. Upadła na prog.

Nie poddać się nie ugiąć  
nie dać się zmiąć zdeptać  
zbezczęścić

Dotąd póki się  
j e s t trwać z mowie na przekór  
na złość złośliwym na ironię  
losowi nieprzebierającemu  
w środkach

(Stanisław Nyczaj, [\*\*\**Nie poddać się nie ugiąć...*])

\*\*\*

Kiedy po miesięcznym pobycie służbowym za granicą zjechałam do domu, pierwsze, co usłyszałam w sklepie, to wprost niewiarygodną opowieść o zbiorowym gwałcie na Ukraince. Takich strasznych wydarzeń nie było u nas nigdy. Co się dokładnie stało, do dziś nie wiadomo. Dość że jeden z oprawców przypłacił życiem swoje bestialstwo. Podobno oberwał w łeb kamieniem, a pozostali uciekli, zostawiając koleżkę bez pomocy. Przechodzący ludzie znaleźli rannego, wezwali pogotowie, które przewiozło go do szpitala. Niestety, po kilku dniach zmarł nie odzyskawszy przytomności. Śledztwo utknęło w martwym punkcie; wszyscy kolesie zmarłego jak jeden zasłonili się zbiorową amnezją. Owszem, mówili, kłóciliśmy się trochę, jak to kumple po paru piwach, ale żeby coś takiego... Nie, nie wiemy, co się stało. Może ktoś go napadł i pobił po tym, jak się każdy do swojego domu rozszedł?

I tyle było zeznań. Sprawę z braku dowodów na czyjąkolwiek winę umorzono.

Z tomu opowiadań Ireny Nyczaj pt. *Misja*. Kielce 2023.

## Wieża Kmoła

### Matka

„Kazachstan jest daleko, mammo. W Kazachstanie życie nie jest takie samo jak na Czukotce, wśród fok. Podobno na tej ziemi zamiast jurt budują wysokie wieże, aby być bliżej Wyższego Świata. I mówią też, że rosną ogromne jagody – rozgniatasz, a w środku jest dużo czerwieni i słodyczy, jak krew niedźwiedzia...” – miejscowy nauczyciel czytał matce list od syna, który już miesiąc temu został wcielony do wojska. „A także, mammo – pisał syn – mówią, że rosną tam wielobarwne kwiaty i pachną. Na pewno przywiozę ci kwiaty. Mówią, że można je posadzić w donicze...” Matka, jak każda matka – Polka czy Amerykanka, otarła mokre od łez oczy, a potem, gdy nauczyciel odszedł, pogłaskała tę kartkę, napisaną niezgrabnymi, niezrozumiałymi znakami. Pocałowała i ukryła, jak w takich przypadkach powinno być, na sercu, modląc się do bóstw północy o bezpieczny powrót syna z odległej krainy, gdzie rosną ogromne jagody z krwią niedźwiedzia w środku, a także kwiaty, jakieś wielobarwne i zapach mają... Nawet nie wiem, jak to pachnie, rybą czy co? – pomyślała kobieta.

### Kmol

W czasie kiedy na Czukotce matka nowo powołanego żołnierza ocierała łzy, Kmol jechał do Kazachstanu. „Będę miał swój własny dom, bardzo wysoki – opowiadał swoim towarzyszom w pociągu. – Wysoka wieża dotrze do gór i z niej będę widział wszystkie niedźwiedzie, foki, a nawet boskie morze. A ja będę wielkim szefem, a moja żona będzie mieć dużo butów i jedzenia, a moje dzieci pójdą do szkoły, a moja mama będzie wachać kwiaty...”

I pojawił się przed nim GUŁAG. Czy był zaskoczony, może szokowany setkami kilometrów nagiej ziemi i brakiem morza? Nie. Przez pierwsze miesiące służby Kmol przeżywał wielką radość, że Ojczyzna powierzyła mu ważną misję nadzorca na terenie obozu dla więźniów politycznych. A praca była niezwykle szczytna – stanie z karabinem na szczycie dziesięciometrowej wieży obserwacyjnej i marzenia... Stojąc na tej wieży Kmol czuł się spełniony, ważny, znaczący, a nie jakiś tam zwykły Czukcza. Tutaj, z wysokości, młody człowiek mógł obserwować świat, otaczających go ludzi, jak dowódca żołnierzy – bez litości. Kmol miał już w głowie obrazy życia wiecz-

nego i nieśmiertelności. Jestem Bogiem! – pomyślał sobie. – A ludzie chodzą pod moimi stopami zgarbieni, onieśmieleni. „Bezwzględność! To jest nasze motto!” – major powtarza nam o tym dzień w dzień! „Bezwzględność wobec wrogów naszego wodza!”. Nie chce mi się zbytnio zastanawiać nad znaczeniem tych słów i nie wiem jak myśleć. Jestem tylko żołnierzem. Myślenie to nie moja sprawa. Moim zadaniem jest wykonywanie rozkazów.

### Leszek

Minęło sześć miesięcy i widoki z wieży strażniczej zaczęły męczyć Kmoła; nie było morza ani smaku mięsa jelenia, ani też obiecanych kwiatów. Jedynie po wydeptanej, suchej, szarej ziemi poruszały się setki postrzępionych, wychudzonych postaci. A towarzysze żołnierze nieustannie śmiali się z jego pochodzenia i próbowali go upokorzyć w każdy możliwy sposób.

W pewnym momencie Kmol doznał wstrząsu: „Ta wieża jest moim więzieniem! Jestem bardziej zniewolony i ograniczony niż ci jeńcy, ci wrogowie ludu. Ale oni nie są wrogami mojego ludu!”. Do tego odkrycia doprowadziło go krótkie spotkanie. Kiedy obserwował więźniów z wieży, usłyszał tak radosny krzyk, że oniemiał... Nie pamiętał, żeby którykolwiek z jego sowieckich towarzyszy mógł tak swobodnie wyrażać swoją radość. Zaintrygowany Kmol ruszył w stronę osadzonych. Na widok zbliżającego się strażnika więźniowie zaczęli się rozpraszać. Tylko jeden staruszek ani drgnął. Miał na imię Leszek i był Polakiem. W jego oczach nie było strachu ani niechęci, jedynie radość i poczucie własnej wartości. A kiedy zaczął mówić, Kmol nagle doświadczył ducha wiatru ze swojej ojczyzny Czukotki. Godność bijąca od Polaka wleciała jak mewa w jego duszę. Rozmowa ludzi z tak różnych światów nie trwała długo. W ciągu kilku minut Kmol dowiedział się, co sprawiło, że miejscowi więźniowie byli tak szczęśliwi. Doszła do nich wiadomość o zwycięstwie nad Niemcami pod Monte Cassino i że duża liczba żołnierzy, którzy wygrali tę bitwę, była wcześniej w tym samym gułagu! „Jesteśmy więźniami, ale zwyciężamy!” – Leszek z dumą zakończył opowieść. Kmol miał już odejść, ale stary Polak powstrzymał go.

– Synu! Skąd jesteś?

– Jestem Czukcza.

– Czy twoja matka czeka na ciebie w domu?

– Czeka.

A potem coś się stało w sercu Kmoła i powiedział:

– Obiecałem mamie, że przywiozę jej kwiaty. Ale widzę, że ich nie znajdę stojąc na tej wieży...



– E, synu, gdzie człowiek nie znajdzie, tam Bóg zaszleje.

Kmol odszedł, a stary obserwował go przez długi czas...

### **Przeklęta wieża i ziemia**

Wczesna, zimna wiosna.

Nienawidzę tej wieży! Za każdym razem, gdy stawiam stopę na pierwszym drewnianym stopniu, czuję, jakbym wspinał się po rusztowaniu. Nogi mi się trzęsą, serce bije jak oszalałe, dech mi zapiera, ale nie mam wyjścia, jestem żołnierzem! Dziewięć metrów skrzypiących schodów. Spoconą ręką chwytam za poręcz i oto jestem na szczycie. Zimny, przeszywający wiatr kazachskich stepów uderza mnie w twarz, po czym ściska moje udęczone ciało jak niedźwiedź swoją ofiarę. Klękam i znowu słyszę skrzypienie tej wieży. Jest przeklęta. Nikt jej nie potrzebuje – ani więźniowie, ani strażnicy. Chociaż więźniom jej widok powinien sprawić przyjemność, bo przecież powiesił się na niej wartownik. Czy był to akt zemsty więźniów, czy samobójstwo – pozostało tajemnicą. Śledztwa nie przeprowadzono. Nie znoszę tej wieży.

I wszyscy „wrogowie ludu” patrzą na mnie z kpina. Nie powinienem nic mówić, bo stoję na wieży. Przecież nie mam tu nikogo poza tą wieżą i tymi więźniami. Zastanawiam się, kto za pięćdziesiąt lat przejdzie do historii jako bohater: ja, wieża czy więźniowie? Doświadczam bezsensu takiego życia, tego przeklętego miejsca. Mój Boże! Mój Stalinie! Dlaczego tu stoję? Dlaczego widzę ten świat pokryty ciemnością i pustką. Oto miejsce stworzone dla śmierci. Chcę iść do Tundry, chcę do mojej matki, do niedźwiedzi, do jeleni, do fok!

W tej chwili wewnętrznej walki Kmol usłyszał w ciemności na dole poświst. Potem szept. Zdezorientowany mocno chwycił karabin i automatycznie nacisnął spust. Usłyszał odgłos upadającego ciała. Kmol zbiega po schodach, jego stopy uderzają w mokrą ziemię. Widzi leżące ciało, podbiega bliżej, pada na kolana, zagląda w twarz i odskakuje w osłupieniu. Nieruchome oczy Leszka patrzą w niebo. Chwyta go za ramiona. Mokra chusteczka, pełna ziarenek, wypada z dłoni Polaka... Mój Boże! Zabiłem jedyne godnego człowieka w tym ohydny miejscu! Wyją syreny, szczekają psy, ze wszystkich stron biegną w ich stronę ciemne sylwetki. Czukcza rozumie, że musi wstać. Podnosi chusteczkę i szybko chowa do kieszeni...

\* \* \*

„19 maja, ja, żołnierz Kmol, który otrzymał nagrodę pieniężną i dyplom za zabicie wroga ludu,

włokłem się na poranną wartę do wieży strażniczej. Obóz właśnie się budził. Ale kiedy zbliżyłem się do miejsca, w którym kilka miesięcy temu zastrzeliłem starego Polaka, ogarnęła mnie panika... Miejsce, na którym leżał postrzelony przeze mnie człowiek pokryło się czerwonymi makami. I nagle zaświtała myśl – ta chusteczka, ziarenka w dłoniach Leszka...

To były pierwsze i ostatnie kwiaty, które widziałem w tym ziemskim piekle...”

### **Wieżowiec**

„Minęło 20 lat. Ożeniłem się, moja żona, Kazaszka nie chodziła bosą, nasze dzieci były syte i uczyły się w prestiżowych szkołach. Tylko moja mama nie zobaczyła kwiatów, które jej obiecałem.

Minęło kolejne 20 lat, moja żona też umarła, dzieci rozpięchły się po świecie, a ja – stary, chory żołnierz – żyłem samotnie na dziewiątym piętrze wieżowca. Jedyne sensem mojego życia było podglądanie sąsiadów. Moje starcze szaleństwo sięgnęło zenitu, wydawało mi się, że wszyscy są wrogami. Nie mogłem spać wiedząc, że Wódz może być w niebezpieczeństwie. Ale kto jest moim wodzem i jakie niebezpieczeństwo mu grozi – tego już nie rozumiałem. Czuję się jak morderca, a zarazem ofiara gułagu... Kiedy u sąsiadów piętro wyżej słyszałem tupanie, miałem dziwne wrażenie, że to zabici więźniowie biegają w mojej głowie i przypominają mi moje grzechy, i jakiś niespełniony dług wobec Polaka Leszka.

### **Maki**

Możliwe, że ta historia, jak i moja droga życiowa powinna się skończyć w tym miejscu. Ale jednej nocy, w poszukiwaniu wrogów – usłyszałem w Radio Swoboda audycję i znajome słowa: Monte Cassino... Czerwone maki... W głowie kołatały mi słowa: Polak, Monte Cassino, Godność, Maki... Mama... Kwiaty... Leszek, Wieża...

Tych dziewięć słów kołowało w mojej chorej pamięci. Wydawało się, że upadłem na samo dno piekła, by odnaleźć tam sens mojej udręki. I chyba pomógł mi Bóg Leszka. W jednej chwili opuściły mnie wszystkie grzechy i lęki. Intensywny zapach życia wypełnił moje nozdrza.

... Wychodząc z wieżowca pozostawiłem za sobą stary świat gułagu. Z łopata w rękach stanąłem przed moim wieżowcem – moją wieżą, i zacząłem kopać. Z kieszeni wyjąłem pieczołowicie przechowywaną chusteczkę Leszka i z szacunkiem rozsypałem ziarenka na ziemię...

*Iryna Ostrowska*

## Ten pan nie wytnie już ani jednego drzewa

– Popatrz, coś się dzieje w lesie – Izydor Lisicki szturchnął odruchowo w bok Adama Drewnowicza, nie przestając wpatrywać się w ekran komputera.

– Odbiło ci. Mam patrzeć na twój pieprzony komputer, a nie na drogę?

– Zatrzymaj się. Naprawdę, coś się dzieje.

– Jasne, że dzieje, odkąd te pojeby zaczęły protest. Drogi nie pozwolą zbudować, bo trochę drzew się wytnie. I co z tego? Gówniarze. Za dobrze mają, to im się w głowie poprzewracało. Popieprzone ekologi.

– To nie o nich chodzi. Drzewa... – przerwał na chwilę. Ekran komputera wciąż migotał i czerwone kreski na wykresie szybko przesuwają się w górę. Izydor był coraz bardziej zaniepokojony i narastał w nim strach.

– Co te twoje drzewa niby robią? – Drewnowicz roześmiał się. – Ty jesteś tak samo odjechany jak ci ekolodzy. Drzewa rosną, a za chwilę nie będą. Ich miejsce zajmie droga.

– Drzewa są wystraszone. Zobacz, zobacz. Wykresy stale rosną.

Adam skrzywił z drogi w leśną drogę i zatrzymał samochód.

– No, pokaż co ten twój komputer wskazuje. – Czerwone kreski na moment zatrzymały się i znowu powędrowały w górę. – To niby mają być jakieś wskaźniki. Tylko czego? Myślisz, że uwierzę w takie bzdury. Nikt nie jest w stanie stworzyć programu, który mógłby uchwycić to, co czują drzewa. Nie stworzy, bo drzewa niczego nie czują. Nie czują. Rozumiesz? – Popatrzył na Izydora jak na kogoś, kto stracił rozum, i przekręcił kluczyk w stacyjce.

– Musimy wstrzymać budowę drogi. Las jest zaniepokojony. Coś się może stać.

– Zwariowałeś! My mamy to zrobić? Jesteśmy tylko leśnikami. Dziś miał przyjechać ktoś z ministerstwa i wreszcie przegonić ekologów. Jak dłużej będą protestować, ludzie tego mogą nie wytrzymać, puszcza komuś nerwy, ktoś kogoś pobije i cała Polska będzie o tym mówić. Dla tych nawiedzonych wariatów ludzie się nie liczą, tylko drzewa. Mieszkańcy chcą mieć obwodnicę, żeby tiry nie jeździły im pod oknami. Czy tak to trudno zrozumieć?

– Można gdzie indziej poprowadzić drogę, a nie przez las.

Dojeżdżali na miejsce. Gwar na polanie potęgowało echo. Wydawało się, że zebrała się co najmniej setka ludzi, a było nie więcej niż trzydzieści. Wszyscy mówili jednocześnie. Jakaś kobieta wygrażała pięścią dwóm młodym mężczyznom siedzącym wysoko na drzewie. Przywiązali się do niego łańcuchami. Jeden z nich rzucił klucz od kłódki na ziemię.

– Jak zetniecie drzewo, to razem ze mną! – krzyknął. – Kto wejdzie, aby mnie z łańcucha uwolnić? Proszę bardzo, jest jakiś śmiałek?

– Złaż stamtąd, świrze!

– Dlaczego policja nie interweniuje! Za co im płacimy!

Czterech policjantów odgradzało manifestujących ludzi od namiotów ekologów. Stale musieli kogoś powstrzymywać, aby nie przedarł się przez stworzony przez siebie kordon i nie próbował czegoś zniszczyć.

– Jebać policję! Jebać policję! – krzyczał łysy mężczyzna, którego policjanci siłą odciągnęli od namiotów.

Na leśnej drodze od strony miasta stały dwa hamery, tuż za nimi czerwony samochód strażacki. Trzech strażaków niosło długą drabinę. Oparli ją o drzewo, na którym siedzieli ekolodzy. Kilku obrońców lasu usiłowało im w tym przeszkodzić. Siły nie były wyrównane, jeden z ekologów przewrócił się, ale szybko pozbierał, ktoś podał mu mikrofon. Stał przed policjantami twarzą do rozgorączkowanego tłumu i powiedział:

– „Puszcza jest niczyja, nie moja, ani twoja, ani nasza, jeno boża, święta!” – tak napisał nasz wielki wieszcz, Stefan Żeromski. Nie możemy jej niszczyć.

– Kto to jest ten Żeromski? – osiłek, który przed chwilą chciał się przedrzeć do namiotów ekologów, spytał stojącego obok mężczyznę z długą czarną brodą.

– A bo ja wiem? – wzruszył ramionami. – To chyba ich idol, skoro takie pierdoły pisze.

– Proszę się uciszyć. – Tuż obok przemawiającego ekologa stanął niewysoki mężczyzna w czarnej marynarce zapiętej na jeden guzik. Poprawił krawat, odchrząknął, ktoś podał mu tubę wzmacniającą głos. – Proszę o spokój – rzekł i znowu odchrząknął. – Musimy dojść do porozumienia. Panowie – zwrócił się do ekologów – musicie zrozumieć, że miasto musi mieć obwodnicę. Mieszkańcy mają dość hałasu i spalin. Przez główną ulicę przejeżdża tysiące tirów w dzień i w nocy. Obiecaliśmy im w kampanii wyborczej, że wybudujemy obwodnicę i chcemy to zrobić.

– Ale nie musi prowadzić przez las, gdzie są gniazda lęgowe ptaków!

– To wszystko rozumiemy. Ptakom nic się nie stanie. Las jest duży. Przeniosą się dalej od drogi i ich populacja nie spadnie.

– A rzeka! Też się nie liczy! A rozlewisko...

– Zostanie takie, jakie by... – nie dokończył i zaczął energicznie wymachiwać rękami.

Od strony lasu nadciągała chmara bzyczących owadów. Było ich tak dużo, że przysłoniły słoneczne promienie. Nagle pociemniało.

– Ludzie! Szarańcza! – ktoś krzyknął i nagle na polanie zrobiło się zamieszanie. Wszyscy zaczęli uciekać na oślep machając rękami. Próbowali odgonić atakujące ich owady. To jednak nie była szarańcza, ale szerszenie. Ktoś wpadł na stojący z tyłu hamper, ktoś inny przewrócił się, ale zachował przytomność, bo naciągnął kaptur na głowę i przywarł do ziemi. Gorzej było z kobietą, która na leśny protest wybrała się w butach na wysokich obcasach i jakby tego było mało, zabrała dziecko i wózek. Nie mogła szybko uciekać, co krok potykała się, a dziecko coraz głośniejsze płakało.

– Moje dziecko! Moje dziecko! Ludzie, ratujcie!

– A nie mówiłem, że coś się stanie, a ty nie wierzyłeś.

– Nie pieprz głupot, tylko wysiadaj. Nie widzisz! Te skurczybyki zagryzają dziecko.

Izydor wyciągnął z wózka wrzeszczącego malca, a Drewnowicz złapał wpół kobietę i nim się obejrzała, była już w samochodzie. Nadal krzyczała: – Moje dziecko! Moje dziecko!

– Styl pysk, głupia babo – Adam nie przebiegał w słowach. – Jesteś bezpieczna. Nic ci nie jest, ani dziecku.

Kobieta wytrzeszczyła oczy wpatrując się w leśników. Najwyraźniej jeszcze do niej nie dotarło, że została uratowana.

Nagle wszystko ucichło. Polana opustoszała. Z daleka dochodził świergot ptaków. Cisza była tak wielka, jaka może być tylko w lesie, gdy nikt nie zakłóca porządków przyrody.

Izydor ostrożnie otworzył drzwi samochodu i rozglądając się dookoła, zdecydował postawić jedną stopę na ziemi.

– Co się tak czaisz? – ostro zareagował Drewnowicz wysiadając z drugiej strony. – Tu niczego już nie ma.

– Jak to nie ma? A ten tam – wskazał ręką na leżącego na polanie przedstawiciela ministerstwa.

– O kurwa, tylko on jeden został. Chyba coś z nim nie bardzo, skoro leży z rozłożonymi rękami twarzą do ziemi.

– Krzyżem leży, jak w kościele, bo każdy las jest jak katedra.

– Co ty pieprzysz. Chyba nie oddycha. – Przyłożył palec do tętnicy szyjnej. – Nie ma pulsu. Chyba dostał zapaści. Trzeba mu zrobić sztuczne oddychanie. Odwracamy go, raz, dwa trzy. Ale ciężki. No, jeszcze raz.

Ministerialny wysłannik miał czerwoną i spuchniętą twarz. Tam gdzie powinny być oczy, przebiegała cienka kreska, za to usta miał nienaturalnie nabrzmięte.

– Ja pierdolę, ale go te szerszenie załatwiły. Dzwon po pogotowie. To na pewno uczulenie. Czegoś takiego nigdy nie widziałem.

Pogotowie dotarło po dziesięciu minutach, ale tylko po to, aby stwierdzić zgon.

Izydor pokiwał głową i wyszeptał: – Ten pan już nie wytnie ani jednego drzewa.

Opowiadanie nagrodzone w konkursie Manewry Artystyczne Wojska Polskiego 2022.

*Irena J. Paździerz*



Obraz autorstwa Uty Przyboś do powieści Ireny J. Paździerz *Witaj Europo* wydanej w 2008 roku

**„Bo ja z przeklętych jestem tego świata”**

w poczekalniach jak ciasteczka kuszą pisma kolorowe  
superlaski i celebrity  
zajebicie mają

Z drwiną patrzył paryski piekarz z naprzeciwka,  
a Tyś za chlebem tęsknił żytnim i tymi, co okrucz by podnieśli...  
Chodziłeś w tłumie niekochany, bezimienny,  
bo – odmienny.  
Nie chciał nikt wydać Twoich wierszy – byłeś życiowo niezaradny.

Bo ludzie mogą tylko trochę  
większej od swojej znieść mądrości?

z ulicy widać  
blask ekranów – ognisk rodzinnych  
muzyka obraz słowo – sztuki zjednoczone  
medialne spełnienia

Coś Ty, Cyprianie, zrobił ówczesnym,  
żeś był na nędzę i grób wspólny wydan  
wzgardzony pierwej?  
Z po-litowaniem, lecz bez litości.

Tyś przecież wiedział, że masz władzę Słowa.  
Dzięki miłości prawda kształt piękna mu nadała.  
Moc.

„Dumny i hardy” na ileś wierzył, że ma sens krzyża ponizenie?  
Czy Miriam na to był zesłany, żeby odsłonić Ciebie?  
(Cóż, ludzie nawet lubią klaskać, jak im się wskaże komu).  
Niewiele rozumiejąc, dali Ci jednak, jak niedojdzie,  
w przytułku miejsce.  
Do końca-ś wierzył, że „poezja i dobroć” zostaną tylko z rzeczy świata tego?  
Że sztuka warta życia jest, dla kogo sztuka?!

Przecież wiem, żeś leżąc w darowanym łóżku – płakał.

gwiazdy też płaczą

**Puzzle polskie**  
(Fragment powieści)

– Prry! – wóz dojechał do strugi, gdzie Stach zatrzymał Karego. Uwiązał lejce do drzewa i całkiem już spokojny o los wozu spojrzął na wodę. Struga płynęła nigdy niezarastającym korytem z głębi lasu, z bijącego głęboko w lesie źródła. Jej brzegi porastały obficie przeróżne zioła, których nazw już nie miał kto w Dołach pamiętać. Obmywała je woda czysta, ożywcza. Niejeden osłabły w mocach męskich chłop dojeżdżał do strugi czym tam miał, a nawet piechtą przychodził, byle zaczerpnąć życiodajnej wody. Panny, jeśli długo nie miały kawalera, myły w niej nie tylko twarz w nadziei na odmianę losu. Podszedł Stach do wody ze specjalnie zabranym wiaderkiem. Stanął na śliskich korzeniach. Zwinnie balansując przed upadkiem, zanurzył wiaderko. Podał Karemu do picia, a sam zdjął z fury bańkę. Napełnił ją, zakręcił i zaczerpnął kubkiem nareszcie dla siebie. Wypił duszkiem. Poprawił. Nie żeby słabł, żeby Maria uskarżała się na niego. Tak na wszelki wypadek postanowił się wzmocnić. Zresztą woda ze strugi na inne rzeczy też pomagała. Powszechnie wiadano o jej wpływie na wyostrenie wzroku, na pamięć, na poprawę apetytu. Stąd bańka, aby zabrać do domu także dla Marii ożywczego, czarodziejskiego eliksiru. Kiedy się jeszcze raz pochylił, aby obmyć twarz, w toni ujrzał nie swoje odbicie, a ojca. Wzdrygnął się i przez nieuwagę zsunął nogą w zimną wodę. Wyskoczył na łąkę. Pomyślał, że to przywidzenie, bo co innego? Może podobny się robi z wiekiem? Tak tłumaczył zdarzenie niezwykle sam przed sobą, nie wierząc ani trochę w swoje wyjaśnienia. [...]

Stach Fałeta oporządził Karego po postoju, sprawdził uprząż, zapakował wodę ze strugi i siebie na wóz. Prawie odjeżdżał, ale ciężko to szło. Nie chciało mu się stąd ruszać, tak urokliwie struga wyglądała w tym dniu. Znalazł wytłumaczenie sam przed sobą, że niby chce mu się jeszcze pić. Nie do końca tak było, jednak ambitnie wydoił pełen kubek. Cmoknął, ponaglił delikatnie lejcami Karego, wreszcie ruszył stępa. Jechali już całkiem lasem, wolno, spokojnie po okrytej dachem z pochyłonych gałęzi piaskowo-mchowej dróżce. Tu panował półmrok, cisza. Także ptaki uszanowały owo misterium i nie śpiewały zupełnie. Bezszelstna podróż uśpiła Stacha.

Najpierw zaczął falować oczami, a później głowa opadła mu na tors, wreszcie w półsiedzącej pozycji zasnął na dobre. Koń tak jakby nie potrzebował woźnicy. Urzeczony okolicznościami przyrody, całkiem zwolnił i tyle że ciągnął furę z nieprzydatnym człowiekiem. Konie, te ze wsi, na pewno potrafią rozróżnić drogę asfaltową, gdzie mijają je rozpędzone stalowe pudła, od pachnącej świerkami, sosnami, paprocią i mchem leśnej dróżki. Zapewne wieki obcowania z ludźmi nauczyły je dostrzegać i cenić takie rzeczy. Kto ich tam wie? Nawet słynąca w całej okolicy z wybitnej wiedzy weterynarzowa, nawet ta fachura w spódnicy nie znała do końca końskiej duszy. Bo, że koń taką ma, to akurat nie ulega dla chłopca z dziada pradziada wątpliwości. Wystarczy, że spojrzy w jego oczy, a zobaczy w nich wszystko – cały świat rozciągnięty od rzeki poprzez pola, aż po lasy. Bez duszy nie sposób sobie tego wyobrazić.

Tak więc obaj, woźnica i koń ulegli magii miejsca. Stachem nawet nie rzucąco, tak leśna droga stała się dogodna. W symbiozie snu z jawą zaczęły się z jego głową dzieć dziwne rzeczy. Później, gdy opowiadał o tym Royskiemu, miał wrażenie ponownego przeżywania tej niezwykłej jazdy. Zdało mu się, że wóz z nim nie jedzie, a płynie jakby strumieniem, rzeką może, a do tego otacza ich nie tyle las, co gęsta mgła. W niej mijali się z postaciami na koniach, na wozach, pieszo – bardzo różnie. Nie wydając z siebie żadnego dźwięku, minał go motocykl z niemieckim oficerem na siodełku. Poznał Stach też furę z tętą. Ten coś mówił do niego, coś pokazywał batem. Ale co? Skąd miałby wiedzieć, przecież to jedynie marysenne. Bryczka, najładniejsza, mignęła tylko, a na niej dziedzic. Wiedział jak wyglądał, znał go z fotografii. Ojciec „Rysia”, dziedzic Kazanowski nie jechał sam. Jechał z dwiema paniami, jedna ładniejsza od drugiej, a strojne obie. Śmiali się, zupełnie nie zwracając na furmankę Stacha uwagi. Bardzo go to zaboląło. Zawrócili, miotnęło śniegiem, aż poczuł go na policzkach, a z bryczki zrobiły się pędzące w kuligu sanie. Dziedzic i jego towarzyszkę ubrani byli po dawnemu, jeszcze w bryczkową odzież. Zadzwończyły koniom dzwonki, dziedzic strzelił z bata i tyle ich widział. Znów mgła, a w niej doczekał się „Rysia” zdjętego żywca z fotografii w sali pamięci. Stał tam poobwieszany raportówkami, lornetką i pistoletowymi kaburami. Tu jechał na pięknym, o wysmukłych pęcinach wierzchowcu. Sierść jego kara, aż się świeciła, a pod skórą grały mięśnie. Na plecach „Rys” miał karabin. Pewnie ten legendarny, którego do tej pory nie odnaleziono.

Wedle opowieści starszych ludzi, ma on posłużyć do zemsty na ubowcach, mordercach pomagającej partyzantom rodziny Kozubków. Dokona jej sam „Rys” lub mściciel, który odnajdzie ukrytą broń. To musiał być ten mauzer z lunetą. Ci, co pamiętali okupację, opowiadali w Dołach o cudach, jakie nim legendarny partyzant wyczyniał.

Jeszcze pod koniec lat sześćdziesiątych pod kościołem w Dołach, przed sumą, spotykali się byli partyzanci. Od „Dynamo” głównie. Ubrani na zielono, w wyglansowanych, świecących butach. U „Rysia” niewiele było miejscowych, prawie wcale. Leśni od wiciowca „Dynamo” opowiadali, jak ich oddział, słynny szeroko z równie słynnymi akowcami „Rysia”, zajął na popołudnie i wieczór Kazanicę. „Dynamo” szarpał się z zaciętym zamkiem automatu. Z kilku kroków mierzył do niego niemiecki oficer. Zobaczył to w porę z drugiego końca rynku „Rys” i powalił szkopa jednym strzałem. Po wszystkim oglądali trupa. Strzelił mu dokładnie między oczy.

Teraz przegalopował z tym karabinem w mglistym śnie Fałety Stacha, obok jego ojca Piotra. Obok krążącego swoją bryczką-saniami ostatniego dziedzica Januarego Kazanowskiego. Pieszko, unosząc się w powietrzu, minęli go jacyś chłopci. Jeden z siekierą, a drugi z zakrwawionym nożem. Mijali się wszyscy nie patrząc na siebie. Zjawy z tak ukochanej, będącej pożywką dla jego mózgu przeszłości.

Tak tłumaczył mu sen Royski, jedyny człowiek w Dołach, z którym o takich dziwactwach rozmawiał. Rozumiał Stacha, bo i on karmił umysł niepojętymi dla normalnych ludzi rzeczami. Także opowieść Fałety została przez wyobraźnię Ryszarda Royskiego skonsumowana w całości, niczym wykwentne danie. Przekonał się o tym Stach, kiedy malarz zaprosił całe towarzystwo: księdza Antoniego, Andrzeja, weterynarzową, Krystynę bibliotekarkę, Stacha, Zygmunta Strażaka i jeszcze oczywiście żony, mężów – kogo kto miał. Zaprezentował im w zamienionej w galerię sztuki leśniczówce cykl obrazów pod tytułem „Pale”. Zobaczyli dzieła pierwsi, przed paryżanami. Poza Agnieszką nie mieli bladego pojęcia o sztuce wysokiej, mimo to wielkie różnobarwne obrazy zrobiły na wszystkich oszałamiające wrażenie. Poznał Stach wtedy ogromną moc sztuki. Stał zamurowany przed dziełem o tytule „Mgła śnieżna”. Wszystko na nim było, choć głównie namalował Royski właśnie różnobarwną, zacinaną śniegiem mgłę. Widział w niej jednak te postaci ze swojej wizji. Ocierały się o siebie, pokawałkowane dziwacznie, ale przez to jakby wyraźniejsze. Stach to

jeszcze nic. W końcu mógł się domyślać, co odkrywa nie zakrywając owa chwilami nawet krwista mgła, ale Zygmunt Strażak? Ten aż wyjść musiał ochłonać na taras, gdzie schowany w mroku płakał. Zobaczył we mgle Royskiego tajemnicę przekazywaną z pokolenia w pokolenie. Łańcuch przodków szepczących sobie do ucha przepis, którego istotną częścią była potrzeba użycia wody ze strugi. Nie miał Zygmunt Strażak cienia wątpliwości – mgłę zrobił malarz z tej samej wody, którą on i jego przodkowie dolewali przez pokolenia do zacieru. Ze strugi. I on będzie musiał komuś ten przepis przekazać. Wszystko na to wskazuje. Nie zdąży dorobić się potomka i trzeba będzie wybrać kogoś z dalszej rodziny. Będzie to jedna z najtrudniejszych decyzji w życiu samotnego, bezpotomnego mężczyzny. Patrząc na „Mgłę śnieżną” poczuł całą groźbę swojej sytuacji.

Stacha docuciło rzenie Karego – w ostatniej chwili. Przed nimi rozciągało się bagnisko. Ostatnie nieobjęte osuszaniem za czasów Ładogi, a później zapomniane przez jego następców. W te rejony nikt się nie zapuszczał, chyba że zabłądził podobnie do Fałety. Oprzytomniał błyskawicznie. Po pierwsze ściągnął lejcamy konia, ile tylko miał w zaspanych rękach siły. Zeskoczył z fury i odpiął od niej Karego. Brodząc w grząskim gruncie, trzymając w jednej ręce orczyk, a w drugiej lejce, przeprowadził go na drugi koniec wozu. Tu zdecydowanie grunt był stabilniejszy. Zawadził orczykiem o burty i trochę pchając, ale głównie licząc na konia, wywłókł furę na całkiem suchy teren. Aż do pozwalającego wykręcić rozwidlenia. Wąskimi drożynami wyżłobionymi przez ściągane zimą kłocce, dojechali do kolejnej krzyżówki. Stach zupełnie nie miał pojęcia, gdzie jest. Bezradnie próbował rozpoznać którąś z kilku prowadzących w las odnóg. Jakże Niemcy mieli dopaść tu „Rysia”, skoro on, rodowity z dziada pradziada z Dołów, nie widział drogi wyjścia z leśnej matni? Poprosił za wstawiennictwem Najświętszej Paniienki Jezusa o pomoc. Ruszył śmiało w najmniej wyraźną z drózek. Zupełnie nie potrafiłby wytłumaczyć, czemu akurat liczył, że doprowadzi go w znane mu miejsce. Nie przeliczył się. Po godzinnym błąkanu wyjechali wprost na „Dębową polanę”. Stach zeskoczył z fury i zanim wyładował przywieziony materiał, zanim zajął się Karym, uklękł przy kapliczce, uniósł głowę do góry i patrząc na spróchniałą rzeźbę ojca w prostych, a szczerych słowach podziękował Jezusowi za wybawienie.

Grzegorz Rak, *Puzzle polskie*, Kielce 2023, s. 350.

## Fraszki z odzysku

### Na piłkarzy ręcznych

Choć nie ma wśród nich złodziei  
Piłka do rąk im się klei!

### Szczyt himalaisty

Szukając chwały  
Spadł ze skały...

### Urbanista

Młody budowniczy dożył tej pociechy  
Że z krajobrazu pozniwały strzechy.

### Dla niejednego polityka

Brudna robota  
To... żyła złota!

### Szkolne poczwarki

Z niejednego osła  
Materiał na posła.

### Na praktykantkę

Zataiła przy ołtarzu  
Że już jest po wstępnym stażu.

### Na kazania

Nie jeden ksiądz przestawia kazalnicę –  
Miast o religii – prawi o polityce.

### Partyjne insekty

Przechodzą z sekty  
Do sekty...

## Do emeryta

Trzeba uczciwie pracować  
By w przyszłości – wegetować...

### Kwitnący staruszek

Ma „jesień” radosną –  
Ożenił się z „wiosną”.

### Na skorumpowanego

Tylko tych przemowę ceni  
Co przemówią do kieszeni!

### Zagrożenie pożarowe

Słomiana wdowa  
Do pożaru gotowa!

### Niektórzy duszpasterze

Boga się nie boją –  
Całe życie doją!

### Modlitwa o homilię

Ciągle brakuje homilii  
W temacie pedofilii...

### Nie ma ludzi nieomylnych

Każdy w to wierzy  
Prócz papieży!

### Kolczasty pomost

Teściowa jest pomostem  
Między różą a ostem.

### „Słaba płeć”

Czy herod-baba  
To płeć słaba?

## Na uniesionej wyspie

tyle szczęścia i tyle miłości  
przydzielone mu było odgórnie  
tyle stabilności  
a teraz lekko się unosi  
niby (lekko) duch  
patrząc na przyziemność z góry  
która to ciało na pierwszym miejscu stawiała  
ceniła materializm i zmysłów rozkosze

miłość go nie omijała  
kochał całym sobą to co posiada  
wartości ducha i boską opatrność doceniał  
wdzięczny losowi

nie wiadomo skąd wszedł ból  
pomiędzy tkankami rozpanoszył byt  
nieproszony gość  
budował włóści rozległe  
nie pytając o pozwolenie

szukał pomocy  
wprowadzał obronę  
bezszykownie  
agresor niszczył ciało budując własne

ostro usunąć bandytę zabrzmiał głos  
skalpel ujął w dłoń w asyście innych  
porwał się na niszczyciela

pod osłoną parawanów rozkrojono ciało  
uśpiwszy nieszczęśnika –  
aby nie cierpiało

poczuł ulgę  
a raczej jego świadomość opuściła tkanki

spoglądał na siebie balansując pod sufitem  
dziwił się co robi cała grupa ludzi obok  
znieruchomiały bezwładny

jeden z grupy kroi go bezlitośnie  
a pozostali przyglądają się –  
bezglóśnie

poczuł się jak pępek świata  
z którego ulata ból

widzi sam siebie  
i nic nie może zrobić  
chciałby zapytać tych zielonych ludzików w maskach  
ale jest w niemocy  
wzywać pomocy chciałby  
ale nie potrafi

wpadł w ręce mafii  
i ci jakieś eksperymenty  
dla własnych korzyści

ale było mu jakoś błogo lekko  
mógł z każdej strony podchodzić do stołu  
na którym leżał  
co oni ze mną robią  
rozkroili  
a ja nie czuję tego  
teraz wbijają igłę we mnie  
szyją moje ciało jak rozpruty łąch  
czy to jest dla mnie  
jakiś życiowy krach

wciąż się unoszę ponad i o nic nie proszę  
opadają im ręce gdy patrzą w aparat  
miny mają nie gęste

i zostawili mnie –  
wszyscy naraz  
jestem sam pośród nieruchomych  
oni też lekko się unoszą  
zostawiając ciała własne nisko

co mnie obchodzą  
ja zostawiłem bliskich  
przede wszystkim swoją ukochaną

zapłakaną przypominam sobie  
zmartwioną zapatrzoną we mnie  
gdybym tak mógł ją pocieszyć

ale jak się wydostanę z tych betonowych ścian sufitów

co to  
jeden ze współlokatorów tej chwili  
przechodzi przez ścianę i wraca  
jak on to robi  
może ja spróbuję

rozpędził się w swym locie zamknąwszy oczy  
przygotowany na kolizję ze ścianą  
przeszedł sam siebie udało się



teraz odnajdę ukochaną  
pokonywał przeszkody i to go bawiło  
nie ma dla mnie przegrody  
nie ma ściany szlabanu  
i jaki się czuję młody lekki silny

gdybym jeszcze był bardziej stabilny  
gdyż moja lekkość unosi mnie wciąż  
nie mogę na dłużej zatrzymać się w miejscu  
może to i dobrze zwiedzę wreszcie wiele  
z góry patrzę sobie na miasto ulice  
wreszcie mogę ogarnąć rozległe dzielnice

o... tam na kościele na wysokiej wieży  
widzę podobnego co się bardzo spieszy  
unosząc siadając na wieżach i dachach  
wygląda jakby swoimi lotnymi skokami  
przeźrenie sobie mierzył

wstąpię do kościoła symbol absolutu  
zawsze się modliłem uznawałem boga  
wierzyłem w istnienie nadzoru  
w kogoś kto trzyma w ryzach wszechświat  
wszechmocny jest oraz wszechmogący  
i wie co robi ważna jego wola  
a moja rola nikła  
zdaję się na łaski i niełaski  
choć możliwości moje były  
ale znikły bezsilny jestem  
ciało odeszło ode mnie

wejdę do kościoła  
ale zamknięty  
obejdę dokoła  
chwytam za kłamkę  
dziwne jej nie czuję  
aha zapomniałem przecież nie mam ciała  
muszę przywyknąć  
by nie tracić czasu i przenikać ściany  
zamknięte przestrzenie pokonać potrafię

kościół  
tam wyciszam ducha  
świętość spokój pokora i skrucha  
wskazane dla mnie jako śmiertelnika  
zawsze modlitwa dodawała siły  
przyklęknię skoncentruję myśli  
Panie oświeć mnie czy to mi się nie śni  
czy jeszcze wrócę do swej normalności  
chociaż mi się podoba stan mojej lekkości  
wolałbym znów mieć ciało  
cielesne odczucia i władać mięśniami

czuć wszelkie ukłucia i ból  
rzeczy dotykać

a teraz mogę je tylko przenikać  
dotyk i oddech mojej ukochanej  
był dla mnie ważny i niezastąpiony  
czy jeszcze kiedyś wróci rozkosz bliskości jej ciała  
Boże daj mi tę ulgę by tak jak przedtem ona mnie kochała  
wciąż mam nadzieję że to sen tylko  
że się znów przebudzę powrotem do ciała

Panie wysłuchaj myśli mojej  
mimo lekkości dusza ma pragnie  
cielesności ludzkiej normalności  
w wymiarze ziemskim  
ta kropla miłości dla mnie  
wiele za mało  
chciałbym a nie mogę odczuwać co odczuwa ciało  
daj mi to o co proszę choć woła twa święta  
wierzę że wiesz co robisz  
dajesz lub zabierasz człowiekowi  
by nie czuł się silny jak twa siła wielka  
doświadczasz na różne sposoby  
aby zgasić pychę zadufanie w sobie  
umieszczając w człeczej osobie namiastkę Krzyża  
pokora moja jednak wobec twojej woli  
jest aktualna choć dusza mnie boli  
mimo iż nie czuję cielesnego bólu  
niech się stanie według słowa twego

teraz się udam odwiedzić mą miłą  
wielce się za nią stęskniłem

od pierwszego wejrzenia  
zatliła się w nas iskierka miłości  
podmuchy rąk i ust cielesne zbliżenia  
rozpałyły płomień nie do ugaszenia

pożar trawiał motylki w brzuchu  
słowa utrwaliły cenne wartości  
zniknęły wszelkie ości złości i zazdrości  
wpatrzeni tylko w siebie  
czuliśmy się jednym ciałem  
i żadne z nas nawet nie pomyślało  
że cokolwiek mogłoby nas rozdzielić

to coś się rozkrzewiało  
wrastało jednocześnie łącząc jak stalowa kłamra  
spajało zgrzewało spawało nasze dusze ciała  
tworzyła się więź nierozzerwalna

*Kazimiera Szczykutowicz*

## 29 marca 2022 roku

Minał kolejny rok. Wojewódzka Biblioteka Publiczna udostępniła w Internecie notatki, wiersze, spisywane przez mieszkańców regionu w czasie pierwszego roku pandemii, w tym *Oczy pragną zieleni*. Piszę w dalszym ciągu felietony, więc zarzuciłam dzielenie się z komputerem każdym wydarzeniem, każdym przeżyciem. Dzisiejszy dzień jest jednak wyjątkowy, chociaż tych niezwykłych dni jest ostatnio wiele. Doczekaliśmy pogrzebu Krzysztofa Pendereckiego. Uroczystość religijno-państwowa odbyła się z uczestnictwem wielu dostojników, w tym Prezydenta Andrzeja Dudy i pary prezydenckiej – Jolanty i Aleksandra Kwaśniewskich. Prochy wielkiego kompozytora spoczęły w godnym Jego geniuszu i zasługach miejscu: w Panteonie Narodowym. Teraz moje zapiski są skończone, uzyskały pointę, na którą czekałam, z myślą o publikacji książki. Jeden rozdział zamknięty, ale jak grom z jasnego nieba 24 marca na świat spadła nowa rzeczywistość – wojna w Ukrainie. Pandemia jeszcze nie wygasła, zakażonych nadal liczy się w tysiącach, mimo to od wczoraj nie musimy nosić masek. Jakże to dziwne w stosunku do niegdysiejszych obostrzeń! Ale pandemia nie tylko z tej przyczyny usuwa się w cień, wojna niesie śmierć i zniszczenia, ukraińskich uchodźców, przybywających do Polski, liczymy już w milionach. Jako dziecko lękałam się wybuchu trzeciej wojny światowej, z osiemdziesiątym krzyżykiem na karku mam te same obawy, powiększone o strach przed użyciem broni atomowej lub biologicznej. Co przyniesie przyszłość? Kto to wie? Teraz potrzebna jest jeszcze większa dawka nadziei niż przy pandemii. Dopóki człowiek żyje, żyje także nadzieja. Prezydent Ukrainy, Wołodymyr Zełenski, niezłomny obrońca ojczyzny, trafia nie tylko do serc swych rodaków: budzi szacunek i podziw całego świata. W tym złym czasie w moim małym sercu znalazł trwałe miejsce i radość, że doczekałam się na polityka, człowieka na miarę marzeń. Życie toczy się dalej, więc przy najbliższej okazji wypiję toast za zdrowie, nadzieję i... marzenia.

## Oczy pragną zieleni

W tym roku czekałam na wiosnę jak zawsze, jak nigdy. Kilka razy byłam na Niebieskich Źródłach,

ale jeszcze przed jej nastaniem. Kaczki pływały parami, kaczozy odganiały od swej lubej kawalerów chętnych na podryw. Wśród łabędzi też zdarzają się single – są to prawdopodobnie wdowy lub wdowcy, wierni pierwszej i ostatniej miłości „aż po grób”. Kaczki nie boją się ludzi, wychodzą na groblę w oczekiwaniu na łatwy żer, nie wiedzą, że nie wolno ich karmić w obrębie rezerwatu. To znaczy – można, jeśli się dysponuje odpowiednią karmą, w żadnym przypadku chlebem. Ze Źródeł na ogół dzwonię do Zosi, opowiadam jej o urokliwym rozlewisku, o oczkach, które wciąż mrugają w głębinie wód. Może kiedyś przyjedzie do Tomaszowa i sama zobaczy miejsce – serce naszej ziemi.

Dwa razy nie doszłam nawet do mostu na Pilicy – silny wiatr na przelocie, z którego widać halę lodową, chłostał po twarzy jak złośliwy bies, musiałam zawrócić w pół drogi.

A potem? Ogrodzono taśmą wejścia do rezerwatu – zakaz wstępu, jak na większość zielonych terenów. Moje spacerki ograniczyły się do okrążenia kilku bloków. Wypatrywałam w nich oznak wiosny, pieściłam wzrokiem nieliczne przebiśniegi, prymulki, wschodzące tulipany. Przyniosłam do domu gałązki forsycji, kilka gałązek dzikiej śliwy, a kiedy kwiaty forsycji przekwitły, w ich miejscu pojawiły się różowe kwiatuszki pigwy. W markecie kupiłam wiązanek tulipanów i w domu stało się wiosennie.

Z balkonu mam widok na trzy wierzby i dwa stare drzewa mirabelek. Jak na zwolnionym filmie, od pierwszych znaków odnowionego życia, obserwuję zmiany, jakie zachodzą na nich każdego dnia. Najpiękniejszy jest moment, gdy zakwitają śliwy. Dwa olbrzymie bukiety, wprawdzie na krótki czas, ale przecież można ten widok zachować na długo pod powieką. Potem od strony kuchni zakwitną bzy, w pobliżu jezdni rozpyszni się kasztan. Czas bzu, konwalii w lesie, jest dla mnie najszcześniejszym okresem, pełnią życia, chciałoby się, aby trwał jak najdłużej. Robi mi się smutno, kiedy kiście bzu brązowieją, tracą urok świeżości. Cóż, wszystko przemija, rośliny jak ludzie mają swe dzieciństwo, młodość, dojrzałość i starość. Na pocieszenie – tuż po bzie zakwita jaśmin i roztacza tak nieziemski zapach, że nie czuje się spalin samochodów.

Każdego roku jeżdżę do Spały, by pospacerować wśród łąnów konwalii. W tym roku będzie to chyba niemożliwe, chociaż – skoro w maju planuje się wybory, to może zostanie zniesiony zakaz wstępu do lasu? Zazdroszczę ptakom, zwierzyńce leśnej, że

może swobodnie, bez przeszkód, nakazów i zakazów, chłonąc uroki wolnej natury. Mnie pozostają rośliny doniczkowe, bukiety kupione w sklepie. Kiedy skończy się ten zły czas, pojedę nad zalew, jak zwykle nazbieram kwiatów polnych, nacieszę się szerokim widokiem lasu, wody i pól, naoddycham głęboko świeżym, dobrym powietrzem – wolnością.

*Czwartek, 23 kwietnia*

Dzisiaj jest Światowy Dzień Książki. Miły, a zarazem budzący refleksje. Dawniej trudno się było przebić przez pajęczynę instytucji, aby wydać jakąś książkę, dziś każdy może publikować – pod warunkiem, że ma pieniądze lub znane nazwisko. Książki wydawane w małych wydawnictwach, za własne pieniądze, z góry skazane są na nieliczne grono czytelników. Jak w masie tytułów, zalegających w księgarni i Internet, przebić się do czytelnika? Młodym łatwiej, stukają po klawiaturze z szybkością sekundnika, a może szybciej, poruszają się w Internecie jak we własnym domu. Moje pokolenie to czas ołówka, długopisu, maszyny do pisania, odczuwające radość z każdego kolejnego ułatwienia. Za to młodzi nie czują takiej ulgi jak ja, kiedy zmieniam słowa, wstawiam uzupełniające treści. Maszynopisy trzeba było ciąć, doklejać, przepisywać...

W „szufladzie” leżą od lat materiały na trzy książeczki dla dzieci. Dwie, dotychczas wydane, cieszyły się dużym powodzeniem. Czy te, niepublikowane, mają jeszcze jakąkolwiek szansę? Było trudno, będzie gorzej. Kryzys dotknie wszystkich, ale jak zwykle: w pierwszym rzędzie – kulturę. Nie widzę też perspektyw na spotkania autorskie w najbliższym czasie. Szkoda. Spotkania z dorosłymi czytelnikami dostarczały mi zawsze satysfakcji, ale nic nie dorówna kontaktom z dziećmi. Są mądre, spontaniczne, a odkrywanie przez nie poezji ma w sobie coś niezwykłego.

Jakkolwiek by nie było – dzisiaj jest święto książki, więc i moje. Bez autorów nie ma książek, a przecież nie każdy pretenduje zaraz do Nagrody Nobla. Nieliczni mają talent i mądrość na miarę Olgi Tokarczuk. Tym większa radość, że jest Polką, młodą osobą, która prawdopodobnie ma jeszcze wiele do powiedzenia. Na dodatek piękna, atrakcyjna. Aż dziw, że natura obdarzyła ją wszystkim, co miała najlepsze. Czasem myślę przewrotnie, że obostrzenia, które są dokuczliwe dla większości ludzi, jej, przynajmniej na jakiś czas, służą – może

odpocząć od nadmiaru zobowiązań laureatki Nobla, powrócić do pisania.

Rozważania nad kondycją naszej Noblistki zakłócił mi zapach dochodzący z kuchni. Wstawiłam do piekarnika dwie teflonowe foremki z klopsiem, zajęłam się pisaniem i... klops. Przemyślana, wypracowana potrawa spiekła się, z trudem wyjęłam suche plastry z rynienek. Tak oto brak konsekwencji w działaniu rzutuje na efekty: najpierw stroniłam od komputera, teraz, kiedy siądę przed klawiaturą, popadam w amok. Cieszy mnie to pisanie – łatwiej mi chyba, niż wielu samotnym ludziom, przetrwać trudny czas.

Popołudnie na Źródłach. Spaceruję, siadam na ławeczce, podziwiam perłę, którą mojej ziemi podarowała przyroda. Zieleń jest coraz bardziej intensywna. Na lustrze wody igrają refleksy światła, przeglądają się swemu odbiciu stare olchy. Ptactwo pokryło się w gniazdach, zaledwie kilka kaczek pływa po rozlewisku. Urozmaicam relaks rozmowami, wciąż sławiąc w myśli wynalazców telefonii komórkowej.

Niusia, teściowa Sylwii, opowiada o swoim ogrodzie. O tej porze roku jest najpiękniejszy: sasanki i krokusy przekwitły, tulipanów jest całe mnóstwo, zrobiła im zdjęcie, póki są w pełnej krasie urody. Kwitną prymulki, hortensje trochę ucierpiały w czasie przymrozków, ale już odbijają, chyba wrócą do „zdrowia”. Przycięła jakiś krzew, teraz odpoczywa w fotelu z widokiem na ogród.

Dzieci właśnie skończyły obiad. Sylwia była u swojej koleżanki na działce. Siedziały w dużej odległości od siebie, po obu stronach działki. Pierwsze spotkanie „na żywo”, po dłuższym czasie, i dla obu... dziwne.

Po powrocie do domu odebrałam telefon od Stasi: zrobią zdjęcie smardzowi, który wyrósł pod piwonią i pokażą mi, kiedy podrzucą trochę zieleniny z działki.

Wieczorem film w AXN: z laboratorium wymyka się wirus, który wywołuje objawy podobne do grypy. Skutkiem jego działania może być śmierć milionów ludzi, bo wirus ma zdolność błyskawicznego rozprzestrzeniania się – głównie drogą kropelkową. Jak to bywa w kryminałach, wszystko dobrze się kończy. Szok – zbieżność z obecną sytuacją to tylko fantazja czy przewidywania?

*Emilia Tesz*

Fragmety książki *Oczy pragną zieleni. Zapiski spod znaku koronawirusa*, Wyd. PAJ-Press sc. Tomaszów Mazowiecki 2022.

**Za późno**

Swoje uczucia chowałam głęboko,  
 Nie chciałeś szukać, nie wierzyłeś w gesty.  
 Może miłości nie znałeś prawdziwej  
 A tylko słowa pozbawione treści.

Kochać i mówić, że kocham chcę teraz.  
 Za późno jednak, bo miłość odeszła  
 Ale to wtedy krzyczy się najgłośniejszy,  
 Gdy pustka tylko zostaje i słowa.

Może me słowa usłyszysz ktoś inny  
 Zechce uwierzyć, jak ty wierzyć chciałeś  
 Uczuć nie znajdzie, bo się rozproszyły.  
 Echo usłyszysz. Nie słowa. Nie prawdę.

Zamiast dać słowa – dawałam uczucia.  
 Mogłam odwrotnie – pozostawić miłość.  
 Straciłam wszystko. I miłość i słowa.  
 Żyły oddzielnie, lecz odeszły razem.

**Bez przyczyny**

I przyszło to, co przyjść musiało  
 Miłość umarła

Chyba zawał, bo tak nagle bez symptomów  
 Nie chorowała

Sekcję zrobiono – serce pękło

Pękało często  
 Każda zdrada bliźnę po sobie zostawiła  
 Ale miłości nie zabiła

Lekarze rozkładają ręce  
 Życia nie wskrzeszą  
 A przyczyny?

Ciało denatki podmieniono  
 Wszak miłość nie umiera nigdy.

Wiersze z tomu *W jądrze wiersza*, Ludowa Spółdzielnia  
 Wydawnicza, Warszawa 2021. Promocja tomu odbyła  
 się 29 marca 2023 w Domu Literatury w Warszawie.  
 Wiersze interpretował Olgierd Łukaszewicz.

**Starość**

Na targowisku życia  
 Kram z wyprzedzą –  
     postrzępione myśli,  
     zużyte poglądy,  
     niemodne zasady,  
     staroświecki krój mowy.  
 I najgorsze –  
     czarne dziury niepamięci.  
 Coraz mniejsze zainteresowanie  
     odbiorców...  
 Niedługo pozostanie... milczenie.

**Kropelka**

Spragniona  
 prosiłam o łyk  
     życia.  
 Dostałam cały kubek  
     zimnej wody  
     na głowę.  
 Może z perspektywy Bożej  
 to jedynie  
 kropelka.

**Otul mnie...**

Otul mnie  
     białym puchem śniegu  
 zasłoń oczy  
     kurtyną świtu  
 zamknij usta  
     pieczęcią milczenia  
 zatkaj uszy  
     zakłębieniem ciszy.  
 Rozkołysz dzwon serca  
     niech dzwoni  
 wypuść potoki łez  
     niech obmywają  
 uspokój drzenie rąk  
     niech się złożą w znak.  
 Nadziei  
     pewniejszej niż pewność  
 Wiary  
     wierniejszej niż słowa

Miłości  
która jest sensem  
I – celem.

Bogusław Wiłkomirski

## W klatce

Przez lata  
Uparcie budował swoją własną  
klatkę  
- ze sztywnych prętów zasad  
- ze stalowych etycznych przekonań  
- z trwałych, odwiecznych mitów  
- z prostych prawd wiary  
- z powtarzalnych pustych rytuałów  
Teraz – uwięziony –  
Rozpaczliwie próbuje tę klatkę rozbić.  
I uciec...  
A choćby wpuścić – przez wyłom –  
życie?... miłość?... wolność?...

## Ryby umierają w ciszy (Odra 22)

Tuż pod powierzchnią wody  
nieruchome rybie oczy,  
mały otwarty pyszczek  
rozpaczliwie łapie  
ostatnie  
hausty powietrza.  
Jestem niemym świadkiem,  
a powinnam być krzykiem,  
zanim sama –  
oniemiała –  
nie zamienię się  
w słup soli.

Anna Wiłkomirska, *Twarze zmierzchu*, Kielce 2023, s. 56.



Fot. Bogusław Wiłkomirski

## Prolog (Portsmouth, 19 kwietnia 1956)

Wraz z nadejściem świtu wiatr przybrał na sile. Na wschodzie pojawiły się ciemne chmury, nie były jednak w stanie przesłonić coraz śmielej pojawiających się błysków jutrzeńki. Stalowszary ford F100 powoli jechał w kierunku portu przez uśpione jeszcze ulice Portsmouth. Wysoki i nienaturalnie chudy kierowca miał ponurą minę, a siedzący obok mężczyzna w średnim wieku patrzył w zamyśleniu przez przednią szybę pickupa, ćmiąc cygaro o intensywnym zapachu. W pewnym momencie samochód skręcił z gładkiego asfaltu w boczną wyboistą drogę, kierując się w stronę rozległych terenów portowych.

– Czy ci twoi szefowie nie przesadzają? – przerwał ciszę chudzielec. – Przecież to cholerne ryzyko nurkować w biały dzień przy radzieckim krążowniku. Pewnie nieźle go pilnują te komunistyczne łańcuchowe kundelki. Co będzie, jak cię zauważą i złapią? Nie lepiej było popłynąć w nocy?

– A nie przyszło ci do głowy, że woda w porcie jest brudna i mało przejrzysta, więc w nocy praktycznie nic nie widać? – odpowiedział spokojnie pasażer. – A gdybym używał reflektora, na niewielkiej przecież głębokości, to jeszcze łatwiej byłoby mnie zauważyć. A tak, o bladym świetle widoczność będzie przyzwoita, a i czujność wartowników o tej porze bywa przytłumiona.

– No cóż, Buster, wiesz co robisz... Zresztą z twoim doświadczeniem w Royal Navy... Opowiadają o tobie legendy... Ja jestem tylko pomocnikiem... – szeptał kierowca, bardziej do siebie, niż do siedzącego obok pasażera. W rozmytym braskiem świetle reflektorów zamajaczyło wysokie druciane ogrodzenie. Samochód jeszcze bardziej zwolnił, zakołysał na żwirowych falach dawno niekonserwowanej drogi, po czym zatrzymał się. Silnik pracował jeszcze przez chwilę, zanim umilkł uciszony przekręceniem kluczyka w stacyjce.

Mężczyźni wysiedli i w milczeniu wyjęli ze skrzyni samochodu dwie duże czarne torby z mocnymi parcianymi uchwyty. Najwidoczniej teren ten był im dobrze znany, gdyż bez wahania podeszli do jednego z betonowych słupów ogrodzenia, w tym miejscu zasłoniętego od strony portu niewielką hałdą ziemi pozostałej po jakiejś dawno już zapo-

mnianej robocie. Z kolei od strony miasta ciągnęły się zarośla, w lecie służące czasami za kryjówkę dla miejscowych pijacków, ale teraz, wczesną wiosną, było zbyt chłodno na przesiadywanie w krzakach, zwłaszcza o tak nietypowej porze dnia.

Ogrodzenie przy słupie było nadcięte na sporej długości, więc bez kłopotu dało się odgiąć. Tak jakby ktoś chciał pomóc w wejściu na teren morskiej bazy, co też w istocie miało miejsce. Bo przecież nietrudno zgadnąć, że słup, do którego podeszli, nie został wybrany przypadkowo. Niezauważeni przez nikogo intruzi znaleźli się na wielkim obszarze portu, a że byli ubrani w drelichy robotników, ich obecność na tym terenie nie powinna budzić specjalnych podejrzeń. Po chwili doprowadzili siatkę do porządku, więc na pierwszy rzut oka trudno było stwierdzić, że ktokolwiek tędy ostatnio przechodził. Dwaj nieproszeni goście poszli dalej wąską dróżką, która wijąc się między stertami złomu doprowadzała do starego, zaniedbanego nabrzeża, położonego całkiem na uboczu głównych akwenów portowych. Ten basen był od dawna nieużywany, a na porosłej glonami wodzie łagodnie kołysała się łódka przywiązana liną do stalowego pacholka, z leżącymi na jej dnie wiosłami.

– Ktoś o nas jednak zadbał zgodnie z umową – chudzielec pokiwał z uznaniem głową.

– Mówiłem, że mamy ważnych protektorów – Buster wznosił wskazujący palec w górę. – Ale muszę się pospieszyć. Wrzucamy torby do fajby, ja wskakuję do środka, ty odwiązujesz linę, odpychasz łódkę i wracasz jak najszybciej do samochodu. Spotykamy się wieczorem, tam gdzie zwykle.

Po chwili samotny żeglarz skierował się na południe, sprawnie posługując się krótkimi wiosłami. Kiedy wypłynął zza główki falochronu, zobaczył przed sobą w odległości jakichś 200 metrów rząd zakotwiczonych sześciu starych pontonów wojskowych, które tworzyły coś w rodzaju pływającego nabrzeża, odgradzającego starą, historyczną część portu od aktualnie eksploatowanych basenów. Przesłał na chwilę wiosłować, rozejrzał się dookoła, ale nie zobaczył nikogo w pobliżu. Uznał, że droga do pontonów była wolna, a jej przebycie nie zajęło mu więcej niż trzy minuty. Samotny, tajemniczy wiosłarz wcisnął się między czwarty a piąty ponton, licząc od wybetonowanego placu portowego, i zarzucił linę na wystający ze stalowej ściany pływającej krypy bolec, unieruchamiając łódkę.

Ostrożnie wyjrzał zza żelaznej burty i zobaczył oddaloną nie dalej niż o 300 metrów rufę krążow-

nika Ordżonikidze, przycumowanego do szerokiego betonowego pirsu. Przednią część i dziób okrętu zasłaniały przed jego wzrokiem zabudowania portowe. Buster otworzył obie torby i metodycznie zaczął przygotowywać się do nurkowania. Wciągnął czarny piankowy strój, otworzył zawór przy butli, założył akwalung na plecy, a na stopy płetwy. Sprawdzał przyciski na kamizelce. Na lewym boku umieścił taśmę trzymającą latarkę i specjalny aparat fotograficzny do zdjęć podwodnych. Z przodu do pasa przypiął niewielką minę magnetyczną. Ostatnim etapem było założenie maski oraz wzięcie ustnika między wargi. Po chwili już znalazł się w wodzie. Wydawało mu się, że nikt nie zauważył tego manewru. Był jednak w błędzie. Nie spostrzegł, że niewidoczny z zewnątrz wartownik, siedzący pod maskującą siatką na rufie krążownika i penetrujący uważnie wzrokiem okolicę, dostrzegł, jak czarna sylwetka człowieka-żaby zniknęła pod powierzchnią wody. Uśmiechnął się złośliwie i podszedł do wewnętrznego telefonu.

Płetwonurek nie popłynął najkrótszą drogą do radzieckiego okrętu. Słusznie rozumował, że ktoś mógłby zauważyć pęcherzyki powietrza, kiedy będzie już blisko komunistycznego krążownika. Zanurzył się na trzy metry pod powierzchnię i skierował wprost na południe, gdzie rant nabrzeża był podwyższony solidnym murkiem, co utrudniało obserwację wody z betonowej krawędzi. Wkrótce dopłynął do ściany. Skręcił w lewo i posuwając się bezpośrednio przy niej skierował w stronę okrętu, którego rufa znajdowała się tuż przy narożu szerokiego pirsu na rozległych terenach stoczni Royal Navy.

W tym samym czasie do wody w trzymetrowej wąskiej przestrzeni między dwoma stojącymi burtami w burtę niszczycielami osłaniającymi krążownik Ordżonikidze od strony portowego akwenu, zsunęło się dwóch płetwonurków radzieckich w granatowych kombinezonach.

Buster znalazł się wtedy już pod rufą interesującego go obiektu. Miał ściśle określone zadanie. Komórki MI5 i MI6 donosiły, że radziecki krążownik, jeden z kilku okrętów typu Swierdłow, był wyjątkowo zwrotny. Chodziło zatem o obejrzenie układu napędowego, a w szczególności stwierdzenie, czy w kadłubie nie ma dodatkowej śruby, którą można ustawiać w różny sposób, tak aby zapewnić jednostce bojowej dodatkowy ciąg. Dodatkowo warto było zobaczyć, czy w podwodnej części kadłuba znajdują się włazy minowe, a także czy został tam zamontowany specjalny sprzęt antysonarowy.

Płetwonurek Royal Navy zabrał w tym celu ze sobą małą minę magnetyczną. Jej ładunek wybuchowy był na tyle drobny, że nie mógł w najmniejszym stopniu uszkodzić kadłuba. Jednak wybuch, który miał nastąpić po kilku dniach, już po opuszczeniu Portsmouth, powinien zostać wykryty, gdyby okręt był wyposażony w specjalny system echolokacji. Liczono na to, że jednemu z agentów brytyjskich pracujących w Moskwie uda się dotrzeć do utajnionej relacji z powrotu radzieckiej delegacji na najwyższym szczeblu. Gdyby dostrzeżono miniwybuch pod kadłubem, byłoby to dodatkowe potwierdzenie istnienia zaawansowanego systemu nawigacji dźwiękowej.

Buster podpłynął do stalowego poszycia podwodnej części okrętu. Poruszając się wzdłuż stępki ze zdziwieniem odkrył, że przypuszczenia brytyjskich inżynierów były słuszne; okręt jednak posiadał dodatkową śrubę. To mogłoby tłumaczyć znakomitą zwrotność tego typu krążownika. Zrobił zdjęcia kilku okrętu i nietypowej śruby napędowej. Poniżej linii wodnej odkrył tajemnicze klapy. Były to najprawdopodobniej włazy minowe, umożliwiające stawianie niewielkich pól minowych. Ich wizerunek także znalazł się na fotograficznej kliszy.

Buster był bardzo zadowolony. Misja była prawie zakończona. Pozostawało tylko zamocowanie drobnej miny magnetycznej. Odpiął ją od pasa i przystąpił do montażu. Zaabsorbowany robotą nie dostrzegł w mętnej wodzie dwóch bezszelestnie zbliżających się granatowych sylwetek. Kiedy zauważył niebezpieczeństwo, było już za późno.

Jeden z radzieckich komandosów żelaznym chwytem od tyłu unieruchomił ręce angielskiego płetwonurka przy ciele. Drugi zakręcił zawór przy jego butli ze sprężonym powietrzem, a następnie założył pętlę z sizalowej taśmy na nogi Bustera poniżej kolan i zacisnął. Podwodny szpieg usiłował się szarpać, ale z braku tlenu zaczął powoli tracić przytomność i nie był w stanie zapobiec holowaniu ku powierzchni.

Kiedy odzyskał świadomość, leżał na łóżku. Jego ręce były skrępowane kajdankami, a nogi unieruchomione taśmą przechodzącą wokół leżanki. Nad nim z wyrazem troski na twarzy pochylał się oficer, którego niebieskie paski na pagonach mundurowej marynarki jednoznacznie wskazywały na przynależność do KGB, formacji bezpieczeństwa państwowego, powstałej dwa lata temu.

– Dobrze się czujesz? – pytanie zadane prawie przyjaznym tonem i całkiem przyzwoitą angielszczyzną dotarło do uszu Bustera, który skinął głową.

– Jestem pułkownik Dmitrij Fokin z Komitetu Bezpieczeństwa Państwowego ZSRR. A ty kim jesteś?

– Komandor Lionel Crabb z Royal Navy – odpowiedział słabym głosem jeniec.

– Doskonale. Zatem kiedy prezentację mamy już za sobą, czas na bardziej intymną rozmowę – uśmiechnął się samymi ustami, ale jego oczy pozostały zimne i nieruchome. – Co robiłeś pod krążownikiem Ordżonikidze?

– Nazywam się Lionel Crabb, jestem komandorem Brytyjskiej Marynarki Wojennej.

– Znam procedurę. Wrogowi podaje się nazwisko i stopień, ale nie odpowiada się na pytania dotyczące misji. Ale to tylko oficjalne instrukcje. Jesteśmy równi stopniem, jesteśmy obaj oficerami, choć różnych i niekoniecznie przyjaznych sobie formacji. Więc może jednak powiesz mi, jak to się stało, że nurkowałeś pod naszym okrętem, na którym przypłynęli z przyjacielską wizytą najwyżsi przedstawiciele radzieckiego państwa. My przybyliśmy do was z otwartym sercem, a wy do nas wysyłacie dywersanta. Nie zaprzeczysz przecież, że chciałeś zamontować minę magnetyczną na kadłubie. Więc słucham! – odrobinę podniósł głos.

– Nic wam nie powiem!

– Powiesz... powiesz, mój drogi. Mamy już na to swoje sposoby. To tylko kwestia czasu. Ale pamiętaj, im dłużej będziesz rozciągał ten czas, tym bardziej będzie to dla ciebie bolesne – pułkownik Fokin był uosobieniem wiejącego grozą lodowatego spokoju. Lionel Crabb z rezygnacją przymknął oczy. Wiedział już, że przegrał. Nie wiedział tylko, jak w praktyce będzie wyglądała jego porażka.

Bogusław Wilkomirski, *Nadszarpnięta kurtyna*, Kielce 2023, s. 384.

**Pamięć**

Pamiętam  
spacery z Ojcem  
w krainie białych mór  
wyglądających jak ze snu  
tak pragnęłam wykapać się  
w opalizującej bieli  
wątle brzozy  
zarastały powoli  
ich strome brzegi

Pamiętam  
pikniki na dnie kamieniołomu  
tata z miłością  
dotykał każdego kamienia  
być może zaklinając dni  
dzielone z Karolem  
który został papieżem

Pamiętam  
kościół na Górze  
stojący na straży miasta  
i Święty Kamień Sziwy  
na wawelskim dziedzińcu  
o którym mówiło się  
szepem

Z czasem zasypano  
nasze białe morza  
wykarczowano brzozy  
pod ekskluzywne osiedle  
na dnie kamieniołomu  
postawiono budki z piwem

Wyzywające rezydencje  
nie strzegą pamięci  
lexusy tworzą nową historię  
i tylko dzieci  
na ogromnych tarasach  
patrzą w księżyc  
płaczą

A ja  
wciąż otulona gęstą  
salmiakową mgłą  
widzę poprzez czas  
i przestrzeń

Na szyi nosiłam  
klucz  
krzyż  
mojego dzieciństwa

**Fajne chłopaki**

Widziałam dzisiaj  
roześmianych żołnierzy  
jechali na poligon  
śpiewali

Fajne chłopaki  
powiedziała kolorowa dziewczyna  
do drugiej kolorowej

Będą strzelać, zabijać  
rozmarzyła się grupka łysych  
w czarnych skórkach

Mały chłopiec  
strzelił wyciągniętym palcem  
w ich kierunku

Nikt nie pomyślał nawet  
że oni jada, żeby  
nauczyć się umierać

**Dziedzictwo**

Neron podpalił Rzym  
jego późny wnuk  
nie pisze wierszy  
podpala świat  
rojąc teorie dobrobytu  
za wszelką cenę

**Słowem dotykaj**

Słowem mnie dotykaj  
zachowując pamięć gestu  
obietnicą spokojnego gniazda  
oswajaj szum drzew  
przejrzystość strumienia

Bądź lustrem

Bądź światem



Wychwalają Twoje imię  
narody wszelkie  
w imię Ojca  
Syna  
Ducha

Zabić  
ukraść  
opluć bliźniego  
bez siebie samego

Byle ja  
o mnie  
dla mnie  
i amen nie kończy tu niczego  
i karuzela, karuzela  
znowu niedziela  
bez pojednania  
bitwa przegrana  
diabeł na pogrzebie  
uśmiechnie się do ciebie

**Pejzaż**

Upał, drga powietrze  
mysz zbiera porzucone kłosa  
w pobliskim lesie  
jeź w rudym mchu  
szuka schronienia  
na skraju ule  
miodem brzemienne

W tym krajobrazie  
człowiek  
z zapalkami w rękach

Barbara Wrońska, *Lekcje latania*, Wydawnictwo Pisarze.  
pl, Warszawa 2022, s. 86.

Szczęśny Wroński, *Czas się weselić*, Oddział Warszawski  
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, 2021, s. 128.

**Bądź**

kiedy trzeba iść  
ścieżkami nie do przejścia  
bo tak chce większość  
tyrania połyka bez wdzięku

gdy łasi się do ciebie  
bije między oczy  
dłonie wkręca w szprychy  
i bez smaku trawi

nie daj się  
pozostań niewierny  
stań w gardle potworowi  
niech wypłuje siebie

**Poddany**

To wszystko tak uwiera  
świat odciska się we mnie  
nie pytając o zgodę  
deformuje zgniata

A ja przyglądam się niemo  
odbiciu w mętnej wodzie  
wciąż usiłując sobie siebie  
wyobrazić

**Gwałt**

Wczoraj wszedł we mnie Obcy  
jakbym należał do niego  
od środka połknął bez słowa  
nie zdążyłem nawet  
przeciwstawić się gestem

Już nie wiem kim jestem

Już nie wiem czy jestem

**Dryfowanie**

wciąż zdaje mi się dryfuję  
na krze czy półmartwej żyrafie  
nad rozkołysanym płomieniem sawanny  
co to? na skałach ranię sobie stopy?

ktoś wleczę mnie za włosy  
 walę piętami rytm ślepe sępole chichoczą  
 – nie nadajesz się ścierwusie na Prometeusza  
 A ja choinka dryfuję nie wiem na czym  
 kra to żyrafa może jakiś chytry zuczek  
 niechżeby zatarabanił mnie na przyjazny łąd  
 gdzie dałoby się choinka ździebko  
 odetchnąć

## Obrona aniołów

aniołów nie da się zważyć ni zmierzyć  
 są niepoliczalne jak mleko i ambrozja  
 ich myśli nie nazywają niczego  
 albowiem tajemnicy nie ujmiesz w słowa  
 wobec Niej blaknie wszystko  
 co wydawało się wyraźne

ich skrzydła muskają czule  
 czyszczą przestrzeń duszy  
 łagodzą ból trenując w wytrwałości  
 w odwiecznym poszukiwaniu  
 tego co jest a bez czego  
 bylibyśmy zaledwie  
 bezwolną materią

wbrew sądom ignorantów  
 anioły nie narzucają niczego  
 bo ważne jest to co istnieje  
 nie to o czym śnimy  
 niewolnicy wyobraźni  
 apologeci klatki

ktokolwiek chciałby uznać je za niebyłe  
 podobny jest mrówce chcącej zdeptać słonia  
 A one trwają niewidzialne  
 jak wiatr poprzez ciemność  
 niosący ulgę

## Matka nadzieja

Roztliła się Nadzieja  
 pomiędzy wersami  
 Twoje żywe imię

Choć już prawie wszyscy  
 czytają Cię jako  
 metaforę

## Pokój Tobie, Polsko! Ojczyzno moja!

**Ja, od trzech miesięcy policyjny rzecznik, wdrapałam się na metalowe rusztowanie, skąd pracownicy BOR-u obserwowali zgromadzone na Jasnogórskich Wałach tłumy. „Mała, spadaj, pókim dobry” – rzucił w moją stronę jeden z nich. Jednak pozwolił zostać. Chłonełam słowa Jana Pawła II – „Jeśli Boga nie ma, to czy ty, człowieku, jesteś?”**

Jak wiele jest ważnych dat w historii Polski? Na pewno rok 966 i przyjęcie chrześcijaństwa przez Mieszka I, zwycięska bitwa pod Grunwaldem, odsiecz wiedeńska, cud nad Wisłą 1920 roku. To tylko niektóre ważniejsze wydarzenia, lecz jest jeszcze jedna data, która, choć nie kojarzy się z militarnym zwycięstwem, jest nim bardziej niż te pozostałe. 16 października 1978 roku! Wszystkim mającym w sercu dobro Polski do dzisiaj brzmiały w uszach doniosłe słowa – HABEMUS PAPAM!!!

Komu nie zabiło wtedy mocniej serce? Czy był ktoś, kogo nie rozpierała duma i szczęście? Być może, lecz „Prawdziwym Polakom rosły skrzydła”, jak pisał Gałczyński. Nikt z nas nie martwił się jutrem. Przyszła nadzieja, że będzie ono lepsze i takie się stało. Najpierw nieśmiało, jednak z coraz większą odwagą i ufnością patrzyliśmy na siebie nawzajem. Milkły swary i kłótnie, codzienne kłopoty stawały się nieważne, bo wszyscy byliśmy jednością, która dawała nadzieję na lepsze zmiany. Wiedzieliśmy, że przyjdą i przyszy! Swoją wielkością i siłą były potężniejsze od zwycięstwa pod Grunwaldem. Przycmiły wiedeńską odsiecz i szum husarskich skrzydeł. Dla Polaków i Europy wschodniej znaczyły nie mniej niż cud nad Wisłą! Bo powstrzymana została po raz kolejny i ostateczny nawała komunistycznego nihilizmu.

Tego wszystkiego dokonał On. Nasz umiłowany Karol Wojtyła, Jan Paweł II. Wierzyliśmy we wszystko, co mówił i robił. Nigdy w naszej historii nie zaufaliśmy tak bezgranicznie jednemu człowiekowi! Nikt nie gromadził na spotkaniach takich tłumów. Nikogo nie słuchaliśmy z takim szacunkiem i uwagą. I, co najważniejsze, stawialiśmy się lepsi. Wrócił szacunek do drugiego człowieka, jego podmiotowość i wartość. Tworzyła się jedność spajająca naród! Bo naród nie mając potencjału obronnego wynikającego z kultury i tradycji chrześ-

*Szczęśny Wroński*

cijańskiej przyjmie wszystkie błędne idee, a potem im ulegnie! O znaczeniu prawdziwych wartości przypominał nam, przybliżał je i pomagał zrozumieć na nowo Jan Paweł II. Znamienne słowa „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze Ziemi” zaowocowały wybuchem solidarnego protestu w 1980 roku. Wprawiły świat w zdumienie oraz podziw, bo były autentyczne i szczerze. Oparte na wierze, zrodzone z nauki i miłości do naszego Rodaka. Dały nadzieję Polakom, a 10 milionów obywateli zgromadziły w niezależny związek dumnych ludzi. Zrodziły ruch społeczny, który nigdy i nigdzie na świecie nie miał precedensu.

Każdy z nas ma inne doświadczenia płynące z nauk głoszonych przez Jana Pawła, inne spojrzenia. Wszyscy byliśmy jednak oszołomieni jego geniuszem. Nie zawsze rozumieliśmy, ale zawsze chcieliśmy przy Nim i z Nim być! Pierwsza Pielgrzymka w 1979 roku, starannie wyciszana przez rządowe media, przerosła oczekiwania komunistycznych strategów. I ten historyczny moment na Placu Zwycięstwa, na którym pozostał symboliczny krzyż, broniony i chroniony przez następne, trudne lata.

### **Młodość i radość wyzwalały ducha odwagi**

Po festiwalu demokracji roku 80. i 81. przyszły mroczne lata stanu wojennego. Teraz wydaje się jakby czyścica, przez który musiał przejść nasz Naród, by dotrzeć do lat demokracji. Wyśnioniej i z takim utęsknieniem oczekiwanej przez wszystkich.

O pielgrzymce roku 1983 opowiada mi mąż, który w niej uczestniczył. Warszawa. Przyjazd na Stare Miasto, gdzie w bazylice archikatedralnej była odprawiana msza święta. Odkryty samochód wojskowy, a w nim włoscy komandosi ochrony omiatający kamerą wiwatujące tłumy i każdy metr ulicy. Ubrani w wojskowe, polowe mundury dodawali powagi i grozy sytuacji, jaka wówczas panowała w Polsce. I ten potężny krzyk setek tysięcy wiernych zgromadzonych przy trasach przejazdu, niesiony z kolumną samochodów, a na Krakowskim Przedmieściu wręcz ogłuszający: SO-LI-DAR-NOŚĆ, SO-LI-DAR-NOŚĆ, odbijany od fasad budynków, potęgowany ciasnotą, niesiony ponad warszawskie kamienice ku niebu, niemożliwy do zdławienia!

Tak krzyczeli i radowali się wówczas Polacy, mój mąż wśród nich. I znamienne słowa homilii, które mało kto pamięta. O Warszawie, naszej stolicy, „opuszczonej przez wszystkie potęgi”! Msza św. na koronie stadionu X-lecia. Fruwające baloniki

z napisem Solidarność, za które można było dostać dwa lata odsiadki. Nie było strachu! Była raczej bezsilność, ale i radość z wizyty, wdzięczność za słowa pocieszenia i prośby „Pokój Tobie, Polsko! Ojczyzno moja”.

Wieczór po mszy na stadionie. Jedna część wiernych idzie przez Most Poniatowskiego. Mąż wraz z kilkoma tysiącami ludzi na czele pochodu krzyczącego „No-we zwią-ki na Po-wąz-ki”, „Do-bra-czyń-ski dospo-wie-dzi”! W Alejach Jerozolimskich atakują ich zwarte oddziały ZOMO. Uciezka i próba sforsowania metalowego płotu. Jedna noga i połowa ciała już na drugiej stronie i wtedy mocny uchwyt zomowca za lewą nogę. „Zabijesz mnie, puść, proszę! Jesteśmy przecież takimi samymi Polakami”! Młoda twarz zomowca zastyga na chwilę, odzyskuje ludzkie spojrzenie, a ręka uwalnia nogawkę spodni! Uciezka bez oglądania się za siebie, zdziwienie i ogromna radość. Nie wszyscy mieli tyle szczęścia. Kilkadziesiąt osób noc spędziło w izbie zatrzymań.

Młodość i radość podczas spotkania z Ojcem Świętym wyzwalały ducha odwagi. Tu i teraz, by dać świadectwo uczestnictwa i jedności w walce o prawdę. Dzisiaj ordery zdobią często tych, którzy wydarzenia obserwowali z dala od tamtej rzeczywistości.

To były chyba najbardziej charakterystyczne pielgrzymki Ojca Świętego do Ojczyzny. I choć cenię sobie wszystkie, chociaż w nich nie uczestniczyłam, te dwie pierwsze wydają się najbardziej przełomowe. Pierwsza, bo była załączkiem i zapowiedzią zmian, i druga, podczas której Jan Paweł II udzielił Polakom, całym swym autorytetem i mądrością fizycznego i intelektualnego wsparcia. Po zdławieniu Solidarności stanem wojennym naród potrzebował wiary, że nie zostały zapomniane jego pragnienia i idee. A papież swoją obecnością utwierdzał w przekonaniu, że droga, którą wybrał naród, choć wyboista, kręta i już pełna ofiar, jest jednak właściwa i doprowadzi do upragnionego celu. W czasie tej wizyty panowało dziwne przeświadczenie, że zwycięstwo jest na wyciągnięcie ręki. Wydawać by się mogło, że to utopijne marzenia, jednak takie były powszechne odczucia.

Niewątpliwie sprawcą tych myśli był nasz rodak, jego modlitwy za nas, słowa troski i pocieszenia dające wielką nadzieję na długie cztery lata, aż do 1987 roku. „Do końca ich umiłował” – to było hasło przewodnie, którego przesłaniem była godność i podmiotowość człowieka. To była ostatnia piel-

grzymka w socjalistycznej Polsce. Nawet normalny śmiertelnik, niezaangażowany politycznie, już czuł nadchodzące zmiany. Zbliżał się Okrągły Stół.

Dzisiejsi „obalacze ustroju” prężą piersi zdobione medalami, snują opowieści o swych zasługach, stając się w nich nieomal mitycznymi herosami dobra, którzy pokonali komunistyczne zło. Tym właśnie mitomanom chciałabym przypomnieć, że w tamtych latach w zachodnią Europę wymierzone były setki rakiet z głowicami jądrowymi, zdolnymi spopielić ją, gdyby padł taki rozkaz. W gotowości stały pancerne dywizje, przed którymi drżał Zachód, a w Polsce stacjonowało kilkadziesiąt tysięcy radzieckich żołnierzy gotowych do marszu na zachód.

Piszę to po to, by uświadomić wielu ludziom, że jedynym i największym sprawcą naszej wolności i politycznych przemian nie był nikt inny, jak Papież Jan Paweł II. To jego zakulisowe, dyplomatyczne i mądre zabiegi spowodowały, że system komunistyczny został osłabiony i musiał opuścić Europę Środkową. To rozmowy z Reaganem sprawiły, że powstał pomysł ekonomicznego osłabienia Związku Radzieckiego. „Gwiezdne wojny” były jednym z szeregu mądrych przedsięwzięć. USA miały prezydenta-przywódcę, a naszym był Jan Paweł II. Obaj mieli podobne cechy: umiejętność przekładania wizji na rzeczywistość, budowania świata równości, braterstwa i pokoju.

### **Podążamy śladami Jana Pawła II**

Na Światowe Dni Młodzieży do Częstochowy w 1991 roku pojechałam już z mężem. Starym, rozklekotanym fiatem 125p, który zepsuł się, ale dopiero i na szczęście w drodze powrotnej do Tarnobrzega.

– Młodzi przyjaciele, pragnę zwrócić Waszą uwagę na trzy słowa JESTEM, PAMIĘTAM, CZUWAM. Chrystus jest Drogą, Prawdą, Życiem – powtarzał w kilkunastu językach na spotkaniu z młodzieżą z całego świata.

Ja, od trzech miesięcy policyjny rzecznik, wdrapałam się na metalowe rusztowanie, skąd pracownicy BOR-u obserwowali zgromadzone na Jasnogórskich Wałach tłumy. „Mała, spadaj, pókim dobry” – rzucił w moją stronę jeden z nich. Jednak pozwolił zostać. Chłonełam słowa Jana Pawła II – „Jeśli Boga nie ma, to czy ty, człowieku, jesteś?”.

Potem był Skoczów 1995 rok. Zaopatrzeni w mocną, policyjną lornetkę, na mokrych i błotnistych wzgórzach, słyszeliśmy: „Czas próby sumień

trwa, musicie być mocni w wierze”. Obdarzeni zaufaniem spaliliśmy w mieszkaniu ludzi, których nigdy w życiu nie widzieliśmy. Ot, taka mała, ale jakże wymowna solidarność.

Piękne, zielone krośnieńskie lotnisko 1997 roku. „Nie dopuście, by odebrano Wam chrześcijańską godność”. Nie było żadnego problemu z noclegiem, wyżywieniem i transportem. Podróż i pobyt prawie bez planów, ale udany, znowu dzięki ludziom, którzy, choć nieznani, otwierali przed nami gościnne drzwi swoich domów i ciepło serc.

Mój ukochany Sandomierz 12 czerwca 1999 roku. „Trzeba bronić rodziny i miłości. Nie dajcie się zniewolić. Szukajcie tej prawdy tam, gdzie ona rzeczywiście się znajduje! Jeśli trzeba, bądźcie zdecydowani iść pod prąd obiegowych poglądów i rozpropagowanych haseł! Nie lękajcie się Miłości, która stawia człowiekowi wymagania” (z Homilii Ojca Świętego Jana Pawła II podczas nabożeństwa).

Papieski ołtarz obok Collegium Gostomianum, skarbnicy wiedzy i historii sandomierskiej ziemi, skierowany w stronę płynącej Wisły – jak gdyby symbolu upływającego czasu, ale także pewności trwania życia, jakim jest przecież woda. Dotkliwy upał nie zakłócił w najmniejszym stopniu uroczystości, które kierowane były przede wszystkim do służb mundurowych. Tam dostąpiłam wielkiego zaszczytu, zwracając się do tysięcznych tłumów z informacjami o zagubionych i odnalezionych uczestnikach pielgrzymki.

I ostatnia pielgrzymka w Krakowie 2002 roku. Nieprzebrane tłumy, liczone na blisko 2 miliony, które załyły krakowskie Błonia, a ja, pomimo tego, byłam z Nim sam na sam i słyszałam wyraźnie słowa, które do mnie kierował: „Człowiek dociera do miłosiernej miłości Boga, o ile sam przemienia się wewnątrznie w duchu podobnej miłości do bliźnich”. Obecność na tej pielgrzymce była dla mnie, osoby już ukształtowanej, chyba najważniejszym duchowym przeżyciem. Zawierałam Mu swoje problemy rodzinne, zawodowe i przyszłość, o której ze strachem myślałam, że będzie bez niego...

– Bez Ciebie – bo tak do niego mówiłam. Lecz raz jeszcze dostąpiłam łaski pocieszenia, nadziei i... wróciłam szczęśliwa i radosna. Niestraszne mi były dni, które miały nadejść! Może dlatego, że wciąż w uszach brzmiały mi jego słowa: „Nie lękajcie się”!

Aż w końcu przyszedł ten dzień, który wielu z nas zapamięta na zawsze. Spokojny, ale pełen dramatu głos kardynała: „Odszedł do Domu Ojca”. Zmroził nasze serca i napełnił bólem, lecz nie strachem. Po

raz kolejny Polska zadziwiła świat. Dramat żałoby zjednoczył nas, wróciła solidarność. Dopełniło się narodowe katharsis.

Jesteśmy narodem, któremu historia nie szczędziła bolesnych doświadczeń, ale z tego narodu wywodzi się największy autorytet, a jednocześnie tak skromny człowiek – Jan Paweł II. Przecież dopiero po objęciu przez niego stolicy Piotrowej Polska stała się znanym i liczącym na arenie międzynarodowej krajem. Za jego pośrednictwem mieliśmy coś do powiedzenia Europie jako Polacy i katolicy, i nadal potrzebujemy jego nauki dla zachowania naszej godności i honoru. Każdy z nas urodzony tu nad Wisłą wniósł do swojego życia coś z pontyfikatu Jana Pawła II. Bardzo ciekawą jest opinia osoby bardzo mi bliskiej, która twierdzi, że tylko obecność w naszej rzeczywistości Papieża Polaka powoduje, że należy jeszcze do Kościoła Powszechnego.

### O twórczych rekolekcjach Jana Pawła II

Do dziś, tak jak wszyscy, zastanawiam się nad fenomenem jego wielkości. Nauki Papieża na pewno pomagają lepiej rozumieć świat. Są bez wątpienia nie tyle wskazówkami, co przepowiednią z pogranicza wizji. Już sam wybór 16 października 1978 roku był słusznie nazwany cudem. Napisałam o tym w publikacji wspomnieniowej w 2014 r. wraz z refleksjami ponad 300 osób z całego świata, m.in. R. Reagana, M. Gorbaczowa i innych znaczących postaci.

„Patrzyliśmy na siebie szczęśliwi, czując jedynie w podświadomości wiejskich umysłów, że wydarzyło się coś, co ma znamiona cudu... Każdy z nas czuł i wiedział, że to, co teraz stało się w stolicy Piotrowej, zmieni nasze życie”, napisałam w opowiadaniu pt. *W jesienne wykopki zdarzył się cud*, opublikowanym w książce wspomnieniowej *Dzień pierwszy. Wspomnienia*. Na zakopiańskiej promocji książki recenzent publikacji, prof. Adam Dobroński, patrząc na liczne gremium, zapytał: „Co wydarzyło się w październiku 1978 roku?”. Odpowiedział z uśmiechem cytując mój tytuł: „Proszę Państwa, w jesienne wykopki wydarzył się CUD”. Poczułam dumę. „Ziarno, Ojczy Świąty/ niejedno ma serce./ Ostatecznie żyźne/ Twoim miłowaniem.//[...] Głodni siebie i ziemi/ o trwanie na wieki,/ kiedy lęk się sroży/kołaczemy do Ciebie” (fragment mojego wiersza *Niejedno ziarno* z tomu poezji *Ugina się dzień*).

W 2019 roku ułożyłam słowa do hymnu dla niepełnosprawnych „Od miłości do świętości”. Utwór wyśpiewany przez Marcina Janaszka miał premierę w czerwcu na lotnisku w Masłowie podczas XIII spotkań Integracyjnych Dzieci i Młodzieży. To właśnie w Masłowie, podczas jednej z wizyt, Jan Paweł II powiedział znamienne słowa: „To jest moja matka, ta ojczyzna. To są moi bracia i siostry”.

Pieśń *Od miłości do świętości* towarzyszyła pielgrzymom na szlaku Pieszej Pielgrzymki Kieleckiej do Częstochowy. „Bo Polska oddycha słowami świętego, żyje prawdą Jana Pawła II. To nasza matka ta ziemia. Ojczyzna, rodzina w dobro się zmienia”(fragm. utworu).

\* \* \*

Uderzenie w największy moralny autorytet, jakim był i jest nadal Jan Paweł II i jego nauka, to bez wątpienia próba zabicia polskiego ducha katolickiej tożsamości, który od ponad tysiąca lat jest fundamentem naszej państwowości. Polska od swojego zarania nacechowana została pierwiastkami chrześcijańskiej wiary, które stanowiły i stanowią jej porządek moralny. Spójność to porządek praw i wartości, który musimy za wszelką cenę utrzymać i obronić. Bo jeżeli chce się rozbić Naród, to atakuje się jego podstawy kulturowe. A te fundamenty to chrześcijaństwo i wiara, które w najważniejszych chwilach historii, niekiedy ze znamionami cudu, pozwalały wychodzić zwycięsko z dramatycznych prób, jakich nie szczędziła nam historia.

Na szczęście pozostała nam nauka Jana Pawła II, która jest drogowskazem, jakim musimy się kierować, by zachować godność, wiarę i Polskę jako wspólnotę wolnych i dumnych ludzi.

Anna Zielińska-Brudek



W Skoczowie 22 maja 1995



Na krośnieńskim lotnisku 10 czerwca 1997



Na krakowskich Błoniach 18 sierpnia 2002

Zdjęcia pochodzą z prywatnego archiwum autorki

Krystyna Cel

## Szczególny wyraz pamięci

*Misja* to już trzeci tom opowiadań Ireny Nyczaj. Inny od poprzednich, bo autorka w fabułę (najczęściej jednowątkową, jak przystało na tę zwięzłą formę) zręcznie wplotła fragmenty poezji, także i prozy poetyckiej jej nieżyjącego już męża, świetnego poety, Stanisława Nyczaja. Dostosowane do treści podkreślają ideę i przesłanie opowiadań, również wzbogacają kreację ich bohaterów.

Dla czytelników znających twórczość S. Nyczaja, a także i tych, którzy w tych opowiadaniach zetkną się z nią po raz pierwszy, będzie ten ciekawy pomysł refleksją nad tym, że poezja ma swój dalszy żywot, że może zaistnieć w nieoczekiwane różnych literackich kontekstach. Wszak „nie wszystek umrę” – mimo woli przypomina się Horacy, który tak pięknie określił jej siłę i wieczność, gdy poetyckim słowem zbudował „pomnik trwalszy od spizu”.

Jest więc poezja, szerzej sztuka, wartością ponadczasową, która przetrwa; nawet gdy będą „waliły się i z gruzów wstawały mocarstwa”, to zawsze gdzieś, „na którymś piętrze ta aria Mozarta” zabrzmiał wspaniałym akordem, jak trafnie to ujął Stanisław Barańczak.

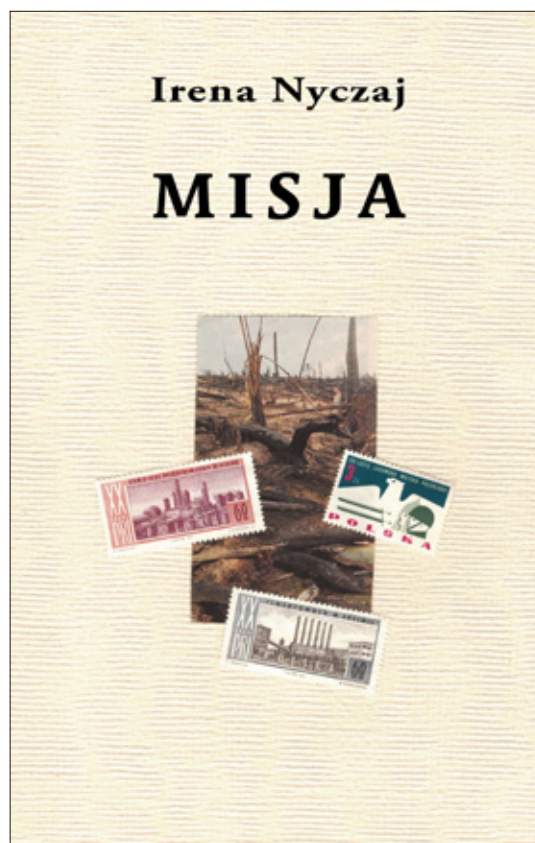
Wracając po tej narzucającej się dygresji do opowiadań Ireny Nyczaj wydaje się, że owe liryczne poetyckie sekwencje najwyraźniej zaznaczają się w opowiadaniu *Kondukt*. Jego fabuła związana jest z naszą współczesną rzeczywistością, z niej wyrasta i widzi ją w krzywym zwierciadle, dając niemal karykaturalny jej obraz. Bohater tego opowiadania nazywany tu Szefem jest autokratą, zafascynowanym daną mu władzą. Wprowadza w czyn swoją wizję przyszłości będącą zagrożeniem dla naturalnego środowiska i człowieka. Jego chore poczynania rodzą bunt, zwłaszcza młodych ludzi. Tłum protestujących niesie ekologiczne hasła: „Stop betonozie”, „Chcemy czystego powietrza”, „Chcemy zieleni, trawników, chcemy drzew”. Ale Szef ma już swoich ludzi, gotowych do wejścia w ten tłum i rozbijania go od środka. Dla czytelników są to

znajome sceny; być może niejednym był ich bliskim obserwatorem bądź nawet uczestnikiem. Ten strajk klimatyczny to jeden z elementów rzeczywistości, będący reakcją na arogancję władzy dbającej tylko o własne interesy. Tytułowy kondukt jawi się tu jako swoisty żałobny kondukt po zniszczonych lasach, wyciętych drzewach, zanieczyszczonych rzekach.

Zadaniem literatury jest przecież wychwycić absurdy życia społecznego czy też politycznego, obnażyć je i zaśmiać się z nich. Słowo staje się narzędziem, zwłaszcza gdy posłuży się sprawdzonymi kategoriami, takimi jak groteska, ironia, karykatura.

W nieco inny klimat wprowadza nas opowiadanie *Czy mnie kochasz...* To realistyczny zapis schyłku życia człowieka, którym rządzi to, co nieuniknione, czyli starość. Realistyczny, ale zabarwiony nutą sentymentalną, bo narzucające się wspomnienia próbują objąć to, co już minione, a było niegdyś tak bliskie. Życie zwolniło wyraźnie swój bieg, a Czas „powłóczy dniami i nocami”.

Irena Nyczaj, *Misja*, Kielce 2023, s. 100.



## Tajne poligony śmierci

*Kryptonim „Wyspa”*, najnowsza książka Bogusława Wiłkomirskiego, składa się z dwu części. Pierwsza nosi tytuł *W cieniu nazizmu*, druga *W blasku komunizmu*. Zarówno ów cień, jak i blask (użyty tu przewrotnie), są tragicznym mrokiem, czasami pogardy, z jakimi musiał zmierzyć się świat w wieku XX. Te dwa totalitaryzmy, jeden spod znaku swastyki, drugi mający za symbol sierp i młot, przetoczyły się jak plaga niewyobrażalnego okrucieństwa i śmierci. Do dziś są trudne do zrozumienia – dlaczego powstały, jak mogły zaistnieć tak okrutne ideologie, systemy, zjawiska. Jakkolwiek byśmy je nazwali, do dziś budzą zdumienie, choć minęło tak wiele lat.

Książka B. Wiłkomirskiego, ukazując te totalitarne reżimy, odsłania – jak to zazwyczaj bywa w powieści – wiele ciekawych zdarzeń, sensacyjnych wątków, jakich nie znajdziemy w podręcznikach historii opisujących np. II wojnę światową. I jak w każdej powieści, są tu postaci autentyczne, historyczne, a także fikcyjne, bez których trudno wyobrazić sobie barwną, intrygującą fabułę, trzymającą czytelnika w napięciu. Obie warstwy powieści, ta realistyczna i ta fikcyjna, przenikają się wzajemnie i jakby się uzupełniają, jedna wspomaga drugą. Tam, gdzie wkracza historia, pojawia się znajomość realiów podanych wiarygodnie, nawet gdy dotyczy to szczegółów. A tam, gdzie pojawia się już fikcja, autor zdaje się na swoją wyobraźnię, trzeba przyznać niezwykłą. W ten sposób skonstruowana książka – nawet gdy mieszczą się w niej tak trudne i poważne tematy, jak nazizm czy stalinizm – poprzez swoją dramaturgię wydarzeń, wartką akcję, sensacyjny posmak, staje się interesującą w odbiorze.

Bohater powieści, Alexander Black, młody angielski oficer Royal Navy, zdołał się niemal cudem uratować z zatopionego przez Niemców okrętu „Hood”. Kiedy się ocknął, zrozumiał, że znajduje się na niemieckim krążowniku „Prinz Eugen”. Sam wśród wrogów.

Jak potoczą się jego losy – to właśnie jeden z wielu w tej książce fragmentów wzmagających ciekawość czytelnika. Rozgrywające się na Atlantyku zmagania floty brytyjskiej z niemiecką dodają powieści barwy, np. sensacyjne polowanie na „Bismarcka”, najpotężniejszego z całej niemieckiej floty – i zatopienie go w odwecie za „Hooda”.

Wracając do bohatera powieści, mamy nieoczekiwaną zmianę w jego losie. Angielski porucznik na kursach Abwehry zdobywa teraz doświadczenie, by w roli niemieckiego agenta sprawdzić się jako świeżo upieczony... nazista. A więc w tej roli, która została mu narzucona za cenę życia. Jak oszuka Niemców, czy się nieopacznie nie zdradzi, gdy przeniknie do środowisk niemieckich oficerów z kręgu ludzi władzy. Poznał już zasady tej nowej dla niego ideologii – ślepe posłuszeństwo, wierność partii i führungowi, służalczość, bezwzględność i okrucieństwo, pycha rasy panów i pogarda dla innych. Przed bohaterem wiele trudnych akcji wywiadowczych – czy pomogą mu inteligencja, spryt i czujność, zwłaszcza gdy nawiąże kontakt z brytyjskim wywiadem i stanie się tzw. podwójnym agentem.

Zbliżający się koniec II wojny światowej i nieunikniona klęska Hitlera przynosi jeszcze jeden obraz tak trudny do wyobrażenia, zarówno dla aliantów, jak i żołnierzy Armii Czerwonej – obozy koncentracyjne. To wielki wstrząs dla Europy i świata.

Ale totalitaryzm znajdzie przecież swoje przedłużenie – sowieckie łagry, mające już początek przed wybuchem wojny. Bez komór gazowych i krematoriów, ale zabijające również w masowy sposób poprzez katorżniczą, niewolniczą pracę. To już druga część książki zatytułowana, jak wspomniałam, *W blasku komunizmu*. Blasku, ale tylko w założeniu, bo miał to być świetlany ustrój, w który tak wielu uwierzyło, by później znaleźć się w sowieckim łagrze. Czytelnik staje się teraz świadkiem codziennego życia w ZSRR. Nawet ci, co sprzyjają władzy, głoszą jej hasła, nie mogą czuć się bezpieczni. Donosicielstwo jest tu patriotycznym obowiązkiem. Ludzie, na co dzień odizolowani od świata, zwłaszcza od „imperialistycznego Zachodu”, są zastraszeni, a przez to i posłuszni, wiedzą, czym kończy się każda, nawet najbardziej niewinna krytyka, będąca żartem.

Bohater przeżywa swoje jakby kolejne wcielenie, również trudne, bo cała jego psychika zupełnie nie przystaje do nowej, sowieckiej mentalności. Ale zahartowany z poprzednich misji, mający już niemałe doświadczenie w pracy agenta musi sprostać wyzwaniu. Jest w nie zaangażowany również z powodów osobistych – ma wyrwać z łagru swoją matkę. Musi powstrzymać emocje (jego matka również), działać racjonalnie, sprawnie i szybko. I to się udaje, kończy się więc powieść *happy en-*



dem, co w książce o tak dużym ładunku emocji przynosi odprężenie.

Parę lat temu B. Wiłkomirski wydał również intrygującą powieść sensacyjną – *Piekło w dolinie Pandżu*. Jej bohater, z pochodzenia Polak, podejmuje się niebezpiecznej misji – ma zlikwidować laboratoria terrorystów pracujących nad bronią biologiczną w odległych górach Tadżykistanu. I w tej wydanej w 2021 roku książce, *Kryptonim „Wyspa”*, bohater, wykonując swoje zwiadowcze misje, ma również dotrzeć do tego typu laboratoriów. Pojawiający się w obu tych powieściach sensacyjny wątek – dotyczący broni biologicznej, śmiertelnych wirusów czy bakterii – jest autorowi bliski. B. Wiłkomirski, obecnie emerytowany profesor nauk biologicznych, ma w swoim dorobku takie książki, jak *Toksyczny świat. Zarys historii trucizn czy Uzależnienie całkowite*. Nie dziwimy się, że tę swoją wiedzę wkłada również w twórczość literacką. Badania naukowe są na pewno czynnikiem postępu, ale źle użyte mogą przyczyniać się do cierpienia i śmierci, stając równie niebezpieczną bronią. Sądzę, że *Kryptonim „Wyspa”*, jak i wcześniejsza powieść *Piekło w dolinie Pandżu*, mogą być ostrzeżeniem, by zło nie odrodziło się na nowo w żadnej postaci.

Bogusław Wiłkomirski, *Kryptonim „Wyspa”*, Oficyna Wydawnicza STON 2, Kielce 2021, s. 440.



## Zapis obecności

Bohater liryczny wierszy Benedykta Kozięła przemierza dany mu egzystencjalny czas. Czas niebywale krótki w odniesieniu do Wieczności. Pragnie zgłębić jego tajemnicę, pogodzić ze sobą „początek i koniec” – to słowa symbole wyrażające pragnienie, by ludzką miarą objąć tajemnicę bytu, zagłębić się w tym, co daje się zrozumieć, jak i w tym, czego dociec niepodobna, czego tylko poprzez metafizyczne doznania, niemal irracjonalne, można dotknąć.

Czas i przestrzeń to kategorie wciąż obecne w liryce B. Kozięła. W *Obrotach Ziemi* ich wektory „metafizyczną pełnią” obejmują „bieguny świata”. Wynurzają się „zapalane i gaszone” z dnia i nocy, by „pędząc w pozorną nieskończoność” odnaleźć tylko „pozorny początek”. A idąc dalej tą filozoficzną myślą uciec w praegzystencję. Wobec tajemnicy istnienia, tajemnicy życia podmiot czuje się wielokrotnie bezradny:

Otwieram ciszę

w obłoku czasu  
unosi się  
niewypowiedziana przestrzeń  
nabrzmiwa

w braku słów  
zapis stanu

obecność

Piętrzą się „kody niewiadomych”, pojawia się niedosyt. Podmiot „niedomknięty w sobie” wyraża egzystencjalny niepokój:

w kategoriach wolności  
szukam  
dalszego ciągu

w możliwości wyboru  
odnajduję  
uświadomioną niepewność

błądzą  
w złotym środku

Pośród tych pełnych refleksji i filozoficznej zadumy wierszy zaciekawiają te, oparte na motywie

drogi. Tej już jakby przebytej, właśnie w czasie i przestrzeni. Droga rozpisana na kolejne lata (wiersz *Kalendarz*) jest jak wytyczony szlak, a w nim „giełdy pragnień/listy zleceń/otwarte udziały” oraz „akcje/Bożej koniunktury”. Ale droga tej codziennej podróży bywa też gonitwą w „nieoczywistym wyścigu”, „bez startowych numerów” – to wiersz *Biegnę*, w którym wyścig z czasem, z przestrzenią, ze sobą, nawet ze światem kończy ciekawa puenta:

by wygrać  
muszę wymykać się  
świadomości

Taka konstatacja znów prowadzi na tę tak istotną w liryce B. Koziela ścieżkę filozoficznej refleksji. Pośród tych „niesionych bagaży codzienności” podmiot „otoczony krawędziami poznania” może nawet obawiać się owej drogi.

Motyw drogi, tej już przebytej, przywołuje samorzutnie inny, też niebagatelny tu wątek upływu czasu, przemijania życia, jak i przemijania tego, co było na początku tej drogi, a już nie istnieje, zarówno w otaczającej rzeczywistości, jak i w nas samych. Podmiot siłą rzeczy zatrzymuje się „po latach”, by spojrzeć, może ze zdumieniem, niedowierzaniem na „godzące się z czasem/obnażone jesienne drzewa”.

Motywy zmierzchu, zachodzącego dnia, kolejnych powrotów do „początku”, do „porannej ulicy” zwiastują nie tylko swoistą monotonię codzienności, ale coraz to inny jej horyzont naszego znikania w tle życia. W wierszu *Klucze* (przytoczę go tu w całości) czytamy:

Idę	niepewne
przez dzień	niejasne
przez noc	trudne
	do odczytania
patrzę na drogę	do zapisania
za mną	
przede mną	klucze słów
	lecą nade mną
ślady	płoszone życiem
jednakowo	

Na tej niepewnej egzystencjalnej ścieżce podmiot doświadcza „iluzji zdarzeń”, gdy w „nieprzewidywanym” musi „zgadywać siebie”. Pojawia się poczucie pewnego rodzaju względności miejsc i czasu, obrotu sfer. Nawet ucieczka w słowo zawiera ów aspekt.

Krąg wątków wierszy B. Koziela niezmiennie oscyluje wokół nadrzędnego w tej liryce tematu istnienia człowieka, jego doczesnego bytu, nie-

możności poznania tajemnicy. Wypracowana przez lata, sprawdzona stylistyka przychodzi w sukurs wierszom, a najbardziej widocznym jej środkiem jest metafora. Zdumiewa odległością semantycznych skojarzeń, zaskakuje celnością i potwierdza, jak wiele możliwości niesie poetyckie słowo i jak zaspokaja estetyczne pragnienia miłośników poezji.

Benedykt Koziół, *Obroty Ziemi / The Earth's Rotations*, Kielce 2023, s. 122.

## Zakorzeni w istnieniu

Najnowszy tomik wierszy Benedykta Koziela pokazuje, że autor pozostaje wierny nadrzędnemu tematowi swojej poezji (można go nazwać nawet tematem wiodącym), a jest nim egzystencjalna i filozoficzna ścieżka zadumy nad tajemnicą i sensem naszego istnienia. Podmiot liryczny bacznie obserwuje rzeczywistość i dany mu czas oraz przestrzeń, dostrzega zachodzące zmiany dokonujące się równoległe z niewzruszonością świata, a nawet jego obojętnością. Na tej metafizycznej ścieżce towarzyszą mu nieodłączne już znaki zapytania, o które ustawicznie się potyka wpisany w „krzywioną przestrzeń / powierzony zamysł / kwadraturę koła”. Próbuje to swoje uczestnictwo w tym, co odwieczne racjonalnie uzasadnić, ale zdaje sobie sprawę, że może, co najwyżej, pozostać „w granicach percepcji / paradoksach zrozumienia”. Utożsamia się z tymi, co przed nim, w minionych już pokoleniach, nieśli to swoje istnienie i na „drogach dróg” szukali, skazani na świadomość, odpowiedzi na niezgłębioną zagadkę tego, co doczesne i tego, co wieczne.

W wielu wierszach B. Koziela podmiot liryczny wypowiada się w pierwszej osobie liczby mnogiej np. idziemy, spostrzegamy, formujemy, otwieramy. Zapewne jest to świadomy zabieg autora mający sugerować, że jesteśmy od wieków zaledwie częścią jakiejś większej całości, powielamy jako ludzkość ten sam los i:

nie dotykając błękitu ani głębi  
kładziemy kręgi  
naszego czasu

– to fragment z wiersza *Nad wodą*. Powierzchnia wody, jej tafla są jak lustro, w którym przeglądają się wieki. Motyw lustra (luster) może być tu symbolem rzeczywistości, tej dawnej, jak i obecnej,

co zgodnie z porządkiem wszechrzeczy niezmiennie przemija. Może też oznaczać kruchość życia człowieka i jego losu. W tych właśnie lustrach odbijających to, co było, jesteśmy jakby ciągle obecni, nawet w tych już trochę rozbitych, a przez to nieostrzych i niewyraźnych. Brzegi rzeki są jak brzegi naszego poznania, bo „tam są nasze granice / nasze horyzonty / przezroczyście światy / spodziewane kresy”. W lustrze czasu, w lustrze przeszłości szukamy też potwierdzenia samych siebie, swojej obecności w mijaniu wieków. I „nie odstępując luster” szukamy również pewności i nadziei. I, co więcej, możemy spojrzeć nie tylko w głąb czasu, ale i w głąb siebie. To nasza metaforyczna podróż, bo nie możemy z góry założyć, że przyniesie to, co pierwotnie było naszym zamiarem:

nie wiemy  
czy uda nam się wrócić  
z przekonaniem  
o racji

potwierdzamy się  
posiadaniem biletów

Nieoczekiwana, trochę przewrotna puenta w jakimś sensie „łagodzi” nasze niespełnienia. Podróż to również jeden z motywów B. Koziela. Przynosi refleksję, że miejsca, które odwiedzamy, te realne i te przywołane z „katalogu naszych zapamiętań”, są tylko pozornie takie same. Nie ma już powrotu do tamtych sprzed lat, tak zdawało się bliskich i oswojonych. Jeśli jeszcze uda nam się nieoczekiwanie je ujrzeć, budzą sentymentalne wzruszenie, jak np. w wierszu *Stare domy*:

schowane w drzewach  
uszkodzonych dachach  
wyobrażonych  
skarbach swoich strychów  
za tajemnicą  
gubionych pokoleń

są w nas jak ludzie  
co już nie wychodzą  
przed dom przed furtkę  
co nie stoją w oknach  
i tylko pamięć  
jeszcze ich gromadzi

Ale do tych miejsc, nawet już tak przez historię i czas zmienionych i tak powrócimy, jakby nasze życie miało zatoczyć koło. A może jest i tak, że

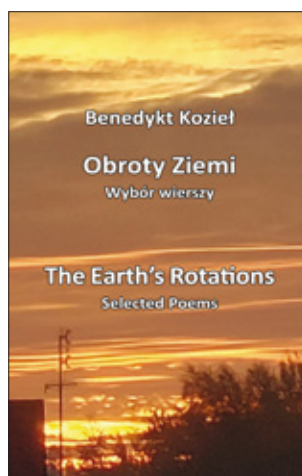
z tych miejsc nigdy nie zdołaliśmy wyjść – to nasze „miejsca pierwsze”. B. Koziel we wszystkich swoich poetyckich tomikach podkreśla swój z nimi jakby nierozzerwalny związek. Ziemia Staszowska zostaje tu w piękny poetycki sposób opowiedziana w coraz to nowych wariantach i odsłonach. Jest Połaniec, są Rytwiany, Kurozwęki i oczywiście Niekurza, bo od niej wszystko się zaczęło zarówno w życiu B. Koziela, jak i w jego poezji.

Wiersze B. Koziela sprawiają, że patrzymy na otaczający nas świat, także na siebie i swój czas, z coraz to innej perspektywy: raz z lotu ptaka, przemierzając nagromadzony w chmurach czas (*Przez wieki*), raz w zapisanej w zabytkach historii (*Pałace, Dąb, Staszowska wąskotorówka*), by z kolei odwiedzając pracownię rzeźbiarską u Regułów w Połańcu widzieć świat poprzez artystyczne ludzkie wytwory albo z kolei spojrzeć z dość przyziemnej perspektywy, gdy „idziemy żabą” (wiersz pt. *Perspektywa*). Może tego rodzaju spojrzenie uczy nas dystansu do świata i do siebie, by w tym trudnym i różnorodnym krajobrazie zdobyć się na jego afirmację.

„Przyszłość przegląda się w przeszłości” i szuka w tym, co już tak nieubłagane przeminęło, nie tylko wspomnień, ale i poczucia przynależności do ludzkiej wspólnoty „wrzuconej” w bezmiar wszechświata i kosmosu. Fenomen naszego bytu na planecie Ziemia nie przestaje być ciągle niezgłębioną zagadką, ale i fascynacją. „Nie odstępując luster” szukamy w tym odwiecznym porządku własnego miejsca, by w swojej codzienności nie zagubić tego, co już zdołaliśmy jako ludzkość przez wieki wypracować.

Krystyna Cel

Benedykt Koziel, *Nie odstępując luster*, Kielce 2023, s. 80.



## Liryczny realista

Jeszcze bardziej poszerzył się zakres doświadczeń, wykrystalizowała się wirtuozerska forma, wyostrzył się zmysł obserwacyjny, wyczuliła wrażliwość. I tak powstała *Chwila jawy* Marka Wawrzkiewicza. Trzeba koniecznie podkreślić, że jego utwory to zawsze najczystsza liryka, świetnie zmetaforyzowana, oszczędna, pełna swoistej ironii, humoru, dystansu; wciąż świeże widzenie rzeczywistości. I zdumiewająca precyzja słowa. Przejmujące wiersze mówią o przemijaniu, o miłości, o sensie ludzkiego życia, pomimo postępującej i bezsensownej erozji wszystkiego na tym świecie. Ale też jest w jego poezji duża doza optymizmu. Niejednokrotnie gorzyc zamienia się tutaj w ironię lub poetycki żart.

Wawrzkiewicz stale zaskakuje, nie można go w pełni opisać. I ta nieprzewidywalność jest właśnie miarą jego twórczości. Poeta wciąż pochyla się nad życiem i jego ulotnością, pięknem, miłością. Humor, pomysłowość, rzadko dziś spotykana obrazowość, błyskotliwość skojarzeń, ironia, dystans, przy jednoczesnym zamyśleniu lirycznym – oto co od samych początków, aż do wydanej ostatnio *Chwili jawy*, charakteryzuje twórczość autora *Światelka*. Podmiot liryczny dotkliwie odczuwa destrukcyjne działanie czasu. Ale nadrabia miną pomimo egzystencjalnego lęku, żalu za systematycznie kurczącym się dla każdego z nas światem oraz znikaniem wszystkiego, co kiedyś było tak ważne. W poezji Wawrzkiewicza jest jednak nie tylko poczucie bezsilności wobec praw natury, ale i przekonanie o potrzebie aktywnego uczestnictwa:

Doczekać. Donieść swoją niecierpliwość  
Do domu. Tam zaczerpnę haust samotności.

Niecierpliwość jest cierpliwa.  
Otorbi się, wytrzyma do najbliższej okazji.

Będzie czekać do czasu, kiedy już  
Przestanę się niecierpliwić.

(*W gościach*)

Twórczość Wawrzkiewicza nie zastyga w ulubionych przez poetę formach. Zawsze jest on sobą, a pisanie traktuje jako coś najbardziej naturalnego. Spontaniczność tych wierszy bynajmniej nie oznacza braku świadomości i niekontrolowanej żywiołowo-

ści. Autor *Smutnej pogody*, jak mało który poeta, jest mistrzem formy; lirykiem, jakich obecnie można ze świecą szukać. Ma niebywałe wycucie słowa, jego odcieni, najrozmaitszych pobocznych znaczeń. Pisze wiersze krystalicznie czyste, finezyjne, choć zarazem czytelne, pozbawione wszelkiej pretensjonalności. Jest to mądra, czuła i bardzo męska liryka, której oś stanowi niezmiennie miłość i przemijanie. A uniesienia miłosne są często świadomie sprowadzane do powszedniości:

*Spełniona miłość przypomina wystużoną, drewnianą łyżkę  
Do mieszania gulaszu.*

(*Dwie miłości*)

Pozwala to uniknąć czułościowości, sygnalizuje dystans, jaki podmiot lityczny utrzymuje w stosunku do poetyckiego wzruszenia, do całej sfery emocjonalnej. Nie deprecjonuje to jednak uczucia. Poprzez kontrast (tu: drewniana łyżka – spełniona miłość) uzyskuje większą ekspresję. Poeta lęka się czułościowości i banału, rzeczy ważne sprowadza zatem do poziomu zwyczajnych. Zabieg ten, wbrew pozorom, podkreśla ich wagę i znaczenie.

Twórczość Wawrzkiewicza sięga do najlepszych źródeł i tradycji poezji w ogóle, ale nie znaczy to, że jest zachowawcza czy „uwsteczniiona”. Przeciwnie, w swojej klasie jest nowatorska. Zarówno jej przesłania jak i język przedstawiają świat współczesny w sposób ekspresyjny i komunikatywny. A wiadomo, że komunikatywność nie wyklucza nowatorstwa.

Dystans, ironia, poczucie absurdu, a nawet pewien cynizm, są charakterystyczne dla liryki Wawrzkiewicza. Dodają jej lekkości, intrygują, zaskakują śmiałymi skojarzeniami i znaczeniami. W ten sposób poeta niejako wytrąca wiersz z ustalonych kanonów lirycznych, wersyfikacyjnych. Jest to również pewien sposób „oswajania” stale obecnej w tej poezji śmierci, a zwłaszcza miłości, która bywa jednocześnie czymś konstruktywnym i destrukcyjnym. Tak samo piękno i brzydota. Poeta jest wciąż daleki od wszelkiego idealizowania:

Jeśli olśni cię twarz dziewczyny,  
Pomyśl, jak będzie wyglądała jej czaszka,  
I może zachwyt zwiędnie.

Ale na pewno za dwadzieścia lat  
Grabarz lub archeolog podzieli twoje uczucia.

Albowiem piękno nie przemija.  
Ono się tylko przeinacza.

(*Piękno*)

Podobnie jak u Grochowiaka. Tam „bunt nie przemija, bunt się ustatecznia”.

To cały Wawrzkiwicz... Jego wciąż wzbogacana o nowe doświadczenia poezja, ukrywa liryczne wzruszenia za sztafajem żartu, pewnej obojętności. Pozwala mu to na osiągnięcie obiektywnego dystansu do świata i samego siebie:

A może jest tak, że wszystko już napisałem,  
Nawet to zapomniane, niezapisane.  
Może jest ze mną tak, jak z wyczerpanym długopisem,  
Piórem bez atramentu, laptopem  
Z przepelnioną pamięcią na dysku, herbatą tak słodką,  
Że nie tonie w niej ziarenko cukru. Gorzko, gorzko.

(*Płomyk*)

Trzeba zauważyć, że podmiot liryczny patrzy na człowieka jak na integralną część natury. Dostrzega wszelkie biologiczne i psychologiczne ograniczenia. Jakakolwiek idealizacja – jak się rzekło – jest tej poezji obca. Wawrzkiwicz to „liryczny realista”. Im natura jest tutaj mniej „uczłowieczona”, tym – paradoksalnie – staje się bardziej ludzka. Człowieka bowiem nie można od natury oddzielić, nawet gdyby się bardzo chciało. W niej bowiem żyjemy, kochamy, doświadczamy śmierci, pragniemy nawiązywać ze sobą relacje, choć nasze pragnienia często wykraczają poza przyrodzoną rzeczywistość. Chcielibyśmy mieć więcej, mamy więc poczucie niedosytu. Pragniemy coś ważnego przekazać – a język okazuje się zbyt ułomny. Żyjemy – jednocześnie z odroczonego, ostatecznym wyrokiem. Ten pewnego rodzaju egzystencjalny dramat pokazany jest w poezji Wawrzkiwicza w sposób niezwykle obrazowy; w poezji czystej w brzmieniu, a w rysunku swoim bardzo delikatnej, ale też zarazem ostrej i bezkompromisowej w bezpośrednim nazywaniu tej rzeczywistości. Podkreślmy raz jeszcze często dochodzące tutaj do głosu poczucie absurdalności całego istnienia, groteskowości ludzkich poczynań. Poeta bawi się poetyckim tworzywem, czyli tym, co zwykliśmy nazywać „warstwą pojęciową życia”. Cała groza egzystencji jest pokazana właśnie poprzez poetycki żart i pełną przekory zabawę, co w konsekwencji wypada jeszcze bardziej dramatycznie. I niewątpliwie ciekawiej. Nieuchronny proces biologiczny stale przedstawia akcenty ze sfery cielesnej w rejony duchowe. Życie wraz z jego wszelkimi przejawami nie jest wszak niczym innym jak osobliwymi zapasami z czasem. Zarazem kontemplacją

piękna, fascynacją ulotnymi chwilami. Ale i te chwile mogą nas zaskakiwać:

Pozwólmy sobie na domysł:  
Ta kobieta jest z pewnością prześliczna.  
Zostańmy z tym przekonaniem,  
Odejźmy zanim zdejmie maskę.

Popatrzmy raczej na siermiężnego trybuna –  
Jego worki pod oczami czynią go bliskim,  
Jak nasze własne odbicie w lustrze. Ale on  
Otwiera usta. – Załóż maskę! Krzyczymy  
Przez maskę.

(...)

Maska kryje szyderczy uśmiech  
I tamuje plwociny.

Upowszechnia zdradzieckie mordy,  
Choć ich nie ułaskawia.

Nie wiadomo, na którą zapadnie wyrok,  
Nie wiadomo, na którą wypadnie.

(...)

Na Bałtyku tonie zamaskowana  
Orkiestra z Tytanika.

Grają. Czy to jeszcze *Mazurek*, czy już bulgot?  
(*Kraj maskowy*)

Okazuje się, że wciąż trwamy w permanentnej iluzji. Nie jesteśmy w stanie dotrzeć do istoty rzeczy. Wszystko, łącznie z nami, jest „zamaskowane”. Nasz ogląd rzeczywistości daleki jest w gruncie rzeczy od obiektywizmu. Dzieje się tak, gdy np. przyglądamy się kobiecie, której prawdziwej twarzy możemy się domyślać. Ale jednocześnie cytowany wyżej wiersz jest w pewnym sensie polityczny. A polityka, to bardzo pokrętnie, oszukańcze, cyniczne zjawisko. Mami nas, dopóki jesteśmy do jej celów potrzebni. Okazuje się jednak również nietrwała i zwodnicza. Jest swojego rodzaju tonącym okrętem zmierzającym ku zagładzie. To wiersz wieloznaczny, napisany ze skrywanymi emocjami, czyli w sposób charakterystyczny dla poetyki Marka Wawrzkiwicza.

Jeśli już mówimy o katastrofie, to koniecznie trzeba zwrócić uwagę na świetny utwór *Zagłada*. Zdarzenia dramatyczne w poezji autora *Chwili jawy* często są pokazywane w sposób prześmiewczy, a jednocześnie nie tracą nic z dramatyzmu. To cecha indywidualna jego twórczości, nigdy nie będącej jednoznaczna w warstwie językowej, a także przesłaniach. Autor lęka się naiwności. Stara się wszystko racjonalizować, ale czyni to wprowadzając akcenty humorystyczne zaprawione gorzką ironią. Oto – jak czytamy – „miasto zdobyte”, spustoszone, zrujnowane:

A potem wiatr przekupny rozwieje sztandary  
Zwycięskich hufców: Tesco, Lidl, Biedronka,  
McDonald, Real i ich sprzymierzeńców.

(...)

Na skrzyżowaniu ulic Wielkiej z Niepodległą  
Dogorywa w męczarniach ostatni sprzedawca  
Wiejskiego salcesonu, boczku i kiełbasy.

Już z dłoni niedomytych wypadł mu odważnik  
I niewydana reszta.

Belferscy historycy napisaliby setki, jeśli nie ty-  
siące, ciężkich stronic martyrologicznych – właśnie  
o zgubnych rezultatach wojen, a ów sprzedawca  
wędlin urósłby do rangi narodowego bohatera.  
Sportretowanego z całą tragiczną powagą. Tymcza-  
sem poezja Marka Wawrzekiewicza nigdy nie popada  
w naiwny patos, bo właśnie patos najskuteczniej  
ośmiesza to, co w gruncie rzeczy bywa poważne.  
Poeta stara się na wszystko patrzeć z pozycji iro-  
nicznego obserwatora strącającego ustalone, dęte  
hierarchie z piedestału. Czy to będzie zagłada, czy  
śmierć, czy miłość – poeta konsekwentnie trzyma  
emocje na wodzy. Wróćmy do *Zagłady*. Oto nowe  
pokolenie uczci w przyszłości pamięć poległych  
i złoży pod monumentalnym pomnikiem miejskie-  
go warzywniaka wieńce z marchewki, pomidorów  
i innych płodów ogrodniczych,

I zadumają się chwilę nad wprawionym w cokół  
Fragmentem muru, co przetrwał zagładę,  
Z inskrypcją zagadkową napisaną sprayem  
I martwiejącą ręką: CAŁUJTA MIE W DUPE.

I wzniosą gromko okrzyk, okrzyk rytualny  
Nieznanego autorstwa: NAWZAJEM! NAWZAJEM!

Tu przytoczę anegdotyczne zdarzenie. Zaproszo-  
no nas kiedyś z Markiem na jakąś poetycką imprezę,  
na której, w porządku alfabetycznym, mieliśmy  
prezentować swoje wiersze. Więc najpierw zaczęły  
się produkować różne poetessy, bardzo wzniosłe,  
drżącymi ze wzruszenia głosikami wychwalające  
kwiatki i ptaszki, poszukujące piękna w pięknie,  
co – jak wiadomo – jest mało odkrywcze. A na sali  
wśród innych delikatnych pań, wytworzył się nastrój  
„liryczno-poetyczny”. I na zakończenie wystąpił  
Marek czytając *Zagładę*. To było jak dobitne „amen”  
spotkania. Proszę sobie wyobrazić te zgorszone  
miny, gniewne spojrzenia, szmer „potępienia”.  
Mało go nie zlinczowały za takie świętokradztwo.  
A my niemal tarzaliśmy się ze śmiechu.

Nie można pominąć, zwłaszcza w świetle auten-  
tycznych wydarzeń, które teraz obserwujemy na

porządku dziennym, wiersza (acz nie najnowszego),  
który nawiązuje do wcześniejszych apokryficznych  
listów, wydanych w osobnych tomach, a który nic  
nie stracił ze swojej aktualności. Dobrze, że znalazł  
się w tym tomie. Nosi on tytuł *Nieznaczenie współ-  
czesny (w warstwie językowej) list prałata Giacomo  
F. do siostry Bettiny z zakonu Wspomożenia (XVI w.)*

W sposób misterny pokazuje tutaj poeta hipok-  
ryzję i obłudę duchowieństwa. Język lekko archa-  
izowany podkreśla zabawną groteskowość sytuacji:

Choć grzech tu się pleni jako chwast paskudny.  
Lecz wolną wolę mamy, żeby się nie poddać  
Niskim wołaniom ciała i bezmyślnym chuciom.

(...)

Ja jutro o północy zjawię się w Twej celi –  
Niechaj stoi otworem. Pokażę Ci wszystko,  
Co grzeszne i wszeteczne. A teraz bądź zdrowa  
I żyj w oczekiwaniu, że poznam cię nocą,  
Tak jak poznawano w Starym Testamencie.

Aby oddać w pełni klimat tego wiersza (jak  
zresztą wszystkich innych) trzeba by cytować utwory  
w całości. Trudno wypreparować z nich wersy ważne  
i mniej ważne, ponieważ ta poezja jest tak bardzo  
spójna. Zawsze jednak mówi o rzeczach ważnych,  
a jeśli w sposób prześmiewczy, to nie wyzbywa  
się dobrego smaku. Nie znajdziemy tu również  
narzucających się elementów dydaktycznych, op-  
tujących za jakąś ideologią czy światopoglądem.  
To poezja – powtórzmy kolejny raz – krystalicznie  
czysta, w najśmielszych, swobodnych obrazach  
i metaforach nigdy niebędąca wulgarną. Finezyjna,  
dowcipna odnosi się bezpośrednio do wyobraźni,  
inteligencji i wrażliwości czytelników.

Stefan Jurkowski

Marek Wawrzekiewicz: *Chwila jawy*, Marszałek Deve-  
lopment & Press, Toruń 2021, s. 74.



## 15 tomów niekończącej się opowieści



Prof. Stanisław Sławomir Nicieja (z prawej) z Czesławem Miłoszem i prof. Tadeuszem Stawkiem  
fot. archiwum domowe prof. Stanisława Nicieja

**Z prof. Stanisławem Sławomirem Nicieją – historykiem, biografistą, publicystą, długoletnim rektorem Uniwersytetu Opolskiego i jego współtwórcą, jednym z najpoczytniejszych polskich historyków, autorem bestsellerowej monografii *Cmentarz Łyczakowski we Lwowie* (cztery wydania, łącznie około 300 tysięcy egzemplarzy) i monumentalnej *Kresowej Atlantydy* rozmawia Zbyszek Ikona Kresowaty.**

*Zbigniew Kresowaty: Rozmawiamy tuż po ukazaniu się XV tomu „Kresowej Atlantydy” – dzieła monumentalnego, które już zyskało miano faktu kulturowego w polskiej historiografii. W tych piętnastu tomach zgromadzono około cztery tysiące unikatowych zdjęć, precyzyjnie opisanych. Na ponad 4000 stronach tej publikacji bohaterami są Kresowianie i ich potomkowie, którzy tworzyli ważne fakty kulturowe i historyczne na ziemiach dawnego państwa polskiego utraconych po 1945 roku. Ukazaniu się najnowszego tomu towarzyszyła wystawa plakatów wybranych z ponad 500 spotkań autorskich nie tylko w Polsce, ale i Europie, w których Pan uczestniczył. Jaką wagę przywiązuje Pan do tak licznych i geograficznie rozproszonych spotkań z czytelnikami?*

**Prof. Stanisław S. Nicieja:** Wyjątkowo dużą. Takie spotkania są dla mnie jak tlen do oddychania. Jestem historykiem nie tylko gabinetowym, siedzącym głównie w archiwach i bibliotekach, ale również historykiem podróżującym, reporterem bywającym w miejscowościach i w gościnach u ludzi,

o których piszę. Od lat jestem stałym bywalcem w domach moich czytelników, którzy mają bogate archiwa rodzinne – kopiuje ich dokumenty, skanuje fotografie, nagrywam wspomnienia ze spotkanymi świadkami historii. Spotkania autorskie są często miejscem, gdzie nawiązuję kontakty, które umożliwiają mi dotarcie do archiwów rodzinnych. Bez tych kontaktów moje książki byłyby zubożone i w jakimś stopniu kalekie, gdyż biografie ludzi nie są zapisane tylko w archiwach państwowych i bibliotekach uniwersyteckich.

Od pierwszych swoich spotkań autorskich zbieram plakaty. Pierwszy plakat w mojej kolekcji mam z grudnia 1988 roku – zapowiadał on moje spotkanie w warszawskim klubie studenckim „Hybrydy” tuż po ukazaniu się w wydawnictwie Ossolineum monografii *Cmentarz Łyczakowski we Lwowie*. Była to wówczas Książka Roku. Wyszła w nakładzie 250 tys. egzemplarzy i miała ponad 100 recenzji (m.in. prof. Janusza Tazbira, Ryszarda Kapuścińskiego i Stanisława Lema). Doczekała się miana „literatury pierestrojkowej” (tak ją nazwał krytyk Leszek Żuliński), bo przełamałem nią jeszcze przed upadkiem cenzury PRL-u tamę milczenia wokół Lwowa i Kresów. Od tego czasu miałem takich spotkań ponad pięćset. Zbieram związane z nimi plakaty i zaproszenia. Zapowiadają one spotkania autorskie w Polsce (od Sanoka po Szczecin, od Zgorzelca po Ostrołękę), ale też w Europie, m.in. w Londynie, Paryżu, Berlinie (na Uniwersytecie Humboldta), w Rapperswilu, we Lwowie, w Stanisławowie, Żytomierzu, Pińsku, a nawet w Perth w Australii i Tajpej na chińskiej Formozie. Ale najbardziej cieszą mnie plakaty ze spotkań w małych miejscowościach. Szczególnie zapamiętałem te w Lipnikach Łużyckich (przy niemieckiej granicy) i w Pastorówce pod Lubaczowem (przy ukraińskiej granicy), ale też w moim rodzinnym Strzegomiu i w Świdnicy, gdzie na sali siedzieli moi licealni nauczyciele, w tym polonistka – lwowianka Idalia Jarzynowa, która pierwsza zwróciła mi uwagę na piękno i miejsce Lwowa w polskiej kulturze.

**Z.K.:** Czy ma Pan liczną publiczność na tych spotkaniach?

**S.N.:** Raczej tak. Od pierwszych spotkań podpisałem, aż trudno uwierzyć, kilkanaście tysięcy moich książek. Szanuję czytelników i każdemu wpisuję dedykację bardzo osobistą – nauczył mnie tego Ryszard Kapuściński, który miał zasadę pisać w dedykacji imię i nazwisko przyszłego czytelnika, a nierzadko jakieś przesłanie czy informację

o korzeniach rodziców w rodzaju: „Wołynianie po mieczu i kądzieli”, „Potomkowi Wilniuków” czy też „Byłym mieszkańcom Krzemieńca”. Zdarzały mi się spotkania, na których podpisałem 200 książek – tak było w Bytomiu, we Wrocławiu czy w Gliwicach, a ostatnio w Przemyślu.

**Z.K.:** 15 tomów „Atlantydy” powstało zaledwie w ciągu ośmiu lat.

**S.N.:** Zaczęło się dość niewinnie. Po książce o Cmentarzu Łyczakowskim, kiedy odblokowano cenzuralnie temat lwowski, zapanowała moda na Lwów i na jego temat zaczęło pisać dziesiątki osób – historyków, publicystów, reportażyistów itp. Gdy usunięto kleszcze cenzury, po 1989 roku o tym mieście napisano kilkadziesiąt książek i setki, a może nawet tysiące artykułów i całe tomy wspomnień. Nie lubię ścisła, więc zaniechałem pisania o Lwowie i zająłem się tzw. prowincją galicyjską.

**Z. K.:** Przeglądając wykaz Pana publikacji, a jest on imponujący – około 1000 artykułów i ponad 40 książek – jedną z pierwszych, która po „Cmentarzu Łyczakowskim” stała się bestsellerem była nosząca tytuł „Kresowe trójmiasto”.

**S.N.:** książka wyprzedziła cykl *Kresowa Atlantyda*. Postanowiłem napisać o trzech kresowych miastach: Borysławiu, Drohobyczu i Truskawcu, leżących w swoim sąsiedztwie i nazwałem je „trójmiastem”, mimo że bardzo różniły się od siebie, ale żyły z sobą w symbiozie. Borysław był miastem „brudnych” interesów i ciężkiej pracy. Ziemia była tam pokłuta 12 tysiącami odwiertów, z których wydobywano ropę naftową. Robiono tam interesy. Powstawały wielkie fortuny, ale nie dbano o wygląd miasta i ekologię. Ropa płynęła tam ulicami. Z jednej strony bogactwo właścicieli szybów naftowych, z drugiej – umorusani w mazi ropnej wiertacze i łybacy (tak nazywano górników naftowych). A obok rozwijał się Drohobycz – miasto Brunona Schulza i pięknych, bogatych kamienic w stylu secesyjnym bądź eklektycznym oraz willi utopionych w ogrodach. Tam konsumowano bogactwo wydarte ziemi w Borysławiu. Schulz patrzył na to ze zgrozą. Ulicę Stryjską w Drohobyczu nazwał „ulicą Krokodyli”. A obok, niedaleko był Truskawiec – uzdrowisko o znakomitych wodach leczniczych. Tam ciężko pracujący w Borysławiu lub Drohobyczu leczyli swe zniszczone żołądki i skołatane pogonią za pieniędzmi serca. Kiedy przyniosłem tę książkę o trzech miastach do wydawcy, mego przyjaciela Bogusława Szybkowskiego, on przyjął ją sceptycznie. Jako wytrawny znawca rynku czytelniczego sądził, że może

nie być wielu zainteresowanych taką tematyką, bo kto będzie chciał czytać o jakichś trzech galicyjskich miasteczkach zapomnianych w powojennej Polsce przez Boga i ludzi. Ale wydał tę książkę bardzo elegancko, z piękną, efektowną okładką. I przeżył szok, podobnie jak ja przed dwudziestu laty, gdy ukazała się książka o Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie.

*Kresowe Trójmiasto* zniknęło z półek księgarskich w ciągu kilku tygodni. Trzeba było je wznawiać. Wywołało też dyskusje czytelników. Dla przykładu: pochodzący z Drohobycza weteran AK, a jednocześnie historyk tego miasta, Krzysztof Werner, był oburzony tytułem, bo uważał, że Trójmiasto jest tylko jedno – nad morzem: Gdańsk–Sopot–Gdynia. Ale moje określenie „kresowe Trójmiasto” weszło do obiegu, stało się skrzydlatym słowem i wielu dziś posługuje się tą nazwą. Mam satysfakcję, że byłem pierwszy.

**Z.K.:** Jakie jest główne źródło Pana inspiracji przy pisaniu historii poszczególnych miast kresowych?

**S.N.:** Książka *Kresowe Trójmiasto* uruchomiła lawinę. Czytelnicy dzwoniли, pisali listy, wysyłali e-maile. „Pan pominął mojego dziadka, a on miał pensjonat w Truskawcu, posyłam Panu jego zdjęcie” – pisał ktoś z Gorzowa Wielkopolskiego. „A mój pradziadek miał w Borysławiu szyb naftowy i zbudował kamienicę w Drohobyczu” – dodawał inny w liście z Dzierżoniowa. Wtedy zrozumiałem, że wszedłem na niebywale płodny grunt i mam szansę uratować pamięć o tamtych miejscach i ludziach. Także dlatego, że miałem dobry kontakt z czytelnikami kresowymi, którzy poznali mnie, gdy pisałem o Cmentarzu Łyczakowskim i Orłętach Lwowskich. Zdobyłem wówczas zaufanie czytelników, a częstokroć luminarzy lwowskiej diaspory, takich jak choćby Wojciech Kilar, Stanisław Lem, Adam Hanuszkiewicz czy Jerzy Janicki, a na emigracji w Londynie – prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego, Stefanii Kossowskiej (ostatniej redaktorki londyńskich „Wiadomości”), Ireny Andersowej (żony gen. Władysława Andersa) czy Władysław Majewskiej (piosenkarki i muzy Mariana Hemara) – wszyscy oni byli Kresowianami. Zaczęła płynąć do mnie lawina informacji i dokumentów, które skrupulatnie rozdzielałem do 200 teczek z nazwami miejscowości: od A (Aleksandrówka) po Ż (Żytomierz). Te tečky z każdym tygodniem pęczniały, puchły, wypełniając się zdjęciami, wyciągami archiwalnymi, fiszkami bibliograficznymi itp. To był cokolwiek, na którym mogłem opierać historię i fabułę poszczególnych tomów *Kresowej Atlantydy*.



**Z.K.:** *Nie przecenia Pan historycznej wartości fotografii i wspomnień zwykłych ludzi?*

**S.N.:** Absolutnie nie, są to źródła bezcenne. Historię tworzą przecież nie tylko ci z pierwszych stron gazet, tacy jak Piłsudski, Śmigły-Rydz, arcybiskupi Bilczewski czy Hlond, premier prof. Bartel czy komandor Zajączkowski (twórca flotyli pińskiej). Historię tworzy też charyzmatyczny proboszcz (który umiejętnie inspiruje otoczenie i jest częstokroć osobowościowo ciekawszy od arcybiskupa swojej diecezji, bo umie skupiać wokół siebie społeczność i tworzyć rzeczy niebanalne), notariusz-kolekcjoner (np. barwnych motyli z całego świata), weterynarz (który ratował zwierzęta) i fryzjer (który tak uczesał kobietę, że znalazła partnera, a wraz z nim radość życia). W moich książkach przeważają ludzie z drugiego, trzeciego, a nawet piątego planu. Oni tworzą historię zaplecza. Ich losy poruszają moich czytelników, bo częstokroć są w warstwie fabularnej zadziwiające. Żyję ciągle pod presją nowych wyzwań. Na każdym prawie spotkaniu autorskim słyszę nie tylko pytania, ale i lamenty: „Kiedy następny tom? Starzejemy się, a nie możemy się doczekać, kiedy napisze Pan o naszej rodzinie, o naszym miasteczku. Dlaczego nie napisał Pan jeszcze o Kamieńcu Podolskim, Żółkwi, Borszczowie, Nieświeżu, Baranowiczach, Nowogródku itp.?”

**Z.K.:** *Zauważyłem, że traktuje Pan z wyjątkową atencją małe kresowe miasteczka, a przecież są one z reguły w cieniu tych wielkich, jak Lwów, Wilno, Stanisławów czy Grodno.*

**S.N.:** Lubię odsłaniać historie małych miejscowości, leżących na tzw. prowincji kresowej. Dla przykładu w jednym z tomów opisałem historię Zabłotowa – miasteczka na Huculszczyźnie, Pokuciu, gdzie była jedna z największych w Europie fabryk cygar i papierosów. Dzisiaj tam jest tylko ruina. Transformacja – podobnie jak w Polsce – zniszczyła wiele starych fabryk. Z Zabłotowa wywodzi się m.in. Manès Sperber – znakomity pisarz i filozof żydowski, autor *Łez w oceanie*, wybitnej klasy intelektualista o duszy i wyobraźni poety. Z fabryką papierosów w Zabłotowie związany był Jan Beffinger – polski uczonek, który pierwszy zwrócił uwagę świata na zagrożenie chorobą nowotworową płuc u palaczy, i to w czasach, gdy papierosy palono powszechnie. Wydał temu nałogowi wielką walkę, a miał przeciwko sobie ogromne, bogate amerykańskie koncerny tytoniowe. I z takich zapomnianych historii tkam opowieści o zatopionej „Kresowej Atlantydzie”.

**Z.K.:** *Zdobyte od czytelnika zdjęcie bywa często w Pana książkach punktem wyjścia do opowiedzenia ciekawej, literacko zredagowanej historii.*

**S.N.:** Tak, jest to jedna z moich ulubionych inspiracji. Dla przykładu: na spotkaniu autorskim we Wrocławiu starszy pan podarował mi fotografię. Pytam: Co to jest? – To jest tramwaj konny we Lwowie, a ten wąsaty mężczyzna stojący ze złotą trąbką na podeście to mój dziadek, który kierował tym tramwajem. – Zdjęcie świetne, ostre. Mógłbym je zamieścić bez żadnego komentarza i już by robiło wrażenie. Ale postanowiłem pogłębić temat i zajrzeć do prasy lwowskiej, która wychodziła w dniach, gdy tramwaj ten po raz pierwszy wyjechał na ulice Lwowa. I tam znalazłem pyszną opowieść, zapis dziennikarski, który dodatkowo podniósł atrakcyjność tej fotografii. Dziennikarz pisał, że jazda tramwajem konnym wprowadzała jego pasażerów w jakieś nieznanne ożywienie, jakieś dziwne pobudzenie o erotycznym wręcz zabarwieniu. Pasażerowie patrzyli na siebie jakimiś łakomymi oczami. I młoda para gimnazjalistów, tuż przed maturą, w maju, jadąc tym pierwszym tramwajem konnym, weszła w stan takiego oszołomienia uczuciowego, że wysiadła na końcowym przystanku na górnym Łyczakowie i w pobliskim zagajniku dziewczyna oddała swemu partnerowi to, co miała najcenniejsze – dziewictwo. To zbliżenie zakończyło się ciążą. I wówczas rodzice podali do sądu Lwowskie Towarzystwo Tramwajów Konnych, twierdząc, że to ono jest winne nieplanowej ciąży, bo stworzyło jakiś diabelski pojazd, który te dobrze wychowane dzieci – którym nigdy do głowy by nie przyszło, żeby coś takiego zrobić, i to jeszcze w krzakach – popchnął do zrobienia tego, co zrobili. Niech Towarzystwo płaci alimenty. Ale prezes Towarzystwa Tramwajów Konnych wziął najlepszego lwowskiego adwokata – Maurycyego Axera (słynnego ze sprawy Gorgonowej; ojca późniejszego słynnego reżysera teatralnego Erwina Axera), znakomitego mówcę i jurystę, i ten w świetnej mowie przed sądem wykazał, że to nie tramwaj był winny ciąży, a jej sprawca, więc niech on płaci alimenty. A skoro jest niepełnoletni, to niech płacą rodzice. Taki opis pod zdjęciem pozwolił mi uchylić rąbka tajemnicy na temat ówczesnej obyczajowości i wydarzeń, o których przez pewien czas mówiła społeczność lwowska. A jednocześnie uatrakcyjnić literacko opowieść.

**Z.K.:** *Jeden z tomów „Kresowej Atlantydzie” przynosi czytelników do Zbaraża, czyli w klimat Sienkiewiczowskiego „Ogniem i mieczem”...*

**S.N.:** Ten tom jest chyba najbardziej patriotyczny i najbardziej literacki. Łączy różne wątki z pogranicza historii, eseistyki, dyskursu politycznego, historii sztuki, obyczajów itp. Mam takie wrażenie, że dojrzałem do takiej formy uprawiania historiografii i popularyzacji dziejów. Jest tam wiele elementów, które dość niespodziewanie się z sobą łączą, a osnute jest to nutą poezji, literatury, malarstwa, filmoznawstwa itp. Są też momenty, gdy wchodzę w polemikę z różnymi – w moim odczuciu – fałszerzami historii. Staram się pisać jasno i atrakcyjnie.

Nie mam łatwości pisania. Dziesięć razy wyciągam tekst z drukarki i poprawiam, wygładzam, uatrakcyjniam. Szukam nowych podtytułów, daję tekstowi światło przez dobrze zaplanowany akapit. Zbaraż opisuję przez pryzmat Sienkiewiczowskiej legendy. Staram się ukazać, jak fenomenalnie zdolny pisarz potrafił zmitologizować to niczym niewyróżniające się miasteczko. Jakie znaczenie ma talent pisarza, gdy trafi na swój czas i chłonnego czytelnika. Dzięki Sienkiewiczowi każdy w Polsce wie, że Zbaraż to symbol polskiej dzielności, wytrwałości, poświęcenia i oporu.

**Z.K.:** *Widać w Pańskiej twórczości podziw dla kreatywności Sienkiewicza w budowaniu mitów narodowych.*

**S.N.:** Tak, bez wątpienia. Pamiętamy z lektury słynną scenę pogrzebu Longinusa Podbipięty w pobliżu klasztoru w Zbarażu i wspaniałą mowę zakonnika celebrującego ceremonię żałobną. I choć postać oraz grób zasieczony przez Tatarów Podbipięty były fikcyjne, to zbarażanie palili w opisanym przez Sienkiewicza miejscu znicze i składali kwiaty, jakby był tam prawdziwy grób. A gdy władze miasta chciały w tym miejscu wznieść budynek, podniesiono straszliwe larum: Jak śmiecie na grobie Podbipięty coś budować! Projektant mówił: Na jakim grobie? Przecież Podbipięta był wymyślony przez Sienkiewicza. – Nieprawda! Był naprawdę! I wara wam od jego grobu! – Oto siła legendy. Podobnie było z Michałem Wołodyjowskim, którego literacki pogrzeb odbył się w Stanisławowie. A później przez całe dziesięciolecie okoliczna ludność zamawiała msze w kościele za jego duszę. Piszę o tym w swojej książce.

**Z.K.:** *Ale zwraca Pan również uwagę, że co jakiś czas zazdrośnicy atakowali Sienkiewicza, zarzucając mu różne rzeczy. A byli przecież wśród nich twórcy takiej klasy, jak choćby Prus, Orzeszkowa czy Gombrowicz.*

**S.N.:** Tak, walka z Sienkiewiczem toczy się nadal. Niedawno Stefan Chwin – pisarz i profesor Uniwersytetu Gdańskiego stwierdził, że „Sienkiewicz swoją wielkomocarstwowością zatrul nam wyobraźnię narodową”. A Artur Domosławski – biograf Kapuścińskiego napisał, że „dopiero Kapuściński wyzwolił Polaków z pochodzącego od Sienkiewicza obrazu Afryki kolonialnej”, zapominając najpewniej, że Afrykę kolonizowali Anglicy i Francuzi, a nie Polacy, że nie Sienkiewicz gloryfikował kolonializm, a angielski pisarz Rudyard Kipling (też laureat Nobla). Ostatnio Przemysław Czapliński przeciwstawił Sienkiewicza Oldze Tokarczuk, uważając, że ona „stworzyła epos antysienkiewiczowski” w postaci *Książ Jakubowych*. Celnie odpowiedział mu Adam Wierciński: „Gdzie dobrej pisarce Oldze Tokarczuk do Sienkiewicza? Jeszcze długo mu nie zagrozi”.

**Z.K.:** *A czy w ogóle potrzebne są mity w historii, jak pan na to patrzy? – Historia musi być czystą wiernością spisu i odniesień...*

**S.N.:** Każdy duży naród europejski ma swoją mitologię. Sienkiewicz to rozumiał. Zwłaszcza potrzebowali jej pozbawieni własnego państwa Polacy. Byle te mity nie były fałszywe. Takim mitem fałszywym jest rzekoma polska kolonizacja Wschodu. Jakie to było kolonizowanie? Marcei Kosman i Lech Ludorowski – wybitni znawcy twórczości Sienkiewicza oraz historii Kresów wykazali, że Jeremi Wiśniowiecki był Rusinem; i co, kolonizował Ukrainę i samego siebie? To nonsens. Wielkie rody, takie jak Wiśniowieccy, Sapiehowie, Radziwiłłowie, Pacowie czy Sanguszkowie przyjęły kulturę polską, pozostając ludźmi stamtąd. Zetknięcie się kultury polskiej, ukraińskiej, białoruskiej, litewskiej, żydowskiej stworzyło nową jakość. Coś bardzo ciekawego w tej części Europy – Rzeczpospolitą wielu narodów.

**Z.K.:** *Poza tymi wielkimi rodami przywraca Pan pamięć także o tych rodzinach, które pokrył mrok zapomnienia, jak choćby Badenich.*

**S.N.:** Bo to był wielki ród, który w czasach zaborów doszedł w Austrii do wyjątkowego znaczenia. Przedstawiciel tego rodu, Polak, Kazimierz Badeni, został premierem Cesarstwa Austriackiego. Był w tym państwie drugą osobą po cesarzu Franciszku Józefie. Polak, Albin Dunajewski, był w rządzie Austro-Węgier ministrem skarbu, a jego kolega, Agenor Gołuchowski, ministrem spraw zagranicznych. Franciszek Smolka był przewodniczącym parlamentu wiedeńskiego. Przez mądre kompromisy polscy politycy wywierali wpływ na

politykę i życie codzienne państwa. W austriackim Lwowie główna ulica nosiła imię Leona Sapiehy (dziś Bandery). Pokazuję w swoich książkach rody, które niegdyś wiele znaczyły, choć dziś ich kresowe siedziby zostały starte z powierzchni ziemi. Utrwalam pamięć o niezwykłych ludziach, jak choćby o pochodzącym z Gródka Jagiellońskiego satyryku Andrzeju Waligórskim, twórcy słynnego „Studia 202” w rozgłośni wrocławskiej, czy też o Józefie Kaziowie, pisarzu, który mając 20 lat, stracił od wybuchu bomby wzrok i obie dłonie, a później napisał sześć powieści i wszedł do historii światowej medycyny, bo opracował metodę czytania alfabetu Braille’a wargami. Utrwaliłem też w jednym z tomów pamięć o moich nauczycielach Kresowianach z liceum w Świdnicy, którzy dali mi świetne wykształcenie. Trzeba to mówić, że w ośmieszonym dziś często PRL-u (podobno panował tam powszechny bareizm) stworzono system szkół, który odbudował polską inteligencję – tę wymordowaną w Katyniu, Palmirach i na Wzgórzach Wuleckich czy pod Górą Bony w Krzemieńcu. Po wojnie udało się w Polsce odtworzyć inteligencję z dzieci robotników i chłopów, bo stworzono w PRL-u świetne szkoły średnie i znakomite uczelnie o wysokim poziomie i dużych wymaganiach intelektualnych. Dziś lustratorzy PRL-u, którzy widzą tam tylko mroczne karty, zdają się tego nie dostrzegać, mimo że to właśnie wówczas często dostawali swoje dyplomy akademickie i porządny patent na inteligenta. Ale to już sprawa ich sumień i ich uczciwości. Ja w swoich książkach pokazuję prawdę o tamtych skomplikowanych czasach. Nie interesuje mnie barwa ideologiczna moich bohaterów. Jest mi obojętne, czy byli czerwoni, czarni, obrzezani, jakie mieli preferencje seksualne, tylko co po sobie pozytywnego zostawili, jakie dzieła materialne czy duchowe były owocami ich życia. Bardzo przeżywam złamanie w Polsce etosu solidarności, tej pięknej idei, która głosiła, że nie poglądy i zblatowanie polityczne z jakąś organizacją mają decydować o znaczeniu i wartości człowieka, a jego kompetencje, zdolności kreacyjne i umiejętności budowania wspólnoty ludzkiej, tworzenia wartości pozytywnych. Ten etos złamano, posługując się hasłem cynicznej lustracji ludzi, w tym twórców kultury i literatury podzielono politycznie. Nowi cenzorzy intelektualni starają się wyrzucać z dziejów polskiej literatury i podręczników edukacyjnych wielu pisarzy, jak choćby Jana Dobraczyńskiego (bo był w PRON-ie), Jerzego Putramenta (bo był członkiem KC PZPR), Romana Bratnego (bo

poparł stan wojenny). Mogę te nazwiska mnożyć. Równocześnie lansuje się inne postacie, czasem absolutne beztalencia, tylko dlatego, że kiedyś byli w opozycji antykomunistycznej. Ja w swojej twórczości idę środkiem i piszę o ludziach różnej barwy i nie mam tonu oskarżycielskiego. To jest chyba jeden z powodów, że moje książki są czytane, bo staram się oddać sprawiedliwość np. i żołnierzom armii Andersa i żołnierzom armii Berlinga.

**Z.K.:** *W Pańskiej twórczości Kresy dawnej Rzeczypospolitej są bogate, kolorowe i skrzą się anegdotami. A przecież jednocześnie na Polesiu między wojnami dorastali na wioskach chłopcy, którzy żarówkę widzieli pierwszy raz w życiu w koszarach, gdy ich zmobilizowano w 1939 roku.*

**S.N.:** Bo Kresy mają różne barwy – straszliwej biedy, ale też wielkiego bogactwa. Ja nie ubarwiam, ale staram się pokazać również tę lepszą stronę Kresów, tę elegancką – ludzi dobrze ubranych, jeżdżących świetnymi samochodami, grających w tenisa, odpoczywających w zasobnych kurortach. I nic nie wymyślam. Wszystko dokumentuję zdjęciami, na których widać, jak ludzie są ubrani, w jakim są towarzystwie, co jest w ich tle. Dlatego nie mam ostrych krytyków, bo nie potrafią mi zarzucić, że coś wymyśliłem. Mogą mi zarzucić, że coś pominąłem, dokonałem nie takiego wyboru, ale to sprawa subiektywnego widzenia historii, do którego mam prawo. A w tym mieści się też sprawa wyboru tego, o czym piszę. Generalnie piszę o ludziach ciepło, nie stawiam im prokuratorskich zarzutów, nie oskarżam i nie wymądrzam się. Ale piszę głównie w oparciu o dokumenty i fakty o tym, co dobrego uczynili, co po sobie wartościowego zostawili, jaki był materialny dowód ich istnienia.

**Z.K.:** *Czy Kresowianie i ich potomkowie to doceniają? – bo ja bardzo!*

**S.N.:** Mam dowody, że tak. Dla przykładu: po spotkaniu autorskim w Wałbrzychu, gdzie byli potomkowie przesiedleńców z Borysławia, Drohobycza i Truskawca, podszedł do mnie starszy pan i dziękując za wykład, powiedział: Tu, w Wałbrzychu, jest nas z Borysławia około 5 tysięcy. Ale druga liczna grupa, która osiadła po 1945 roku w Wałbrzychu, to górnicy reemigranci z Francji. I oni zawsze mieli w stosunku do nas poczucie wyższości, bo wiadomo – „Francja elegancja”. Mówili: „U was tam było błoto, kurne chaty i tzw. dziadostwo”. Ja teraz mogę pokazać memu sąsiadowi, reemigrantowi z Francji, jak wyglądał przedwojenny Truskawiec, a w nim ponad 200 zadbanych pensjonatów, a na

ulicach pięknie ubrani ludzie – wcale nie w butach z łyka. Mogę mu pokazać, jakie były kamienice w Drohobyczu, bo jest ich na fotografiach w Pana książce pełno. I te kamienice niczym nie ustępują ponemieckim budynkom w Wałbrzychu czy nawet we Wrocławiu. A więc tam, skąd pochodzę, nie było tak, jak to się pobieżnie sądzi. Zdjęcia nie kłamią. Nawet jak ktoś, idąc do fotografa, wkładał lepszą odzież, to musiał mieć ten garnitur, tę elegancką suknię czy kapelusz. Musiał tam być ten packard czy mercedes, na tle którego się sfotografował. Moje książki mają w podtytule frazę: historia i mitologia. Nie fałszuję historii, nie unikam trudnych spraw. Ale mitologia też jest potrzebna, jak perfumy kobiecie czy dobry krawat mężczyźnie. Nie wystarczy, pisząc o przeszłości, odnotować, kto kogo zamordował i kto wygrał wybory. Trzeba zadbać także o to, co historii nadaje powab. Interesują mnie obyczaje, historia sztuki, odkrycia, kolekcjonerstwo. Na przykład, gdy piszę o dentyście z Chodorowa, to pokazuję jego hobby: zbieranie wypchanych ptaków – od kolibrów, poprzez dzięcioły, sójki i sroki, po kruki i orły. I nagle przychodzi do Chodorowa sowiecki okupant i z willi dentysty wyrzuca te eksponaty w błoto, i przejeżdża po nich czołgiem. Dla tego kolekcjonera było to największą tragedią – dla innego człowieka może zupełnie niezrozumiałą. Ale taka jest historia i należy ją oglądać z perspektywy konkretnego ludzkiego losu. I to staram się czynić w moich kresowych niekończących się opowieściach.

Wprowadzając elementy kultury obyczaju, przeplatając twarde fakty historyczne anegdotami, powiedzonkami, czasem groteskowymi wydarzeniami, ukazuję, że historia idzie po sinusoidzie. Dramatycznym wydarzeniom nierzadko towarzyszą sytuacje komiczne: śmiech przeplata się ze łzami, a ból z ekstazą. Ten sposób pisania o historii myślę że przyniósł sukces mojej najważniejszej książce – o cmentarzu Łyczakowskim, która osiągnęła gigantyczny nakład. Edmund Małachowicz, który napisał podobną książkę o równie ważnym cmentarzu polskim – na wileńskiej Rossie – nie osiągnął sukcesu wydawniczego, bo napisał swą książkę językiem księgowego, podobnie jak Szenic o warszawskich Powązkach. Ja napisałem swą książkę nie tylko o tym, kogo pochowano na Łyczakowie i jak ważna jest jego biografia w historii narodu, ale przedstawiłem też symbolikę nagrobków, cytaty z mów, jakie wygłaszano podczas pogrzebów, ubarwiałem to cytatami epitafiów poetyckich, które rodziny umieszczały na nagrobkach itp.



Na cmentarzu Łyczakowskim przy grobie „Orłęcia Lwowskiego”  
fot. archiwum domowe prof. Stanisława Niciei

**Z.K.:** *Ma Pan w sobie dwie dusze – historyka, pisarza artysty i polityka. Bo przecież w swoim życiu był Pan senatorem RP, przez cztery kadencje rektorem Uniwersytetu Opolskiego oraz twórcą słynnego Wzgórza Uniwersyteckiego w Opolu, na którym wznosił Pan pomniki portretowe artystów, wybitnych poetów i muzyków, twórców znakomitych polskich piosenek. W alejkach na Wzgórzu Uniwersyteckim umieścił Pan m.in. rzeźby: Czesława Niemena, Agnieszki Osieckiej, Wojciecha Młynarskiego, Jonasza Kofty, Marka Grechuty, Jerzego Wasowskiego, Jeremiego Przybory, a także twórcy „Teatru 13 rzędów” – Jerzego Grotowskiego. Uratował Pan wiele rzeźb barokowych i neogotyckich, takich jak choćby „Cztery Pory Roku” Henryka Hartmanna czy wysokiej klasy artystycznej neogotycką rzeźbę św. Krzysztofa – autorstwa Carla Kerna. I po kosztownej renowacji (na którą Pan zdobył pieniądze) ustawił Pan te rzeźby w centrum Opola, aby mogli je podziwiać mieszkańcy miasta i turyści. Stworzył Pan też w Pępicach lapidarium złożone ze starych niemieckich nagrobków.*

**S.N.:** Tak, mam dwie dusze – badacza dziejów i pisarza oraz działacza społecznego. Uprawiam swoisty płodozmian. Przez całe miesiące bywam zamknięty w swojej pracowni, bibliotece w moim dworku w Pępicach i tam w samotności, głównie w towarzystwie żony Haliny, piszę swoje książki i artykuły. Ale przychodzi czas, kiedy samotność mnie męczy, gdy ciągnie mnie do ludzi. I wtedy wychodzę z tego inkubatora odosobnienia i wchodzę w żywy świat społeczny, z wszystkimi tego konsekwencjami, z aktywnym udziałem w życiu politycznym: o coś walczę, coś buduję, coś popieram, z czymś polemizuję. I właśnie w tym czasie tworzyłem materialnie kształt Wzgórza Uniwersyteckiego w Opolu, odbudowałem tam zniszczony

klasztór dominikański (sytuując w nim główny gmach Uniwersytetu – Collegium Maius), i przez kilkanaście lat (z przerwami krótszymi czy dłuższymi) kierowałem Uniwersytetem, nadając mu obecny kształt. Pełnię od dziewiętnastu lat funkcję kustosza Wzgórza Uniwersyteckiego w Opolu. Stworzyłem też muzeum akademickie w mojej uczelni i pełnię opiekę merytoryczną nad pismem „Indeks”. Ratowałem zabytki. Zapraszałem na spotkania autorskie ważne postacie ze świata kultury, nauki, gospodarki i polityki. Bywałem więc politykiem, aranżerem życia społecznego i budowniczym infrastruktury akademickiej. A gdy to mnie zmęczyło, wycofywałem się na jakiś dłuższy czas do mojej samotni. Uspokajałem tam swoje skołatane serce, odzyskiwałem równowagę psychiczną i pisałem swoją niekończącą się opowieść o utraconych przez Polskę na wschodzie miejscowościach – pisałem swoją *Kresową Atlantydę*.

**Z.K.:** *Ma Pan osobowość dość wszechstronną, wielowymiarową, bo jest Pan po części też filmowcem. Dla Telewizji Polskiej, niegdyś z wybitnym scenarzystą Jerzym Janickim, nakręcił Pan kilkadziesiąt filmów dokumentalnych o twierdzeniach kresowych Rzeczypospolitej, o kurortach na Kresach, o słynnych tamtejszych nekropoliach i we wszystkich tych filmach występował Pan jako główny narrator, ujawniając – w moim odczuciu – swoiste zdolności aktorskie. Ale podobno nieobca jest też Panu poezja. Czy pisał Pan wiersze?*

**S.N.:** Tak, pisałem. I zdarza mi się, że jeszcze piszę. Zaczynałem w moim liceum świdnickim od pisania poetyckich tekstów piosenek dla szkolnego zespołu bigbitowego „Helikony”, ale też wiersze liryczne, protest songi, które później nawet recytowałem na różnych powiatowych konkursach recytatorskich. Zdarzyło mi się nawet wygrać jeden z konkursów w Dzierżoniowie, i to wierszem mojego autorstwa.

**Z.K.:** *Czy na koniec naszej rozmowy może Pan zacytować jakiś swój wiersz?*

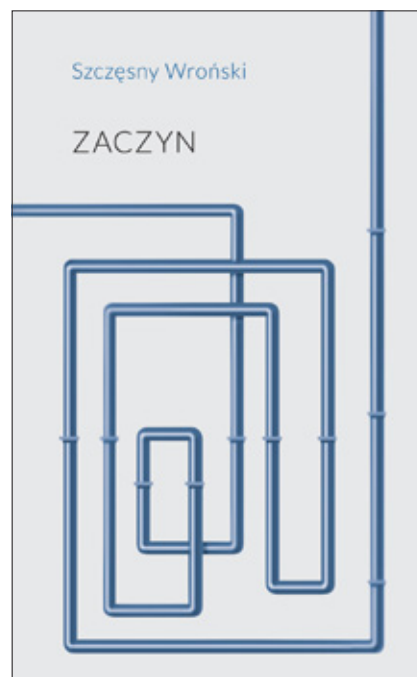
**S.N.:** Na pana prośbę spróbuję mój wiersz młodzieńczy:

Preludium nocy z dali płynie  
Zasuwa ciężkie story okien.  
I patrzy na coś, hen, w dolinę  
Złocistym, ciepłym słońca okiem.  
A gdy zasypiasz dniem zmęczona  
Za oknem pną się winogrona,  
By w okno twoje zatrzepotać  
Moim – imieniem.

*Rozmawiał: Zbyszek Ikona Kresowaty*

## Nieco o prowokacjach artystycznych Szczęsnego Wrońskiego, czyli – Co zacytnił Wroński

**Szczęśny Wroński.** Jest w nim więcej poety, prozaika czy performer? Zapracował też na miano kreatora kultury. Żadnej z tych dyspozycji twórczych nie sposób umniejszyć, wszystkie budują jego artystyczną osobowość.



Ba, wzajemnie się przenikają. Temperament performerów daje się zauważyć nie tylko w scenicznych działaniach, a tych ma na koncie wiele, ale też w jego prozie, a nawet w wierszach. Tak operuje słowem, by uobecnił spontaniczny ruch wynikły z niepokornego ducha i niepodległego. U Wrońskiego jest ono równoważne z zebraniem doświadczeniem i jednoczesnym doświadczaniem słowa w chwili jego dziania się, gdyż stanowi narzędzie obserwacji nakierowane między innymi na rozumienie i odnalezienie siebie i własnej rzeczywistości. Ale słowo to również tworzywo i świetne pole do prowadzenia doświadczeń; „jakby róża/ miała wyniknąć/ pomiędzy palców/ zaistnieć/ w porach skóry/ zasilic sokami/ krew” (wiersz „39” z t. *Zaczyn*, s. 63). Słowo – czy to pisane, czy artykułowane – w założeniach tego twórcy ma potencjał aktu, więc aktem się staje.

twardym być  
jak komin  
Mount Blanc  
z monologiem  
na przekór  
ze środka trzewi  
trzasnąć by  
się rozeszło  
w grzmot ulewę  
lawy skowyt

przetaczający się  
w litery schody  
do

(„43”, z t. *Zaczyn*, s. 69)

Ileż w tym wierszu nagłości, ruchu i buntu. Zupełnie jakby sam wiersz miał ruszyć z posad i ruszyć bryłę z posad świata, jak w *Odzie do młodości* A. Mickiewicza. Jednak aby zaistniał ruch, muszą pojawić się czynniki inicjujące, czyli jakieś – nazwijmy to – performery. Typuję, że polot twórczy Szczęsnego Wrońskiego rozbudziły (w bardzo ogólnym ujęciu) niezgoda na zastany porządek, negacja narzuconych wzorców, bunt i wolnościowe ciągoty. Uzmysłowiła mi to jego powieść *Wolna miłość* z 2000 roku (wchodzi w skład trylogii, obok *Praktyk i Konsultantów*). Wyraźnie zaakcentowany został tam młodzieńczy bunt Piotra, bohatera, który wynikał ze sprzeciwu wobec peerelowskiej rzeczywistości, w której wolność jednostki była pragnieniem. Postać Piotra naznaczona jest buntem. Piotr jest chodzącym buntem. Gdy prześledzimy ciąg zdarzeń „od czynu do czynu”, w całej jaskrawości zobaczymy niepoahamowaną chęć wolności, której bohater szukać będzie w hippisowskiej wspólnotce, bo taka stanęła mu na drodze.

Przecież nic złego się nie dzieje. Niech panowie popatrzą, wszyscy są zadowoleni i trzeźwi. Czy nie takich obywateli potrzebuje Polska Ludowa?

– Na pewno nie takich obszarpańców.

– Ubóstwo nie jest przestępstwem.

– Ale to jest manifestacja.

– Przeciwno czemu?

– To my jesteście od zadawania pytań.

– Tak, to jest manifestacja – szczebiotą Mara – przeciwko temu smutnemu faktowi, że ludzie nie dostrzegają na co dzień drugich ludzi, odwracają się od siebie. A przecież zgodzicie się panowie, że najważniejsza w życiu jest miłość, ale dlaczego jej tak mało? Moglibyście nam trochę pomóc, użyć swojego autorytetu i namówić ludzi, a nawet im nakazać, żeby się bardziej kochali... Najlepiej zacząć od dzisiaj [...] byłby to najnowocześniejszy styl milicyjnego działania, pionierski w skali światowej. Wtedy ludzie pokochaliby was jeszcze bardziej... (*Wolna miłość*)

Już choćby powyższy cytat ukazuje złożoność zapętleni jednostki w systemie i jej niezgodę na jarzmo systemu. Ale ten passus jest niezwykle poukładany w „rozpędzonej” powieści. Takich urywków porządkujących treści i trzymających w ryzach całość w utworze jest oczywiście więcej. Zbierają

sensy, urealniamy i scalają przekaz oraz czuwają nad komunikatywnością. Są niezwykle pomocne, jako że powieść najeżona jest dynamicznie biegnącymi zdarzeniami, a niektóre z nich dzieją się na „peryferiach życia” i jakiegoś obłąd. Oczywiście ów obłąd sugeruje pogubienie się młodego człowieka w pędzie po wolność, ale też obnaża twórczą ekspresję autora. Podskórnie czujemy ją też w narkotycznych wizjach i halucynacjach bohatera utworu. Czytelnik wraz z nim wpada w wir uporczywych fragmentarycznych przywidzeń i zmieniających się jak w kalejdoskopie przeskoków doznań. Sam Szczęśny Wroński ten rodzaj narracji nazwał myśłowirami (w rozmowie ze Stanisławem Nyczajem). I choć w literaturze znajdziemy mniej lub bardziej podobne sposoby „upamiętniania psychodelicznych chwil”, które wymykają się zwykłemu opisowi (choćby *Wojna polsko-ruska pod flagą biało-czerwoną* D. Masłowskiej) – to te Wrońskiego należą do szczególnie uderzających, pisanych „ze środka trzewi”.

Coś uniosło go do góry – świetliste oszalałe świdy zbliżyły się do rozkrzyżowanych rąk, przeszywający ból targnął ciałem i z ciemności wyłoniła się szkarłatna trupia twarz i... ręka... Ból jakby żelzał... Piotr podniósł głowę i dotknął językiem popękanych warg... Może to Bóg Ojciec albo któryś z jego sług. Wyszepał błagalnie: – Daj mi choć odrobinę wody, Panie.

Trupia twarz wżerała się w niego oczami jak świdy, Piotr chciał splunąć w te ślepie, ale język miał suchy jak wiór i jeszcze te nogi, jakby je ktoś poobcinał i... broczące krwią ręce... ten straszny dochodzący nie wiadomo skąd śmiech, który dobijał... (*Wolna miłość*)

Myślę, że takie obrazowanie już samo w sobie jest przejawem performerskich inklinacji. Owey chęci przesuwania funkcji słowa leżącego na papierze w kierunku „coś się dzieje” i to bez mała na oczach widzów. Dodam, że niektóre wątki powieści są autobiograficzne, co przyznaje sam autor. To może kojarzyć się z „życiopisaniem” Stachury. Wroński również konfrontuje życie ze słowem pisanym i robi to nie tylko z pobudek twórczych, ale też dla uporania się z emocjami i uporządkowania doświadczeń. Pomocne w tym są praktyki poetyckie i powieściopisarskie prowadzące do przewartościowania postaw; „potrzeba wymiany noża na słowo”.

przejąć  
do siebie  
od siebie  
gdzie jeszcze  
jest

potrzeba  
wymiany  
noża  
na słowo

to  
co  
jest

(„27”, z t. *Zaczyn*, s. 50)

Puentą wiersza, a raczej otwarciem na głębie rozmyślań są trzy słowa „to co jest” – oznaczają po grecku *onto*. Dostajemy więc wyraźny sygnał, jakich wymiarów sięgają rozważania (ontologia). Wroński eksploruje słowo na różnych płaszczyznach i polach. Filozoficznym i czysto ludzkim dociekaniami o istocie bytu towarzyszą jeszcze prowokacje językowe. W *Wolnej miłości* stany nieopowiadalne (psychodeliczne wizje) chce uwolnić od przykładowych opisów i akcenty kładzie na odczuwanie. W wierszach najnowszego tomiku *Zaczyn* wsłuchuje się w słowa, jakby rozbrajał je do pojedynczych liter. Albo rozsypywał i na nowo po swojemu organizował. Widac to nawet w samym zapisie. Z upodobaniem stosuje dekonstrukcje – a nuż ujawnią się utajone sensy. I znajduje je, i podaje w oprawie konceptualnej, bez metaforyzacji; „to może szansą ocalenia jest zrozumieć „z” które scala” („Z”, z t. *Zaczyn*, s. 58).

stawiam litery i słowa  
wychodzą ze mnie obce

nie zdążyły się oswoić  
we mnie ani poza mną

bo co to właściwie znaczy  
i gdzie jest ta granica

bo jeśli jej nie ma  
to cały ten ruch jest fikcją

która nawet nie boli  
(„II”, z t. *Zaczyn*, s. 10)

Jaką „granicę” miał na myśli poeta? Warto się nad tym zastanowić. Wtedy siłą rzeczy zadamy sobie pytanie: czym w ogóle jest granica i gdzie ona jest, we mnie czy poza mną? Kto mi ją narzuca? Czy granica ogranicza? A może prowokuje do czynu, ruchu? Można rzec, niezły „zaczyn” uczynił nam autor. I otóż dochodzimy do wniosku, że „granica” dla każdego z nas może być czymś innym. Wystarczy, że każdy użyje swojego „szkiełka i oka” lub spojrzy na postawiony problem a to przez pryzmat

polityczny, a to moralny albo ontologiczny. Tak więc znów Wroński użył z premedytacją performerskiego chwytu, a nasze „wstąpienie w wiersz” jest niczym innym jak intelektualnym uczestnictwem w wierszu i indywidualnym. I jest to bez wątplenia kolejna wartość tego utworu, oprócz – rzecz jasna – niebagatelnej problematyki, jaką wnosi.

Szczęśny Wroński w działaniach twórczych często wykorzystuje prowokację artystyczną. Ten manewr wykształcił na tyle dobrze, że gotowi jesteśmy uznać, iż prowokacja leży w jego naturze. Oczywiście jedno drugiego nie wyklucza. Co by nie powiedzieć, artysta obrał kierunek kreatywności performatywnej. A trend ten (ku medialności) coraz powszechniej stosowany jest w rozwoju sztuk. „Zwrot performatywny” to dziś znak czasu.

a może to ja  
jestem  
zacierką dnia

Powyższy wiersz o tytule „43” również pochodzi z tomiku *Zaczyn*. Poeta nie pyta, co go spotka danego dnia. On chce zobaczyć w sobie sprawcę dnia. Tak zinterpretowałam przekaz, bo nietrudno zauważyć, że i tym razem miejsce bohatera lirycznego zajął performer.

W internecie znalazłam ślad dającej do myślenia prowokacji artystycznej, kiedy to autor i aktor Wroński sprawdzał, jak słowo przylega do pewnych okoliczności. Podczas swojego spotkania autorskiego w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej im. Witolda Gombrowicza w Kielcach skandował wiersz. Oczywiście to nie stanowiłoby sytuacji nadzwyczajnej, gdyby nie fakt, że wcześniej zachęcił publiczność do powstania z miejsc i luźnych rozmów, a sam wtopił się w tło i budował to tło. Poezję wyprowadził tym samym ze sceny i wmontował w „gwar foyer”. Zdjął ją z piedestału i zbliżył do „zwykłości”. Działanie artystyczne jak najbardziej łamało konwencję i kazało się zastanowić nad motywacją takiego przekazu. Czyli? Słowo poetyckie jako jedno z wielu słów? Słowo, które zgromadziło ludzi i jest narzędziem nie tylko komunikacji, ale i „dziania się”? Słowo, które „z” ciałem się staje?

Gdy już weźmie się pod lupę poczynania artystyczne Szczęsnego Wrońskiego, wtedy da się zauważyć, że na jego postawę artystyczną miało wpływ wiele czynników i zależności. Od uwarunkowań społeczno-politycznych po „kształt wewnętrzny”,

który jest nie do przecenienia. Ale bez pielęgnowania zasobów twórczych nie byłaby możliwa cała ta artystyczna sprawczość sceniczna i językowe kreacje z osobistym piętnem. Spektrum działań jest spore. Dla porządku dodam, że Szczęsny Wroński nie ograniczał się do uprawiania poezji, powieściopisarstwa i dramaturgii, sprawdzał się między innymi jako asystent reżysera w Teatrze STU w Krakowie, współtworzył też Teatr Dialog (kierownik literacki, aktor i reżyser). Był liderem formacji teatralnych i rockowych, stąd wziął się przydomek „poeta o duszy rockmena”. Jako artysta multimedialny znany jest w środowisku krakowskim i kieleckim, gdzie promuje literaturę, realizuje spektakle i wydarzenia pod szyldem Teatru Promocji Poezji. W ramach tego Teatru również moje poematy *Mówię pochyloną cambrią* poddał dramaturgicznej próbie. Nie miałam okazji oglądać tego z pozycji widza, gdyż byłam na scenie, nawet Barbara Wrońska, współgrająca w tym spektaklu, malowała danaidy na moich gołych plecach. Nie mogło być inaczej, ot, twórca i tworzywo w jednym – wypełnienie założeń performerskiej sztuki. Przepraszam za tę prywatę, ale dla mnie jest to sposobność, by powiedzieć, że ze Szczęsnym Wrońskim dobrze się kreuje i dobrze wychodzi na zdjęciach.

Osobowość twórcza tego artysty oraz jego dokonania, ale potraktowane przekrojowo, mogłyby być ciekawym przyczynkiem do wnikliwych opracowań. Mam nadzieję, że ktoś to kiedyś uczyni. Ja, w niniejszej analizie, skupiłam się tylko na jednym kontekście, gdy tymczasem można wyszukać ich więcej i znaleźć też wiele odcieni. Widać je też w najnowszym tomie *Zaczyn*. Polecam.

*Elżbieta Musiał*

Szczęsny Wroński, *Zaczyn*; Biblioteka Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Kraków 2022, s. 69.

Szczęsny Wroński, *Wolna miłość*; Oficyna Wydawnicza STON 2, Kielce 2000, s. 170 (1998 – pierwsza Nagroda w Ogólnopolskim Konkursie im. Mikołaja Reja z Nagłowic).

**Inne książki:** *Nadzieja matka głupich* (1980), *Praktyki* (1984), *Przenikanie* (1998), *Potwór nie opisany* (1999), *Smak ciemności, smak światła* (2006), *Poręcze* (2006), *Nie pozwól milczeć sercu. Wiersze z lat 1977–2007* (2008), *Pogwarki o Kaczmarku* (2013), *Konsultanci* (2014), *Czas rozpocząć* (2015), *Piszę poemat* (2017), *Czas się weselić* (2021).



Szczęsny Wroński, performance „Dopukiwanie się do miejsc, do których dopukać się nie sposób”, fot. NCK



Szczęsny Wroński, „Mówię pochyloną cambrią”, spektakl w Czerwonym Fortepianie w Kielcach



fot. Aga Sabat



## Recenzja z chwili, która wstrząsnęła jednym życiem, a więc i całym światem

Od dawna nie miałem ochoty pisać o teatrze, ściślej o spektaklu teatralnym. Od *Odysei* Warlikowskiego. Tamten spektakl i tamto przeżycie pozostanie we mnie na zawsze. Podobnie chyba będzie w przypadku sztuki Ishbel Szatravskiej pod skomplikowanym tytułem *Żywoć i śmierć pana Hersha Libkina z Sacramento w stanie Kalifornia*.

Co do wykorzystania multimedialnych możliwości, mamy do czynienia z podobnymi zastosowaniami, można by rzec wręcz z cytatami. Nie jest to też oczywiście jakieś *novum*, a raczej coś, co już na stałe wejdzie do kanonu środków teatralnych. I dobrze. Przecież teatr, synteza sztuk, nie może sam sobie sztucznie narzucać ograniczeń. Przeciwnie, musi poszukiwać coraz to nowszych środków wyrazu, tak aby pełniej wyrażać to, co chce powiedzieć widzowi. To dla widza, dla jego potrzeby doświadczenia *katharsis*, jest budowany spektakl. Oczywiście w równowadze z wypowiedzią artystów teatru o świecie, o człowieku. Wypowiedzią reżysera, scenografa, autora muzyki, wreszcie, przemawiających sobą do nas, aktorów. Jeśli bodaj większość tych budowniczych spektaklu ma coś istotnego do powiedzenia i czyni to w formie artystycznie doskonałej, mamy do czynienia ze spektaklem, który porusza, wstrząsa widzom. Daje mu nie pustą rozrywkę, a przeżycie wwiercające się w duszę. Od razu powiem, że w kieleckim teatrze właśnie taki spektakl powstał. Wszystko zagrało w nim w pierwszej lidze, a aktorzy – na czele z tytułową, genialną rolą Dawida Żłobińskiego, z pewnością w ekstraklasie. Wszystko tu było na swoim miejscu i wspaniale iluminowało pomysła- mi, pchało widza w świat bohatera sztuki, a raczej jego dogłębnego, egzystencjalnego doświadczenia. Poprzez ten dramatyczny zyciorys, opowiedziany w niebanalny i poruszający sposób – słowo niebanalne jest w stosunku do spektaklu kieleckiego bardzo na miejscu – docieramy do problemów, których postrzeganie bardzo ostatnio w naszym społeczeństwie się wyostrzyło. Nasz błogi spokój, przekonanie o własnej doskonałości, o podziwianym potomkom bohaterów ciągłych walk, wreszcie społeczeństwu podziwianemu przez cały świat za dokonanie epokowego skoku od niewoli

z opresyjnego systemu ku wolności, zostało zburzone, postawione w znak zapytania. Bo jakże to tak? Skoro jesteśmy tacy wspaniali, cudowni, wszystko u nas i z nami niczym w bajce o dobrych krasnolach idealne, to co się stało, bo się przecież stało. Akceptujemy każdego dnia ponizanie jednych przez drugich, bezczelność tych z góry, ich złodziejstwo, hipokryzję, obrzydliwy rehot ciemnoty, wszechobecną przemoc wobec słabszych. Tych innych. Obcych. To kwestie, o których nauczyliśmy się już nie mówić, unikać drażliwych tematów, chować dylematy w obawie o utratę spokoju, chybotliwej stabilizacji, jako takiej wygody codziennej egzystencji. Idziemy do teatru i tu artyści przystawiają nam lustro. Mówią – patrzcie dobrzy, szlachetni ludzie, jacy jesteście. Podziwiającie swoje oblicza.

Nie ma litości. Życie Hersha Libkina nie pozwala na to. Tak dramatyczna, bolesna prawda o człowieku, o granicach tego, co można człowiekowi zrobić, jak go zniszczyć, zniewolić i zgwałcić w jego istocie, nie pozwala na uniki. Musimy odpowiedzieć sobie na pytania, a jest ich w tej sztuce mnóstwo, o nasz stosunek do prawdy, do mniejszości, do odwagi, do człowieczeństwa wreszcie. O to, czy w każdych okolicznościach potrafilibyśmy zachować się odważnie, a nawet po prostu przyzwoicie? Czy wolno nam osądzać innych z naszych wygodnych pozycji, z pozycji ludzi żyjących w bezpiecznym i stabilnym świecie? Choć akurat ta stabilizacja na naszych oczach runęła.

Ten spektakl wciąga, powoduje u widza wrażenie niekończącej się opowieści, ciągłej walki dobra ze złem, gdzie z góry mamy podany wynik. Piękno jest jednak ukryte właśnie w tej walce. Nie chcemy, żeby spektakl się skończył, chcemy, aby trwał.

To piękne przedstawienie pod każdym względem. Pod względem plastycznym, pod względem reżyserii Łukasza Kosa, ruchu scenicznego w scenach grupowych, wykorzystania niebanalnego techniki, pod względem muzyki Daniela Strychalskiego, ale dwie rzeczy powalają tu na łopatki nawet najwytrawniejszych teatromanów. Mianowicie genialna, „grająca” i dająca świetne możliwości inscenizacyjne scenografia Pawła Walickiego oraz rewelacyjna gra aktorska Dawida Żłobińskiego. Wykonuje w tej sztuce tytaniczną pracę nie tylko czysto artystyczną. Także po prostu fizyczną. Na jego pozornie wątłe barki spadło prowadzenie opowieści o niezwykłym życiu nie do końca zwykłego człowieka. Bo czy są zwykli ludzie? Czy o kimś można tak powiedzieć? Nawet jeśli nie jest Żydem i do tego homoseksualistą

podejrzewanym w powojennej Ameryce o komunizm? Nikt nie jest zwykły. To jedna z lekcji, którą wynosimy z tego spektaklu. A Dawid Żłobiński z pewnością nie jest zwykłym aktorem. Jest jasno świecąca gwiazdą. Obdarza nas swoim kunsztem, techniką, talentem. Jeszcze czymś, o czym należy w przypadku tego dzieła scenicznego powiedzieć, najlepiej w formie ulubionego przez żydowskich mędrców pytania. Ile trzeba mieć w sobie pokładów, właśnie człowieczeństwa, aby tak poprowadzić tę opowieść – rolę?

Wszyscy, cały zespół wzniesli się na wyżyny swoich umiejętności. Nie ma słabych ogniw w tej ekipie. Grają świetnie, a monologu Anny Antoniewicz i Beaty Pszenicznej wbijają w fotele, nie dadzą się zapomnieć. Czekam od dziś z utęsknieniem na kolejną sposobność zobaczenia znów teatru Żeromskiego w odsłonie *Żywota i śmierci pana Hersha Libkina z Sacramento w stanie Kalifornia*.

Grzegorz Rak



Po entuzjastycznie przyjętym monodramie Grzegorza Raka pt. *Wielkanoc* z rewelacyjną rolą Dawida Żłobińskiego. Spektakl odbył się 23 września 2023 w Rzecznowie (po uprzednich dla publiczności w Kielcach i Ciekotach). Na zdjęciu autor i wykończony monodramu Dawid Żłobiński.

## Puzzle Grzesia

Skończyłem czytać w ten upalny, świąteczny dzień książkę Grzegorza Raka pt. *Puzzle polskie* i od razu się oburzyłem. A po co to obce słowo puzzle, nie lepiej by było: Polski kocioł, Polski bigos, Polski chaos albo wprost Bagno polskie? Tak, to by było najlepsze. Powieść Raka jest jak majaki senne, pokryte mgłą niedopowiedzeń, plotek i fantazji. Opowiada historię małej miejscowości Kazanica, ale podobną powieść mógłbym napisać o Pełczyskach, Złotej czy Probołowicach. To książka o ludziach „tutejszych”, którzy wszystko wiedzą, ale nic nie powiedzą. Jedynie na wieczornych pogawędkach, po pijanemu, na weselu czy na stypie. Historia ciągnie się od początku, poprzez powstanie styczniowe, okupację, czasy ubeckie, aż do dzisiaj. Historia przechodzi z ojca na syna, z matki na córkę. Przesiąknięta jest do imentu erotyzmem, jak to dziedzice gwałcili, partyzanci mieli kochanki na skinienie... powiedzmy palcem, a każdy mężczyzna miał po kilka kochanek. Zdrada miesza się z bohaterstwem, szlachetność z podłością, historia z plotką i pomówieniem. W naszej gminie też był partyzant „Adam” (lewicowy), „Żbik” (krwawy z eneszetu) i Wojnar (trochę ludowy, trochę akowski).

Akcja się rwie, bo co chwilę inny bohater zajmuje uwagę Narratora, który z nieubłaganą konsekwencją prowadzi całą Historię do końca i próbuje ułożyć wszystko w jedną logiczną całość. Czytelnik jest też wplątany w ową próbę ułożenia wszystkiego w jedną logiczną całość. Co okazuje się zadaniem bardzo trudnym, żeby nie rzec – niemożliwym.

I tak brniemy w tę tutejszą historię, która jest częścią większej historii Polski. Jeszcze raz mamy jak na widelcu nasze kompleksy, donoszenia, pomówienia, przemoc i interesowność.

Z tej książki dowiemy się coś, czego nie znajdziemy nigdzie indziej. Historię przemilczaną albo prawdziwą, a może nieprawdziwą? Żaden historyk tego nie napisze, a i Grzegorz Rak skrętnie chowa się za fikcyjnymi nazwami i nazwiskami. Jeśli kiedyś napisze książkę dokumentalną, gdzie będą prawdziwi ludzie, to będzie huk. Ale co to jest prawda i jak ją opowiedzieć?

Oczywiście Grzesiu odwalił kawał dobrej literackiej roboty. Opisał naszą prowincjonalną historię z jej dzisiejszym zakończeniem. Ale historia toczy

się dalej i zobaczymy, jaki będzie ciąg dalszy. Albo raczej zobaczą nasi następcy, więc dobrze by było, żeby znali tę książkę. Ciekaw bardzo jestem, co o tej książce sądzą mieszkańcy Dołów i Kazanicy?

I jeszcze jedno, bardzo ważne: mnie książka Grzesia bardziej przypomina doskonały scenariusz filmowy, z dialogami, niż powieść. Dobrze by było, żeby taki film powstał.

Zdzisław Antolski

### Lena Ciał

Powieść Grzegorza Raka pt. *Puzzle polskie* – to świetna powieść, którą czyta się jednym tchem.

Grzesiek jest mistrzem narracji. Bardzo sprawnie buduje opowieść, zmieniając cały czas perspektywę narracyjną, i z epickim rozmachem stosuje zawieszenie akcji, by powracać do wątku. Taki epicki suspens to zabieg, który doskonale się sprawdza w konstruowaniu świata przedstawionego powieści.

Czytając, zastanawiałam się też, czy Grzesiek czytał powieść innego Raka, Radka Raka, który nawet okładkę ma w podobnej kolorystyce. (*Baśń o węzowym sercu*). Tam też zderzone są: świat szlachecki i chłopski; mit i rzeczywistość. Jednak Grzesiek historycznie idzie dalej, przeprowadza te dwa światy przez okres PRL-u, czyli okres ustrojowego zrównania tych antagonistycznych mentalności. Co z tego wychodzi? Warto przeczytać i się dowiedzieć.

Grzesku, gratulacje, świetna powieść! Czekam na ciąg dalszy.



### Niech poeta cierpi!

Ból gwarantem dobrej poezji...!? W przypadku ostatniego tomu wierszy Andrzeja Zaniewskiego, pod pozornie nieco dziwacznym tytułem: *po przecinku / wszystko jest / możliwe...*, odpowiadam – tak! Bardzo obszerny tom niezwykle pięknych i mądrych wierszy narodził się z bólu, którego sprawcą jest Życie we wszystkich jego aspektach: miłości wielkiej, miłości zawiedzionej, zdradzonej, oszukanej, miłości do kobiety, do matki, do świata przyrody, rozczarowania terażniejszością, lękiem przed nadchodzącą starością, wypędzeniem, a nawet ostracyzmem, tęsknotą za tym, co minione, a zarazem bezpowrotnie stracone, i... itd.

Znam poetę Andrzeja Zaniewskiego od wielu lat. Zapewne nie jest to ten stopień zażyłości, bym mogła powiedzieć, że jesteśmy zaprzyjaźnieni, ale z pewnością jest to znajomość, która w moje życie literackie wniosła wiele cennych wartości. I choć sam poeta w jednym z wierszy wyznaje:

Chciałbym mieć mistrza, bo jak tu żyć bez mistrza?  
Chciałbym mieć mistrza, lecz jak go poznać?

to ja z całą pewnością mogę powiedzieć, że nie mam wątpliwości, gdy piszę te słowa: jednym z moich mistrzów jest właśnie Andrzej Zaniewski. Mnie to było dane. Poznałam mistrza i być może On sam nie jest tego świadomy, ale przyznaję, że wiele zawdzięczał mistrzowi.

Nie piszę recenzji *sensu stricto* ani też nie dokonuję rozbioru logicznego i gramatycznego poszczególnych utworów, i nie zastanawiam się, co poeta miał na myśli? Nie ma takiej potrzeby, gdyż wyrażane sentencje są bardzo przejrzyste, wręcz krystalicznie czyste, a czasami może nawet zbyt dosłowne, puenty gorzkie, a jakże zarazem prawdziwe. Jest to szczerza i bardzo wiarygodna rozmowa z czytelnikiem. I dlatego też będzie to raczej moja osobista refleksja na temat utworów zawartych w tym zbiorze. A po trosze też dlatego, że sam autor, Andrzej Zaniewski, o swoich wierszach mówi:

[...] niedonoszone słowa,  
zaledwie pytania, notatki, próby,  
wariacje, interpretacje...

I tak jak w poprzednim tomie *Przed*, i w tym obecnym, chyba nie ma dziedziny życia, do której poeta nie odniósłby się w bardzo osobisty, refleksyjny, a nierzadko odważny, nieprzystający do współczes-

ności, sposób. Jest w tym tomie wiersz (dla mnie szczególnie ważny) dedykowany *Marianowi Reniakowi-Strużyńskiemu*, choćby tylko dla tego jednego, jedyne go utworu cieszę się, że stałam się posiadaczką całego tomu. Ten wiersz jest próbą odmiennej od obowiązującej interpretacji wydarzeń z naszej nie tak bardzo odległej, ale jakże powikłanej i bolesnej zbiorowej przeszłości.

I znów Przeszłość... Szara i zdumiona  
chciała przekroczyć granicę. Za późno!  
Widzisz Marianie zmieniły się warty,  
kto inny pilnuje, kto inny czuwa.

I dalej czytamy:

przecież znasz prawdę i wiesz,  
że strzały padały z dwóch – trzech  
– czterech stron, że podpalano noce i dni,  
że przychodzili zabijać nauczycieli,  
sołtysów, dziennikarzy, milicjantów, sąsiadów,  
ocalałych z zagłady Żydów...

No cóż, jakie czasy, tacy bohaterowie! Nie ukrywam, że taka interpretacja naszej zawilej powojennej historii jest mi szczególnie bliska. I dziękuję poecie za ten wiersz, za próbę obiektywnego spojrzenia na przeszłość i terażniejszość, i mam nadzieję, że przesłanie płynące z jego strof stanie się również bliskie nie tylko nam: autorowi – Andrzejowi Zaniewskiemu i piszącej te słowa – Iwonie Zielińskiej-Zamorze.

By nie było tak pięknie, to teraz: protestuję przeciwko tytułowi części 9. *Wiara niewierzącego*. Tak jak nie ma *ciepłych lodów*, tak nie ma wiary niewierzącego. To oksymoron. Choć wiersze w tym rozdziale są nad wyraz pouczające, niekiedy wzruszające, a z pewnością zawsze zmuszające do refleksji, to są one jedynie krzykiem wąpiącego, być może przerażonego, samotnego, rozdartego wewnątrz człowieka,

[...] niskie chmury pędzą  
wiatr trąca gałęzie  
błyskawice kłują  
boisz się...  
I jak tu nie wyszeptać: – Boże...

ale nie niewierzącego, bowiem ten nie ma Bogów. A strach? – nie powinien być jedynym wyznacznikiem wiary w Stwórcę. To zbyt powierzchowne. Czy łatwiej, czy trudniej żyje się niewierzącemu? Zdawałoby się, że pytanie zgoła retoryczne, a jednak to w wierszach poety można doszukać się próby odpowiedzi na nie. Poecie wolno, czytający może lub nie zgadzać się z interpretacją twórcy, który zdaje się nie pamiętać,

że wiara oparta jest na dogmatach, a próby ich podważania w przeszłości zwano herezją.

Tom jest tak obszerny, że nie sposób opowiedzieć o wszystkim, co się w nim dzieje. A dzieje się bardzo wiele, każdy wiersz budzi refleksję, nie zawsze zgadzam się z autorem, bardzo często – nie, bowiem wiersze z tego tomu są niezwykle osobiste. Być może ta moja niezgoda wynika z niewielkiej, ale zawsze różnicy pokoleniowej, i całkowicie odmiennych dróg: życiowej i literackiej. Ale od czegoż empatia? Jej nie powinno zabraknąć żadnemu poecie. I chyba stąd moje liczne wzruszenia podczas lektury tego tomu. Już sama wielość części i ich tytuły powiedziały mi, że nie będzie to lektura łatwa i przyjemna. Za to pouczająca: lekcja życia i niełatwej historii.

Próbowałam znaleźć dla wierszy zamieszczonych w prezentowanym tomie wspólny mianownik. Jest nim, być może, *ból* – zarówno fizyczny, jak i duchowy. Wydaje mi się, że to właśnie z *bólu* i w *bólu* zrodził się ten ostatni tom. Przez pryzmat cierpienia inaczej jawi się rzeczywistość, staje się bardziej wyrazista; obawiam się nawet, że jej osąd w tym zbiorze jest zbyt jednostronny. I bywa, że jest to bardzo subiektywny obraz świata, który:

krzyczy, wrzeszczy, obraża, znieważa

bowiem nie zawsze jesień życia musi być poobijana, bezdomna, wyrzucona poza nawiasy życia rodzinnego i społecznego. Nosi znamiona podsumowania pewnych bolesnych etapów z życia poety. I tak się zastanawiam, co by było, gdyby przed kilkunastu laty poeta nie spotkał swojej Toksycznej Muzy, nie zawierzył instynktowi, nie kierował się tylko uczuciem, którego konsekwencją jest dojrzały, niestety – silnie trujący owoc? Czy byłyby możliwe narodziny tego, bądź co bądź, wstrząsającego w swojej wymowie tomu? Czy bez analizy źródeł własnego cierpienia, rozdrapywania i jątżenia ran zadawanych poecie przez najbliższych i kochanych, narodziłyby się te poetyckie perełki? Andrzej Zaniewski to chyba ostatni taki romantyk. On po prostu musi cierpieć! Odnoszę wrażenie, że podjął też próbę przejęcia po trosze na swoje barki i naszych cierpień. Egoistycznie powiem: skoro ból i cierpienie może być gwarantem dobrej poezji, jak to się zdarzyło w przypadku twórczości Andrzeja Zaniewskiego, zatem – Niech poeta cierpi!

Iwona Zielińska-Zamora

Andrzej Zaniewski, *po przecinku/wszystko jest/możliwe...*, Komograf 2017, s. 379.



Elżbieta Jach: *Uliczka w Kazimierzu Dolnym* – płaskorzeźba na desce lipowej, tech. mieszana



Elżbieta Jach: *Widok z zamku w Kazimierzu Dolnym*  
– płaskorzeźba na desce lipowej, tech. mieszana



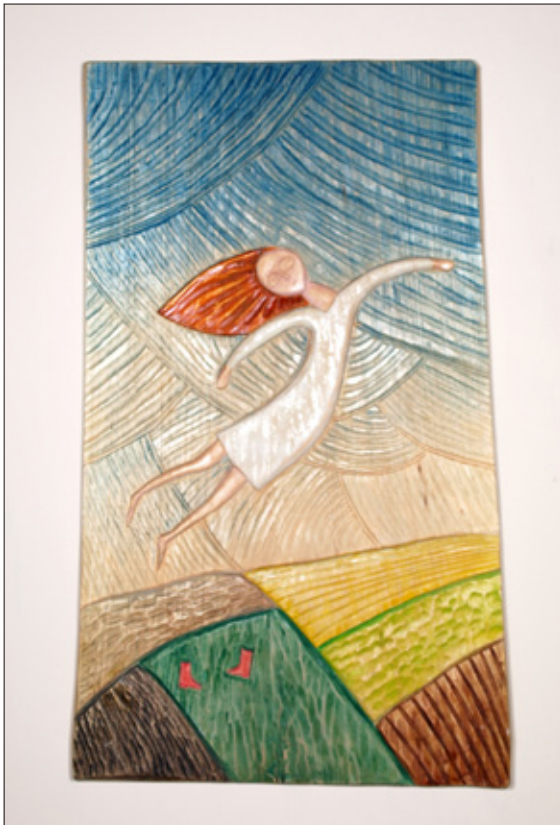
Elżbieta Jach: *Anioł w ogrodzie*  
– płaskorzeźba na desce lipowej, akryl



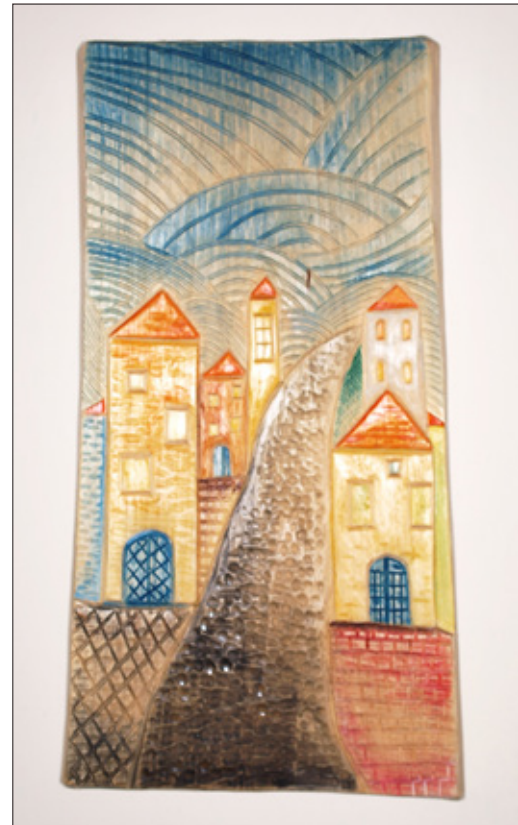
Elżbieta Jach: *Randka nad Soliną 1* –  
płaskorzeźba na desce lipowej, tech. mieszana



Elżbieta Jach: *Randka nad Soliną 2* –  
płaskorzeźba na desce lipowej, tech. mieszana



Elżbieta Jach: *Frunę* –  
płaskorzeźba na desce lipowej, akwarela



Elżbieta Jach: *Droga donikąd* –  
płaskorzeźba na desce lipowej, akwarela